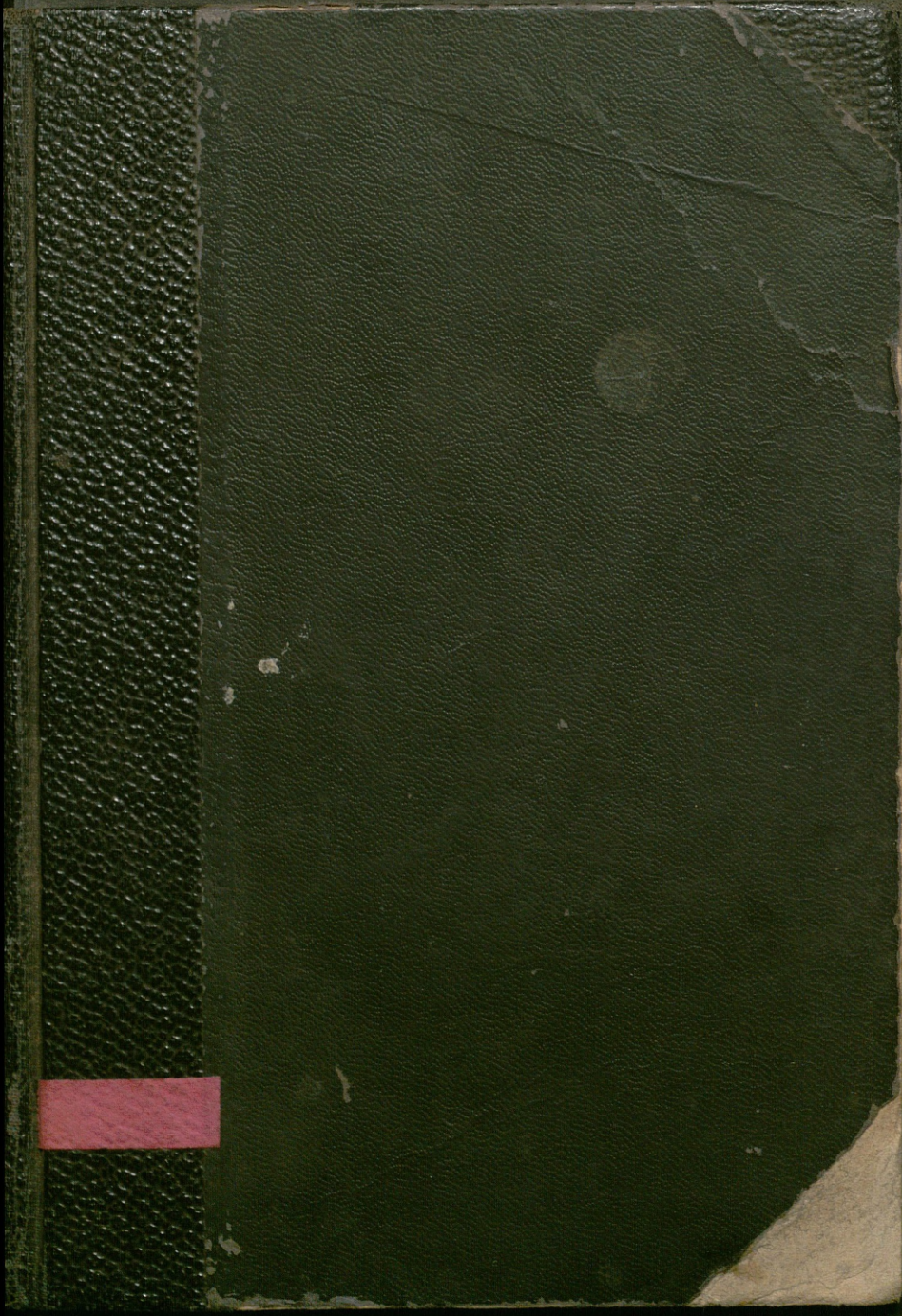
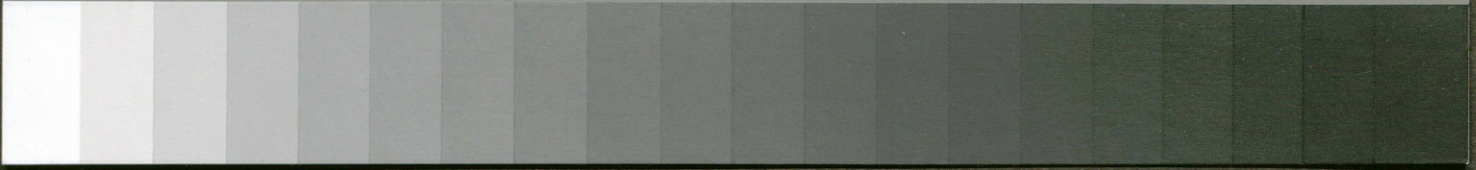




Grey Scale #13

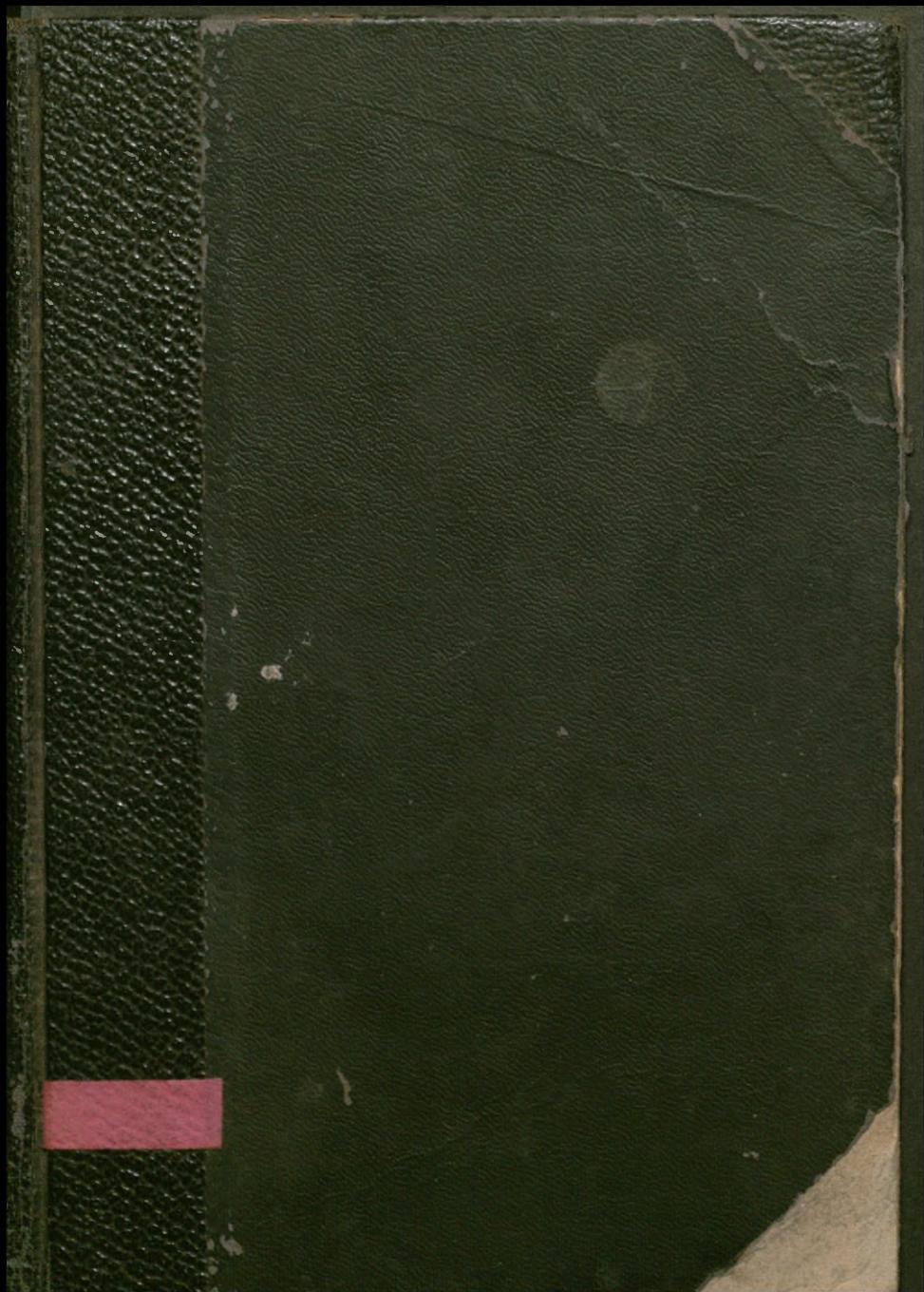


A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13







CZYTELNIA NAUKOWA

№ 17486



ab

Kuchnia gazowa Łaskawe  
Panie  
Zostawia dużo czasu na  
czytanie

Dr. E. RAPPAPORT

# CARAT I REWOLUCJA

(TRZY LATA ZA FRONTEM ROSYJSKIM)



WARSZAWA — 1919

NAKLADEM KASY PRZEZORNOŚCI I POMOCY WARSZAWSKICH POMOCNIKÓW  
KSIĘGARSKICH. ∞ SKŁADY GŁÓWNE: WARSZAWA — GEBETHNER I WOLFF,  
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA. ∞ POZNAŃ — M. NIEMIERKIEWICZ.

17486.

CARAT I REWOLUCJA

Dr. B. Rappaport

# Carat i Rewolucja

(Trzy lata za frontem rosyjskim)



W A R S Z A W A — 1 9 1 9

NAKLADEM KASY PRZEZORNOŚCI I POMOCY WARSZAWSKICH  
POMOCNIKÓW KSIĘGARSKICH. ∞ SKŁADY GŁÓWNE: WARSZAWA  
GEBETHNER I WOLFF ∞ KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA.  
POZNAŃ — M. NIEMIERKIEWICZ.

92 : 884-4

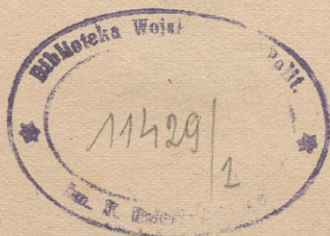
---

---

WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU  
I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.

---

---



---

---

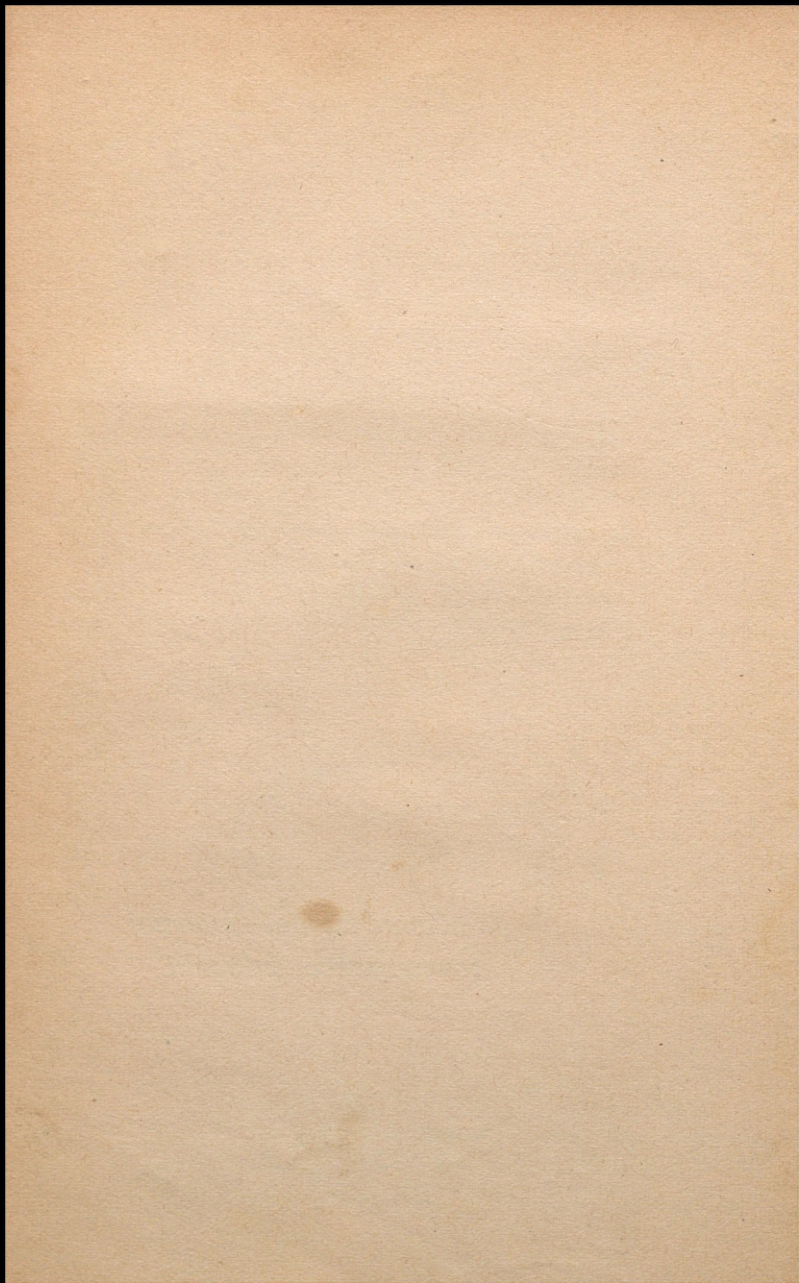
Geprüft und auch für die Ausfuhr freigegeben durch die Kais. Deutsche Presse-  
abteilung, Warschau, den 28/VIII 1918. T. № 11200. Dr. № 160.

---

---

DRUK W. PIEKARNIAKA. WARSZAWA, OKÓLNIK № 5-a (ZA CYRKIEM).

*Żonie Irenie — wiernej  
towarzyszce tułaczki.*



## SŁOWO WSTĘPNE.

Głównym motywem napisania niniejszej książki była chęć podzielenia się z tymi, którzy pozostali w kraju, wrażeniami z trzech długich lat, przepędzonych na tułactwie w Rosji. Dużo jeszcze czasu upłynie zanim wszyscy tęskniący ujrzą szare upragnione fale Wisły, pola i lasy, tak odmienne od spotykanych na wygnaniu, i odetchną nareszcie umiłowaniem powietrzem, do którego od dzieciństwa piersi ich przywykły. — W czas długich zmierzchów zimowych w dworach, dworkach i chatach, po ciemnych studiach kamienic miejskich i w eleganckich salonach zaczniesz się snuć nieskończenie długa nić opowiadania.

Wędrowało borem, lasem nie tylko 700,000 żołnierza polskiego, lecz i tysiące kobiet z dziećmi, starców siwych i młodzieży. Jako świadectwo tej wędrówki długo jeszcze po rozległych stepach Sybiru, górach Kaukazu i Turkestanu, błotach białoruskich oraz żyznych polach Ukrainy prężyć będą ku niebu swe drewniane ramiona szeregi krzyży, stawianych w pośpiechu. A ileż to mógł, na których krzyża nawet postawić nie było komu, pozostanie hen — za nami — na Wschodzie!

Byłem razem z rzeszami, gdy szły długimi szeregami, za pokrytymi budami płóciennymi wozami, a za plecami płonęły, podpalane przez moskiewskie żołdactwo, wsie; żyłem z niemi razem na cuchnących od brudu stat-

kach dniewprowych, w wagonach towarowych, zdążających tygodniami całymi do nieznanego celu, w barakach epidemicznych, gdzie tyfus plamisty i dysenterja przerzedzały szeregi schudzonych widm ludzkich; marzłem i tęskniłem wspólnie pod szarem ołowianem niebem, nad ściętymi lodem brzegami Tobolu. Spędzałem długie wieczory przy ognisku z ludźmi ubranymi w szynele sołdackie, a wspominającymi z żałością puszcze łomżyńskie i wonne sady a łany w Sandomierskiem, i niejeden raz wśród trajkotania karabinu maszynowego i białych wybuchów rakiet, zbierając jakieś krwawe strzępy, które były kiedyś człowiekiem, słyszałem nasze „Jezus Marja!“. Niejedne polskie zacisnąłem oczy i niejeden żołnierski, splamiony krwią, list odesłałem nie przeczuwającej niczego matce.

Ale widziałem też jak iskra świadomości narodowej przelatywała po chmurnych czołach żołnierzy, którym narreszcie wolno było mówić i działać po polsku i widziałem radosne oczy dzieci, które po raz pierwszy przyszły do swojej szkoły.

Dlatego też czuję, że nie tylko prawem, lecz nawet i obowiązkiem moim jest opowiedzieć Wam, ludziom o tyle szczęśliwszym od nas, że los pozwolił budować Wam fundamenta pod przyszłą Polskę, nie na tułactwie, lecz na ziemi własnej, dzieje swoje, które są zarazem częścią dziejów Wielkiej Emigracji.

Książka moja, chociaż porusza wiele tematów nieosobistych, jest jednak tylko pamiętnikiem przeżyć własnych, rekonstruowanych z pamięci. Pamiętnik oryginalny, gdyby nawet istniał, nie mógłby być przewiezionym, wobec panujących jeszcze praw wojennych. Z niektórych notatek zestawilem przypiski, objaśniające tekst, a znajdujące się na końcu książki, całość zaś rozdzieliłem na dwie większe części, ponieważ, jak dotąd, życie emigracji upływało pod dwoma znakami: caratu i rewolucji.

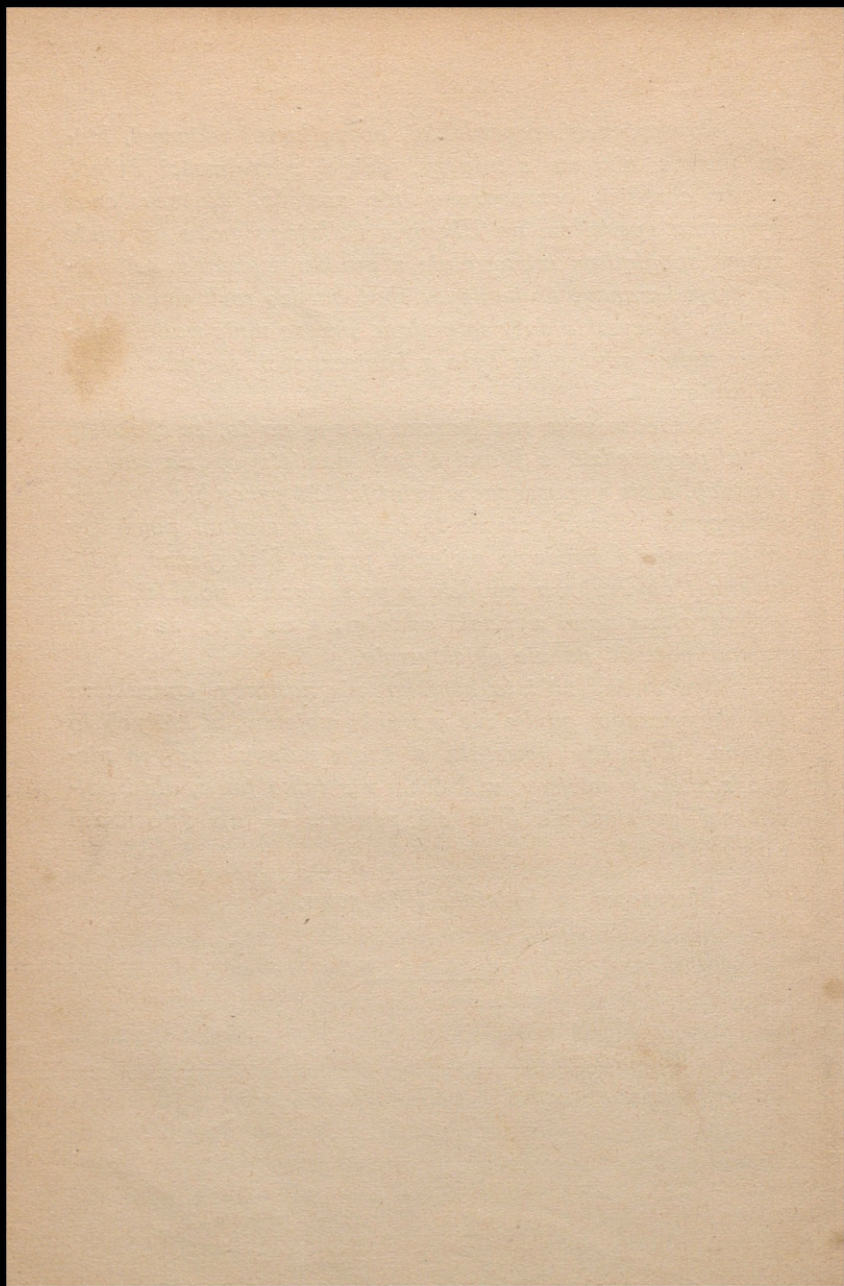
Po ukończeniu przewlekłej, początkowej włóczęgi, która prawie nikomu z tułaczy, dzięki uprzejmości byłych władz carskich, oszczędzoną nie została, dłuższy czas wygnania spędziłem na Ukrainie i dlatego może na wiele spraw spoglądam mimowolnie z punktu widzenia człowieka przywiązanego do jednego, choć bardzo rozległego terytorjum. Wszystkie daty są podane przeze mnie według starożytnego stylu, gdyż taką była z konieczności rachuba czasu na emigracji.

Zwracam więc raz jeszcze uwagę na to, że chciałem tylko pogawędzić z Wami o tych pamiętnych na zawsze czasach, a nie wypuszczać w świat jakiejś pracy historyczno-politycznej. Znajdą się na to bardziej powołani pomiędzy emigrantami i napewno niejedna praca historyczna, polityczna i obyczajowa wyjdzie z pod tłoczni polskiej, gdy wstrząsające nami wypadki oddalą się na tyle, że będzie można patrzeć na nie obiektywnie.

Być może, że i ta książka nie nosiłaby charakteru tak dorywczego, gdyby nie warunki wojenne, w których ją pisałem. Wszakże powstała w kraju pełnym nagłych niespodzianek, w miejscu, w którym nie tylko jutro, ale i najbliższej godziny nie było się pewnym — za frontem rosyjskim!

Warszawa, w kwietniu 1918 roku.

---



## „C A R A T“.

### I.

„Wojska rosyjskie z powodów strategicznych opuściły dziś Warszawę...“ tak brzmi urywek z komunikatu urzędowego. Było to coś niesłychanie groźnego i ponurego — kryła się w tem niejasna przepowiednia ciemnej tułaczey przyszłości. Wybiła pierwsza godzina na zegarze Wielkiej Emigracji polskiej. — Emigracji, która z żadną z poprzednich porównać się nie da. Zasadniczą cechą Wielkiej Emigracji jest to, iż była nawskroś ludową. Podczas gdy na dawniejszej emigracji lud stanowił zaledwie 1%, tutaj rzecz ma się odwrotnie. Jądro emigracji 1915 r. stanowiły olbrzymie masy włościańskie, które stały się nagle bezrolnemi, niewielki procent ludności robotniczej oraz rzemieślniczej i jeszcze mniejszy inteligencji.

Czem jest wygnanie i tułaczka dla chłopa, którego najszerszym widnokregiem był widnokrąg rodzinnego powiatu, który wrósł w ziemię wszystkimi korzeniami swymi, trudno powiedzieć. Trudno stan ów niepojęty wyrazić jasno sformułowaniem zdaniem. Najwyżej określić go można jako wypadkową nienawiści, rozpaczey, bólu, tępej martwoty, dziekiej bezwiednie z instynktu samozachowania wpływającej zawziętości i dziecięco-sieroczej bezradności.

Ludność robotnicza wyewakuowała się przeważnie

ze swemi fabrykami, które częściowo, w miejscowościach odległych o setki mil od gruntu ojczyzstego, rozpoczynały swą działalność. „Maszyna wszędzie ci pracować będzie, gdzie jej nie postawisz, kudy tam grunt — tego nie przeniesiesz!” — tak scharakteryzował mi w krótkich słowach ewakuację przemysłu naszego pewien robotnik. I rzeczywiście, gdy minął długi okres przenosin, jeżdżenia i urządzania się na nowo, robotnik polski otrząsnął z siebie odurzenie i zaczął pracować. Rzemieślnicy jeszcze prędzej przystosowali się do nowego otoczenia. Ogromna przewaga inteligencji oraz produktywności naszego rzemieślnika nad rzemieślnikiem rosyjskim sprawiła, iż nie tylko umiał sobie po miastach rosyjskich znaleźć odrazu pracę, lecz stał się niebezpiecznym konkurentem dla mniej zdolnego i uczciwego rzemieślnika-moskała.

A inteligencja?... Nie będę wspominał o trudnych warunkach życiowych, fizycznej niemal niemożebności przystosowania się do nowych stosunków, oraz rozpaczliwej walki o byt inteligentnego proletariatu. Są to rzeczy zbyt znane i nie mogą być nowością nawet dla tych, którzy w kraju pozostali. Chodziło tu jednak o coś niezmiernie trudniejszego, niż zdobycie chleba codziennego, chodziło tu o wypełnienie niesłychanie ciężkiego i odpowiedzialnego obowiązku narodowego, który emigracja na wątłe barki inteligencji włożyła. Obowiązkiem tym była konieczność przewodniczenia szarym wygnańczym masom, dbanie o materjalną i moralną stronę ich życia oraz odpowiedzialność za stan, w jakim te masy po ukończonej tułaczce do ojczyzny powrócą. Czy i jak inteligencja zadanie to spełniła, orzeknąć może tylko przyszłość. Obecnie zbyt bliscy jesteśmy jeszcze tego, co się stało, aby się zdobyć na wystarczający obiektywizm. Dlatego też piszący te słowa, chociaż już, materjalnie rzecz biorąc, z emigracji wyszedł i spogląda na nią jako widz

i wspominający, stojąc na twardym gruncie kraju, z góry zastrzedz się musi, że uwagi jego czysto obiektywnymi, pomimo najszczerzych chęci, być nie mogą. Materialnie wyszedł z emigracji, lecz wiele nici duchowych łączy go z nią jeszcze... I długo tak powracającym pielgrzymom działać się będzie. To, co na stronicach tych opowiem, było widziane własnymi oczyma i przeżyte osobiście, dlatego też pieczęć osobistości na sobie nosić musi.

Z chwilą wzięcia Warszawy, wybiła pierwsza godzina na zegarze Wielkiej Emigracji. De facto emigracja zaczęła się już wcześniej, świadczyły o niej, jak ptactwo przed burzą, owe niezliczone tabory wygnańcze, te wozy, pełne zapłakanych kobiet, wystraszonych dzieci, obładowane wszelkimi gratami i pościelą, pokryte szarą płótnem na zbudowanym w pośpiechu rusztowaniu bud i ciągnięte przez wychudzone szkapy, które prowadził za uzdę zgarbiony chłop w kożuchu, z ponurą a beznadziejną rysą koło zaciętych w milczeniu ust. Lecz jeszcze było coś, co o rzeszach owych myślało, co ich duchowo z zajętą już przez wojska ziemią łączyło, co rozpościerało nad nimi opiekuńcze dłonie — tą tajemniczą potęgą, tem sercem i mózgiem jednocześnie była Warszawa. W momencie, kiedy pomiędzy nami a Warszawą wyrósł ruchomy mur z armatniej stali, staliśmy się odcięci, pozbawioną głowy, częścią organizmu narodowego. W tym momencie poczuliśmy dopiero pustkę obczyzny około siebie — wionęła na nas lodowym piekłem nieskończona, przeraźliwa przestrzeń wrogiej i obcej całkowicie kultury naszej Rosji — Rosji gnębicielskiej, Rosji carskiej. W tym momencie zwałił się na nas cały ciężar perfidyjnych udręczeń caratu, niełagodzony już więcej stycznością z ziemią ojczystą, który wycieńczał nas aż do marca 1917 roku (t. j. do chwili wybuchu rewolucji), aby po pewnym okresie wytchnienia ustąpić miejsca dru-

giemu — pod zmienioną etykietą — gniotowi powszechnej anarchji. Całą więc historję Wielkiej Emigracji można podzielić na dwa okresy: carski i rewolucyjny.

Rozpoczęły się pierwsze Stacje Męki...

. . . . .

I szły ogromną falą wynędzniałe tłumy wygnańców. „Bżeńcy idut“ mówili ludzie, wyglądając spokojnie z zacisznych domostw, których nie tknęła płonąca żagiew wojny.—„Jakie my „bieżeńcy“, psiakrwie! usłyszałem kiedyś sierzysty chłopski głos. A bo to my bieżali (podczas wędrówki wytworzył się specjalny idiom, mający być rosyjskim językiem) — przygnaliście nas wy i wasze kozunie. My wygnańce, nie żadne bieżeńce. Niedoczekanie wasze!”

Liczne pociągi ewakuacyjne wypłyły z siebie (w Mińsku, Kijowie, Moskwie, Charkowie, Saratowie, Samarze, Kałudze, Woroneżu, Odesie i in.) po kilkotygodniowej, nieraz pełnej udręczeń, ślimaczej jeździe, liczne gromady urzędników państwowych i prywatnych oraz inteligencji, którą albo zmuszono do wyjazdu, lub która sama, wierząc jakimś przesadzonym pogłoskom, opuściła kraj, a szary chłopski tłum taborytów, popychany uciekającymi wojskami rosyjskimi, ciągle był jeszcze w drodze. — Tłum płynął dwoma właściwie ramionami, w które rozdzieliła się rzeka wygnania. Jeden potok dążył przez Mińsk na północ, drugi przez Kijów na południe. W tych dwóch miastach rozpoczęła się przedewszystkiem praca ratunkowa. Około istniejących już w Rosji oddawna stałych placówek polskich, zaczęli się teraz skupiać nowi przybysze. Witano ich gorąco, z prawdziwym współczuciem. Wobec nędzy i nieszczęścia zapomniano o antagonizmach politycznych i lokalnych. Ów ruch dośrodkowy, skupiający, który we wszystkich prawie katastro-

ficznych chwilach historii naszej spostrzegamy, pozwolili się opamiętać i ochłonać przybyłej przed wielkimi masami inteligencji oraz dał fundament pracy ratunkowej na dużą skalę. Na czas niedługi przycichły wszelkie, tak właściwe społeczeństwu naszemu, nieporozumienia, aby później z temwiększą jeszcze wybuchnąć mocą. Cała nasza emigracja była rozbitą, rozproszkowaną partjami i partyjkami politycznymi i walczyła między sobą zawzięcie, zapominając, że gdzie kilku (bo już nie dwóch) się kłóci, tam kilkunastu (bo już nie trzeci) korzysta. Obrzucano się wzajemnie błotem i, starając się wciągnąć do tej walki jaknajszersze masy, zapominano nieraz o rzeczach najelementarniejszych, zapominano zbyt często o tem, co się jest winnym tym wielkim nieuświadomionym rzeszom na obczyźnie, wobec cierpiącej i budzącej się do życia Ojczyzny.

Odbiegliśmy jednak od tematu... Był okres wielkiej solidarności wygnańczej, która pozwoliła rozpocząć pracę ratunkową na wielką skalę. Z kraju przybył C. K. O. (Centr. Kom. Obywatelski — patrz Nr. 3 przypisów) oraz Polski Komitet Pomocy Sanitarnej — dwie wyrobione już i doświadczone rokiem wojny instytucje społeczne. Polskie społeczeństwo na miejscu rzuciło się również do pracy. Wszędzie powstały koła P. T. P. O. W. (Polsk. Tow. Pomocy Ofiarom Wojny), mające dwie główne centrale w Mińsku i w Kijowie. Rozporządzały one początkowo funduszami, powstałymi ze składek, a później otrzymywały wielkie subsydja, wywalczone u rządu. Organizacje te dawały pomoc żywnościową, zakładały przytułki, ochrony, szkoły, szwalnie i warsztaty po miastach, gdzie się później utworzyły większe skupienia wygnańcze. Po pewnym czasie dopiero wszystkie organizacje wygnańcze polskie były reprezentowane w Moskwie przez Radę Zjazdów, która nie tylko że kierowała akcją ra-

tunkową, lecz i stworzyła poważną placówkę wydawniczą; szczególnie wydawano polskie podręczniki, których brak dał się na emigracji tak dotkliwie odczuwać. Rada Zjazdów broniła również interesów polskich organizacji ratunkowych przed rządem rosyjskim oraz była w stałym kontakcie z rosyjskimi organizacjami wygnańcami. Rosyjskie organizacje wygnańcze zajmowały się wszystkimi ofiarami wojny bez różnicy narodowości i wyznania. Były to: Czerwony Krzyż, Wszechrosyjski Związek Ziemstw, Wszechrosyjski Związek Miast, Komitet W. Księżny Tatjana, Pomoc Północna (Siewiero-pomoszcz) księcia Zubczaninowa oraz Ziemstwo Wołyńskie i inne poszczególne Ziemstwa. Wszystkie te organizacje zajmowały się na początku wojny jedynie rannymi, tworząc dla nich szpitale, lazarety, transporty, lotne oddziały opatrunkowe, t. zw. „czołówki“ — dopiero w roku 1915, gdy ruszyła fala wygnańcza, musiały siłą rzeczy, jako posiadające odpowiednie środki (składy żywnościowe, przenośne baraki, oddziały techniczne, etc.), zająć się wygnańcami. Wtedy to utworzyły się w nich specjalne oddziały pomocy ludności, która ucierpiała od działań wojennych, z ogromną maszyną urzędniczą. Wobec tego, że w skład tych organizacji wchodziły żywioły liberalne i rewolucyjne, oraz że służba w nich uwalniała od wojska, bardzo wielu Polaków wstąpiło do nich, pomagając w ten sposób sobie i innym. Mogę rzec śmiało, iż wszystko, co zostało stworzone solidnie i uczciwie oraz odpowiadające swemu przeznaczeniu w tych organizacjach, jest dziełem Polaków. Trudno sobie wprost wyobrazić, jak chaotyczną i bezcelową, a częściowo i nieuczciwą była praca Rosjan w tych stowarzyszeniach, w których skład wchodziła wszakże śmietanka całej nieczarnosecinnej inteligencji rosyjskiej! Wszystkie oddziały pomocy ludności miały znowu wspólną reprezentację w Moskwie, tak zwa-

ny „Sobież“ (Sowjet o bieżencach), która ściśle rozgraniczyła kompetencję działania poszczególnych organizacji. Tak np. Wszechros. Związki Ziemstw i Miast zajmowały się tylko karmieniem i niesieniem lekarskiej pomocy wygnańcom, a Komitet Tatjanowski rejestracją i rozdawnictwem odzieży. Z chwilą ukonstytuowania się Sobieżu, Czerwony Krzyż przestał się np. zupełnie zajmować sprawami wygnańcami. W udzielaniu jednak pomocy przez te organizacje istniało dla nas wielkie niebezpieczeństwo, a mianowicie zakusy rusyfikatorskie pod płaszczykiem internacjonalnego współczucia. — Owo internacjonalizowanie, połączone z pracą rusyfikatorską, jest charakterystyczne dla wszystkich rosyjskich liberalnych i lewicowych organizacji.

Polskie organizacje musiały więc (politykując zreszcie ze względu na otrzymywane zapomogi rządowe) być odczynnikami na to; szczególnie dotyczyło się to polskich dzieci bezdomnych, które trzymano setkami w przytułkach pod rubryką Rosjanie, oraz przy sprawdzaniu spisów rejestracyjnych (patrz przypisek Nr. 1).

Oprócz wymienionych wyżej organizacji polskich pracował jeszcze na gruncie Kijowa Polski Lwowski Komitet Ratunkowy, który przybył do tego miasta prawie równocześnie z tak skorą do wyjazdu z wojskami rosyjskimi redakcją „Słowa Polskiego“. P. L. K. R. niósł pomoc specjalnie Galicjanom (stwierdzenie tożsamości przy wydawaniu dokumentów, ułatwianie przyjęcia poddaństwa rosyjskiego, wyszukiwanie pracy). Charakterystycznym dla tego komitetu jest to, że o ile niechętnie udzielano w nim pomocy żywiłom niepodległościowym, o tyle wielką protekcją jego cieszyły się osobniki endeckie, a częściowo i rusofilskie.

Wkrótce działalność polskich komitetów wygnańczych rozszerzyła się na całą Rosję, nie wyłączając Sy-

berji. Szczególnie żywą była działalność na Podolu, Wołyniu i w Kijowszczyźnie, co należy tłumaczyć znacznym procentem stale zamieszkujących tam Polaków i wielkim ich dobrobytem. Przykładem służyć może Kijowskie P. T. P. O. W., które w lecie 1916 r. posiadało następujące oddziały: Biuro informacyjne, Sekcję doraźnej pomocy, Sekcję ekspedycji osobowej, Sekcję prawną, Sekcję finansową, Sekcję mieszkaniową (o 9-ciu instytucjach), Sekcję lekarską, Sekcję ewakuacji rannych (2 instytucje), Sekcję opieki nad więźniami cywilnymi, Sekcję dzieci (18 instytucji), Sekcję pomocy na kolei (2 instytucje) i Sekcję odzieży.

Jak wyglądała praca rosyjskich instytucji ratunkowych nad wygnańcami, jak wielką była niezdarność i nie dbalstwo tych milionowymi sumami składkowymi rozporządzających stowarzyszeń, jeszcze w 1916 r., tego dowodzą najlepiej wyjątki z listu Kraczkowskiego (Rosjanina) w „Birżewych Wiedomostjach“ z dnia 9 lipca. „Wygnaniec dowodzi i żąda, a ci, do kogo zwrócone są jego prośby, nie wiedzą, czy je uchylać, czy uwzględniać; ścierają się tu „prawnie“ i „nieprawnie“, „można“ i „trzeba“, minimum i maximum. Stąd morze narzekań i jęków i jawne niezadowolenie wymordowanych, zmęczonych i chorych ludzi. Wygnańcy są przekonani, że władze, do których zwracają się oni, mogą im ulżyć, tylko nie chcą. Nie widzą, że władza taka jest nieraz zupełnie skrupowana. W odległych zarządach, wiedząc o wygnańcach nie wiele więcej niż o Hiszpanach i Portugalczykach, operują tysiącami ludzi. Podczas ruchu masowego w roku ubiegłym tych zrujnowanych ludzi spędzano i rozdzielano z rozporządzenia t. zw. naczelników etapowych, bez liczenia się z psychologią wygnańców“. A tę psychologię należało uwzględniać, bo „gdy człowiekowi pali się dom, traci on równowagę, wymachuje rękami, ale kiedy

się dom już spalił, człowiek jest bezdomnym i psychologja jego jest psychologją bezdomnych. Humanitaryzm wienien zaglądać do tych katakumb kancelarji społecznych“.

Rzeczywiście, pracując przez dłuższy czas w oddziale pomocy ludności Wszechros. Zw. Ziemstw, dość miałem sposobności przyjrzenia się owym katakumbom i zetknięcia się z całym piekłem nędzy wygnańczej. Na zawsze wyryła się w mej pamięci wycieczka wywiadowcza, którą odbyłem Dnieprem z Kijowa do Jekaterynowsławia, a której celem było zbadanie przepraw na Dnieprze, przez które przechodzą wygnańcy, ciągnący taborami. Było to wkrótce po upadku Brześcia, w czasie wybuchu paniki ewakuacyjnej w Kijowie. Wszystko wyprawiano za Dniepr. Przed mostami urządzono posterunki rejestracyjne, których obowiązkiem było zapisanie nazwisk, imion, lat, ilości koni oraz miejsca pochodzenia wygnańca. Wobec ogromnych skupień wygnańczych, a niewystarczającej ilości urzędników, rejestracja odbywała się całymi dniami. Ogromne tłumy żyły na wozach, pozbawione żywności, i mokły na ulewnych deszczach. Wyprzedano się za bezcen z wszystkiego, najniezbędniejsze rzeczy stawały się łupem chciwych spekulantów i policji. Jak kruki za padłem ciągnęły przekupnie za nieszczęsnymi rzeszami, koniec końcem sprzedawano wóz (mieraz za 15 — 20 rubli) i konie (para 50 rb.), a biedny wygnaniec z tobołkiem na plecach przekraczał nareszcie ów przeklęty most, aby ze schorowanymi dziećmi wsiąść do pociągu i ruszyć w głąb tajemniczej, a przerażającej go Rosji. Widziałem starych gospodarzy płaczących, jak dzieci, przy sprzedaży zaprzęgu. Wszak z wyzbyciem się koni i wozu zniknęło ostatnie ogniwo, łączące go z krajem, rozwiewał się ostatni symbol tego, co stanowi „gospodarza“. Według opracowanego dawno już, na wypadek tak głębokiej ewakuacji, planu, po-

winiem był stanąć obok każdej przeprawy punkt żywnościowy, któryby rozdawał zneknanym wygnańcom darmo gorącą strawę oraz zaopatrywał konie ich w furaz podług cen intendenckich. Na wyekwipowanie tych punktów w inwentarz i zapasy, rosyjskie organizacje ratunkowe wydały miliony. Cóż z tego, gdy owe punkta z całym sztabem urzędników przybyły na miejsce już po odejściu wygnańców. Aby nie utracić posiadłości i usprawiedliwić przed społeczeństwem poniesione koszty i opóźnienie, punkty rozdawały żywność na prawo i lewo, niepotrzebującej tego zupełnie ludności, zapisując ją jako wygnańców i fabrykując na wykazach tysiące martwych dusz. Ile przytem produktów skradziono, ile pieniędzy za niepoczynione zupełnie wydatki powędrowało do kieszeni gorliwych ratowników, trudno powiedzieć. W mieście Kremienczugu, ważnym punkcie mostowym i kolejowym (stamtąd część wygnańców wagonami miała już ruszyć dalej), że szczególną gorliwością zaopiekowali się tułaczami tamtejszy policmajster Renengarten i gubernator połtawski Bogout. Wydano szereg najniedorzeczniejszych rozporządzeń, mających niby na celu zarówno dobro miasta, jak i samych wygnańców. Skupień wygnańczych, z powodu iż Kremienczug był punktem kolejowym, uniknąć się nie dało, lecz, wobec strategicznej po no ważności tego miasta, należało ich wzbronić. Zakazano więc wygnańcom mieszkać w mieście, t. zn. w domach; jeżeli zaś ktoś sypiał na lub pod swoim wozem, to nie nazywało się zupełnie, że mieszka, takiego osobnika lub takiej rodziny nie było zupełnie w Kremienczugu. A więc gdy na tak zwanym „Siennym“ placu stały całymi dniami tysiące fur, czekając na odejście „bieżeńskich“ pociągów, pan policmajster słał do Połtawy raport za raportem, iż w mieście, dzięki energicznie i celowo prowadzonej przez policję ewakuacji, niema zu-

pełnie wygnańców. Tyfus głodowy i dysenterja szalały. Bezimiennych, bo nieistniejących według policji, chorych pakowano do baraków nad Dnieprem, gdzie brak pomocy lekarskiej dopomagał im skutecznie w przeniesieniu się na tamten, lepszy świat. Szczególnie dzieci marły, jak muchy — stolarze robili świetne interesa na trumnach. Jednocześnie nastąpiła mobilizacja tak zw. „czerwonych“ i „niebieskich“ biletów. I tu pan policmajster okazał ogromną sprężystość. Mówiąc głośno o świętej wojnie i obowiązkach patryjotycznych wyłapał wszystkich mężczyzn-wygnańców — właścicieli wyżej wymienionych biletów. Kto podobnego biletu nie posiadał lub udawał, że go nie posiada, został oceniony „na oko“ i również zabrany. Kiedyś ujrzałem na ulicy wóz z typową „bieżeńską“ budą — na wozie siedziała zapłakana kobieta z dwojgiem małych dzieci, której jakiś „litościwy“ żydek proponował sprzedaż koni po „bardzo dobrej“ cenie. Biedni ludzie przyjechali końmi z pod Łomży i czekali na pociąg — troje dzieci i siostra zmarło w baraku na tyfus, a męża i brata dopiero wczoraj „wzieni w żołdacy“, no i została ona, dziewczynki i te konie. Jak tu jechać dalej? Och, ta droga krzyżowa chłopca polskiego! Biedne dzieciaki jadły później na punkcie zupę „komitetową“, do której kapały im łzy, a matka, nie chcąc jechać ogólnym pociągiem, kupowała bilet—„udało“ jej się sprzedać swe biedne polskie szkapięta... A owa słynna szosa żytomierska, wiodąca przez Żytomierz do Kijowa! Jest ona drogą krzyżową, lecz już nie w przenośni, a w dosłownym znaczeniu. Tygodniami ciągnęły tamtędy tabory wygnańców, a dzieci marły i marły... Dowieziono takiego trupka do najbliższego popasu i chowano nad, nawet przydrożnym. Setki krzyży znaczy ów szlak. Wiele z nich już nie ma, bo, zrobione z dwóch, sznurkiem związanych, patyczków, rozpadły się po deszczach.

Kiedyś wczesnym rankiem szedłem główną arterją Kijowa — Kreszczatykiem. Miasto spało, wspaniałe witryny wystaw, zasłonięto żaluzjami. Środkiem, wolnej jeszcze od dudniących tramwajów, ulicy jechał powołutku „bieżeński“ wózek. Z przodu, na kobiałce, siedziała owinięta w chuścinę dziewczynka, na półkoszkach tłukły się poprzywiązywane sznurami garnki i wiadra. „Paniczu, gdzie to cmentarz?“ zapytał chłopiec, prowadzący konie, intuicyjnie, odgadując w przechodniu Polaka. Zdumiony zapytaniem, zajrzałem pod budę do wozu i ujrzałem trzy trumny, zbite z nieheblowanych desek—dwie duże, a jedna malutka. „Tatusiowi zmarło się za Fastowem, mama chcieli odwieźć ich do Kijowa, ale po drodze na śmierć się zapłakała, a ten mały Wojtek, co jeszcze ssał, zara po niej, bo chleb nam został tylko... I gdzie tu ten cmentarz, nikt nie chce powiedzieć. A czy pochowają darmo?“ Zacisnąłem zęby, aby nie ryknąć płaczem. Po raz pierwszy zrozumiałem wtedy chłopską mękę wygnańcza.

. . . . .

Zmuszony do wyjazdu na Syberję, zatrzymałem się przez dziesięć dni w Moskwie, która stała się już wtedy główną centralą emigracji polskiej. Najwięcej spotykało się warszawiaków. Było to w grudniu 1915 roku. Pierwszą mą myślą było poszukać swoich. Udałem się więc wprost z hotelu do komitetu polskiego.

Milutyński zaułek... Krótka ta uliczka wraz z ciemnymi przecznicami przypominała małe polskie miasteczko, ciśnięte jakimś cudem w gąszcz cebulastych cerkwi i ohydnych żółtych, pomarańczowych, niebieskich i zielonych domów moskiewskich. Wszędzie polskie napisy... Tania kuchnia dla inteligencji, Komitet pomocy sanitarnej, C. K. O., Czytelnia... Pośrodku śliczny kościół, a przed nim typowe Antki warszawskie, wykrzykujące na całe gard-

ło: „Gazeta polska“, „Dziennik Kijowski“... Ostatnie telegramy z placu boju... Wielkie zwycięstwo... etc!“ Od razu poczułem się mniej osamotnionym. A gdy jeszcze jakiś andrus krzyknął: „ostatnia Mucha!“ (Nerbuch i Krogulec znaleźli się również na bruku moskiewskim), kupiłem z uciechy aż dwa numery. W olbrzymiej kawiarni „Filipowa“ spotkałem wielu znajomych, o których istnieniu zapomniałem już całkowicie, a w zacisznej eleganckiej kawiarence „Bim-Bom“ ujrzałem zdziwioną twarz pana Jaracza, który mi zaraz powiedział, że są tu: Rapacki, Niewiarowska i Szczawiński, że Mesalka śpiewa w najlepsze i że wiele jeszcze prócz niego spotkam znakomitości warszawskich. I rzeczywiście, jak duch Banka (chciałem powiedzieć „Głosu Narodu“ i „Kurjera Porannego“), pojawiła się naraz postać Kazimierza Ehrenberga, tak, że chciało się krzyknąć: a gdzie Waław Grubiński? Jedliśmy jednak ze względów przyzwoitości ciastka, które już wtedy kosztowały po 25 kop. i opowiadaliśmy sobie, że moskwicze, to chamy (kopnąć bowiem przy wsiadaniu do tramwaju kogoś w brzuch należy w Moskwie do dobrego tonu), że obuwie podróżowało, a „kułaki“ — lichwiarze i kamienicznicy moskiewscy robią brylantowe interesy. Potem wyszliśmy dla konkokcji na Twerską, doszliśmy do pomnika Puszkina i w jednej z bud, przylepionych do muru jakiegoś monasteru, ujrzałem Tadeusza Micińskiego — mówił o słowiańszczyźnie i narodzie bratnim rosyjskim. W budach tych albowiem wypiekają na poczekaniu gorące „prawdziwie jajkowe“ wafle, nadziewane przedziwnie skomponowaną marmeladą. Jeśli tacy ludzie mogą tu jeść wafle, to tembardziej ja, skromny chudopacholek literacki. Wszedłem więc, słuchołem i jadłem — ale moskiewskie wafle nie smakowały mi... Tak wyglądają, po drogach krzyżowych, nędzy, głodzie i tyfusie wygnaćczym, jasne, słoneczne strony emigracji pol-

skiej. W Moskwie zgromadził się jej kwiat — inteligencja... Zapomniałem jednak dodać, że na placu przed „Ermitażem“ (pierwszorzędna restauracja — „kabak, gdzie guljajut bogaczi“, jak mnie objaśnił stójkus), musiałem przetrzeć sobie oczy, ujrzałem albowiem dwie najautentyczniejsze dryndy warszawskie. „Ewakuowaliśmy z kuźmi, a teraz bez zawiść i konkurencjom, że warszawska publika nami jeździ, jamszczyki tutejsze, psia ich mać, pierom nas po pysku i nigdzie spokojnie stać nie dadzą.. Ale my ich też...“ Tu nie od rzeczy będzie przypomnieć, iż wraz z dryndziarzami przyjechali do Moskwy: stróż Walenty, Połusztannikow i Mały Kazio (oczywiście nie wagonem, a na łamach „Muchy“). I „Lutnia“ istniała w Moskwie. Salony pana Lednickiego gromadziły u siebie wszystkich działaczy politycznych, panna Lednicka inicjowała wystawy młodych malarzy na emigracji. Powstało Towarzystwo „Opieki nad zabytkami sztuki polskiej“, którego najruchliwszym członkiem był dr. Morelowski. Widziałem u niego setki fotografii... zburzone już obecnie świątynie i gmachy polskie. Mój Boże!

Gdy się wspomniało o Moskwie, nie od rzeczy będzie dać garść niektórych szczegółów, tyjących emigracji polskiej w innych miastach rosyjskich. W Saratowie naprzykład znajdowało się, według notowań z 1916 roku, 1,200 rodzin polskich, co czyni przypuszczalnie 2,400 osób. Znajdowało się tam wielu Polaków, austriackich i niemieckich poddanych oraz jeńców. Opiekował się nimi „Patronat“, który później przeistoczył się w „Komitet Słowiański“. Prezesem tego Komitetu był Polak, A. Wolski, członek Saratowskiej izby sądowej — pomiędzy członkami zarządu znajdowali się: Ksiądz Potocki, I. Myślik i E. Gajek, prof. konserwatorium miejskiego, oraz panie S. Blokowa i W. Mielencka. Ogólny dochód składkowy za rok 1916 wyniósł tylko 2005 rb. 17

kop. Jeńców, oficerów austriackich, Polaków było 60; pozwolono im chodzić bez straży, oto nazwiska niektórych: Tomasz hr. Łubieński ze Lwowa, Witold Sulimirski, właściciel kopalni nafty, Stanisław Gajek i Tadeusz Witwicki, profesorowie gmnazjalni ze Lwowa, Rudolf Fogel, wiceprokurator sądu okręgowego ze Lwowa, Antoni Wołkowiński, obywatel ziemski.

Bardzo znaczna liczba Polaków znajdowała się w samarskiej gubernji pod opieką C. K. O. Zarejestrowano 7,311 wygnańców, z których tylko 5% było niezorganizowanych w partje wygnańcze. C. K. O. założył 23 szkółki, do których uczęszczało 1,000 przeszło dzieci i które zaopatrzono w bieliznę, odzież i obuwie. Przy każdej szkółce znajdowały się kursa dla analfabetów, na które uczęszczało 300 osób. W Abdulinie i Bugurusłaniu założono 2 szpitale, w Obszarówce warsztat koszykarski, pracowało tam 50 kobiet i starców. W dziesięciu miejscach C. K. O. wydzierżawił ziemię i rozdał ją wygnańcom, zaopatrując ich jednocześnie w nasiona, ogrodowizny i kartofle, 6 — 10 pudów na rodzinę. Wogóle, pomimo drożyzny, warunki życiowe były dla wygnańców w samarskiej gubernji nie najgorsze. Działalność tamtejsza jest jedną z chlubnych kart C. K. O.

Żywy udział brał również C. K. O. w powolnej ewakuacji wysiedleńców z Turkiestanu, gdzie było ich 84.000 — Polaków 6.000. Ewakuacja szła dwiema drogami: 1) przez morze Kaspijskie, przez Krasnowodsk do Astrachania, 2) przez obwód Syrdaryjski, Orenburg i Samarę. Obie drogi w dalszym ciągu krzyżowały się w Saratowie. Do 1-go maja 1916 r. C. K. O. zanotował 8,614 osób ewakuowanych, prócz 2,400, które pozostały w Astrachaniu. Zorganizowanych w grupy 73,2%, niezorganizowanych 19,9%. Mężczyźni stanowią czwartą część ogółu ludności wysiedleńczej, dzieci 42,6%, z tego 67,1%

w wieku szkolnym. Wybór instruktorów C. K. O. był tutaj bardzo staranny; zastępcą pełnomocnika był, znany poeta, L. Staff, głównym lekarzem Bolesław Dębowski.

Oto fakta, z jakimi zetknąłem się osobiście w przejeździe moim przez Rosję na Syberję. Wiem, że nie są one wyczerpującymi, mogą załedwie być słabym przyczynkiem do tej wędrówki ludów, w której nam przeznaczenie tragiczny udział wziąć rozkazało. Dopiero po latach kilkunastu źródłowej pracy, o ile archiwa podczas rewolucji rosyjskiej ocalały, dokładny mniej więcej obraz tych czasów można będzie stworzyć. Dla lepszej, choć tylko powierzchowną być mogącej, orientacji załączam też w końcu tej pracy przypisy, zawierające niektóre bardziej szczegółowe dane i ciekawsze dokumenta.

. . . . .

Do Kurhanu, w tobolskiej gub., przybyłem w pierwszych dniach grudnia 1915 r., jako zarządzający gospodarstwem epidemicznego oddziału Wszechros. Związku Ziemstw, do którego zostałem odkomenderowany z armji. Kurhan, małe miasteczko nad rzeką Tobolem, był bazą naszego oddziału. Pojedyncze punkta, epidemiczno-żywnościowe, umieszczono w różnych wsiach i przy stacjach kolejowych tobolskiej gub., t.j. w miejscach, gdzie znajdowały się większe skupienia wygnańcze: w Lebjażem, Wwiedeńskom i Issyl-Kulu. Za wyjątkiem więzienia, magistratu, klubów, kilku will i domów miejscowych bogaczy całe miasto składało się z niewielkich, z grubych bierwion zbudowanych, nieco obszerniejszych, niż wiejskie, chałup o niskich sufitach, małych okienkach, piecach z leżankami i niezliczonej ilości przybudówek.

Przez pierwsze dwa tygodnie mieszkałem u t. zw. „barysznika“, t. j. handlarza, skupującego wszystko, co się da, za możliwie niską cenę (najchętniej kupu-

ją kradzione), a drącego przy sprzedaży skórę ze swego klienta. Afanasij Spirydonowicz, mój gospodarz, opowiadał mi zwykle wieczorami o swoich kupieckich, bohaterskich czynach — główną rolę grała w nich uprząż okuta srebrem (którą kupił od pijanego stangreta na tandecie za 30 rb., a sprzedał za 650). „Ot, był interes“, powtarzał, cmokając z lubością mięsistymi wargami, — „teraz coraz to trudniej o takie...!“ Matka jego, dość sympatyczna staruszka, spoglądała nań z zachwytem, robiąc zawzięcie pończochę. „Ot, jaki mój Fonia mądry — jeszcze małym chłopcem będąc, wykradał u swego ojca, Spirydona Iwanowicza, świeć Panie nad jego duszą, herbatę ze sklepu i sprzedawał ją na rynku“. Dziwnie zaciszne i barbarzyńskie zarazem były te wieczory... Ogromny samowar śpiewał i jęczał, na dworze wyl buran, a od pieca-leżanki, zajmującej pół izby, buchało takie gorąco, iż siedzieliśmy bez kurtek, w samych tylko koszulach. Czwartym naszym, ukrytym gdzieś, a milczącym towarzyszem był wielki puszysty kot. Wystarczyło krzyknąć głośno: „Jakow“, a bestja owa spadała nagle pod nogi, gdzieś z pieca lub z belki jakiej pod pułapem, tarła się, wygiąwszy grzbiet i miauczała przeraźliwie. Charakterystyczną cechą „Jakowa“ było to, iż lubił namiętnie pieczone jabłka. Zwykle usypialiśmy wszyscy troje na naszych wygodnych fotelach, ukołtysani ciepłem i szumein samowaru — często jednak przychodzili goście, brodatokosmacy koledzy, Afanasja Spirydonowicza. Wchodzili do izby milcząc i, pomodliwszy się, przy akompanjamentie niezliczonych pokłonów przed ikonami w rogu, zdejmowali z nóg t. zw. „pimy“ (czarne lub białe wojłoki). Kładziono je zwykle na leżankę, aby stajał i ulotnił się z nich śnieg, przyniesiony z ulicy. Z gorącej leżanki wznosiły się wtedy kłęby pary i nieznośny fetor zapełniał „świetlicę“. Dopiero po trzeciej szklance herbaty, wy-

pijano ich do dwudziestu, rozwiązywały się języki. O ile nie rozpoczynano wścieklej, na tysiące nieraz gry w „dwadzieścia jeden“, oglądano najciekawsze skarby gospodarza. Składały się one z gramofonu, trzech aparatów fotograficznych, austriackiego karabinu i hełmu pruskiego. Większe jednak skarby tały się na strychu, gdzie Afanasij Spirydonowicz rozwiesił pęczkami około 2,000, zbieranych przez lat kilka, skórek gronostajowych, wyczekując wzrostu cen... Typ Sybiraka z tobołskiej gub. nie należy wcale do sympatycznych. Gościnnie niby i dobrodusznie, gdzie chodzi o zysk, odznacza się niesłuchaniem grubiaństwem i brakiem litości oraz szacunku dla słabszych i biedniejszych od siebie. Nieuczciwy i złodziejski, rzadko przyjdzie komu z pomocą. Zaobserwowałem kiedyś następującą scenę... Niedaleko stacji kolejowej upadła, wycieńczona podróżą i głodem, wygnanka. Tłumy całe przechodziły koło niej z dziwną obojętnością. Nikomu nie przyszło do głowy ratować. Dopiero „litościwy“ stójkowy, nie ze względu na to, iż na dworze panował 30-to stopniowy mróz, ale ponieważ wydało mu się to zakłóceniem porządku publicznego, podniósł ją, aby zanieść do cyrkułu. Można tam naprawdę umierać pod progiem ciepło ogrzanej izby, a nikt nie pośpieszy z pomocą. Wojna obchodziła, nieuważających się za Rosjan, a za coś zupełnie odrębnego Sybiraków, bardzo mało, nie poczuli jej zbliżka, domostwa ich nie uległy zniszczeniu, a interesa poprawiły się. Pomimo wojny przez całą zimę odbywały się w Kurhanie, w klubie kupieckim, huczne bale, maskarady i pijatyki. O smaku, dowcipie, upodobaniach i guście owych pseudodobrodusznych ludzi północy można napisać cały oddzielny rozdział. Jednym z ulubionych źródeł dochodu pobocznego było zakupowanie koni u ciemnych i zabobonnych Kirgizów za fałszowane ruble. Wyrobem ich artystycznym zajmowali się prze-

ważnie zbiegli katorżnicy, żyjący gdzieś na uboczu, i opłacający się policji. Kupiec, który miał interesa z Kirgizami, zajeżdżał do takiej nieoficjalnej mennicy, kupował odpowiednią ilość rubli (50 kop. za rubla) i wracał zwykle tryumfalnie, wiodąc za sobą cały tabun drobnych i kosmatych, lecz wytrzymałych koników (do ogona pierwszego przywiązywano zwykle uzdę następnego i t. d. sznurem). Gdy biedny Kirgiz przyjeżdżał na wiosnę do miasta po swoje nędzne zakupy, połowę rubli zwracano mu ze śmiechem. Żyją sobie Sybiracy „po Bożemu“, jedzą dobrze i panuje u nich względna czystość. Ogromny wpływ wywarli jednak na tamtejszą ludność, szczególnie wiejską, jeńcy wojenni. Wprowadzili wiele ulepszeń gospodarczych i nowych sposobów w technice rzemieślniczej — wogóle wpływy ich odbiły się na ludności bardzo dodatnio i przyczyniły się do podniesienia kultury. Głównie Czechom, którym, jako słowianom, łatwiej było się porozumieć, powodziło się doskonale. W wielu wsiach zastępowali mężczyzn, którzy poszli na wojnę, we wszystkim... Nie można powiedzieć, aby rezerwistki syberyjskie bardzo na nich narzekały. Zresztą nie gorszyło to nikogo — moralność niewiast syberyjskich jest elastyczniejszą od kauczuku.

W oddziale naszym i filjach jego pracowało bardzo wielu lekarzy-jeńców, zarówno słowian, jak i Niemców, pod kierownictwem lekarza oddziałowego — Rosjanki, milej, lecz nie mającej pojęcia o medycynie kobiety. Lekarze-jeńcy mieszkali wszyscy wraz z jednym księdzem rusińskim we wspólnym mieszkaniu pod ścisłym nadzorem, nie tylko wojskowym lecz i policyjnym, otrzymując zwykłą pensję jeńca oficera, t. j. 50 rb. miesięcznie. Z początku można się było jeszcze za te pieniądze na Syberji utrzymać. Było ich pięciu. Czas jakiś pracowali za pewną niewielką dodatkową opłatą w szpitalu miejskim, lecz

gdy generał-gubernator syberyjski wydał rozkaz, zabraniający jeńcom-inteligentom płacić za ich pracę, pomimo największego nacisku ze strony władz, przestali udzielać pomocy lekarskiej. Dzięki mądrym rozporządzeniom generał-gubernatora, Kurhan i większość miast w guberni tobołskiej znalazła się w takim położeniu, że gdy i tam dopłynęła fala wygnańcza z Rosji, gnębiona najrozmaitszymi chorobami, to każdy powiat miał zaledwie 1—2 lekarzy, przeważnie mało uzdolnionych starsuszków, ponieważ młodszych zmobilizowano. Zabobonna ludność, podszczuwana przez władze, patrzyła na jeńców-inteligentów z ogromną podejrzliwością — już to samo, że nie byli prawosławnymi, czyniło z nich w oczach Sybiraków synów Antychrysta. Gdy jednak w krótkim okresie czasu, w którym wolno im było praktykować, okazali się bardzo pożytecznymi, ludność rozstawała się z nimi niechętnie, nie obyło się bez protestów. Nie mogę się powstrzymać od przytoczenia jednego z nich, właściwie nie protestu, a prośby, skierowanej przez kupców i kupczychy tamtejsze do generał-gubernatora. Niejaki doktor S., Polak, bardzo zdolny chirurg, dokonał pomimo wielkiego braku instrumentów, kilkudziesięciu nadzwyczaj szczęśliwych operacji, które zyskały mu tak wielką sławę, że z odległości 300—400 wiorst przywożono doń chorych na saniach. Szczególnie w oczach kupców uchodził za cudotwórcę-czarodzieja. Zwrócono się więc do gubernatora z następującą prośbą, której najciekawszy urywek brzmi dosłownie tak: „...a więc, chociaż jako miłujący cara i ojczyznę prawosławni, rozumiemy doskonale, iż on (dr. S.) jest nie tylko przestępcą i jeńcem, lecz austrjakiem i poganinem (w oryginale „niechrist“), jednakowoż prosimy Waszą Ekscelencję, aby, jako dla dobrego lekarza, uczyniła wyjątek i pozwoliła mu nadal praktykować...”

Przyjazd naszego oddziału dał odrazu pracę i zarobek lekarzom-jeńcom. Mieliśmy bowiem prawo przyjmowania w poczet naszego personelu jeńców, biorąc ich na własną odpowiedzialność. Płaca lekarska wynosiła wtedy od 150—200 rb. miesięcznie i bezpłatne mieszkanie. Jeńcy lekarze odetchnęli. Skończyła się przymusowa bezczynność i nieznośny dozór na każdym kroku. Byli to wszystko bardzo dzielni i zacni ludzie; za najlepszy dowód ich prawdziwie chrześcijańskiego postępowania służyć może fakt, iż wszyscy całą swą pensję (prócz niezbędnych na potrzeby osobiste 30—40 rb.) oddawali jeńcom-żołnierzom bez różnicy wyznania i narodowości, którzy szalenie cierpieli, szczególnie od mrozu, w gorzej od chlewów urządzonych barakach koncentracyjnych. Rozczulającymi były te wielkie stopy ciepłej bielizny, zgromadzone każdego pierwszego, po wypłaceniu pensji, w pokojach naszych eskulapów. Sam osobiście jestem dłużnikiem zacnego d-ra H., który, pielęgnując mnie z zaparciem siebie, wybawił mnie z ciężkiej choroby piersiowej.

Wraz z dr. C., młodym wiedeńczykiem, musiałem objeżdżać często wsie, w których znajdowali się wygnancy. Nie zapomnę nigdy straszliwej niedoli tych nieszczęsnych ludzi, gnębionych tyfusem głodowym, plamistym, świerzbą i gruźlicą. Był to ostatni krąg piekła dantejskiego. Wieś od wsi jest nieraz o 30 wiorst odległa. Lasów niema, wszędzie rozpaczliwa płaszczyna, pokryta oślepiająco białym śniegiem, po którym pędzi błyskawicznie trójka niewielkich pół-dzikich kirgizkich koników. Jęczy dzwonek, przywiązany do dugi „korennowo“ (środkowy koń), jamszczyk śpiewa, klnie i rozmawia z końmi, wymachując krótką nahajką, a my leżymy na dnie głębokich, niskich sanek, zaszywszy się w siano, owinięci w podwójne futra. Na głowie papacha i baszłyk, na rękach futrzane rękawice, a na nogach niezbędne wołokowe „pi-

my". — Wracamy do domu, — doktor, po zrobieniu kilkuset szczepień tyfoidalnych, drzemie z tępym ze zmęczenia wyrazem twarzy. Noc już zapadła na dobre, całe niebo zakwitło gwiazdami. Tylko dzwonek „korenno-wo“ pojękuje w ciszy, bo i „jamszczyk“ przestał wykrzykiwać. Step — bezmierny, biały step... W takich chwilach, z całą bezlitosną wyrazistością, zarysowuje się w sercu obraz kraju... Wawel, Tatry, sine krakowskie chaty, wierzby przydrożne, a potem wiecznie szumna i wesoła Warszawa z kolumną Zygmunta... Lecimy, jak ptaki. Lepiej nie rozmyślać, a patrzeć w gwiazdy. Nagle gwiazdozbiór Oriona, który tylko na północy, w czasie wielkich mrozów, świeci z tak zachwycającą wyrazistością, znika mi z oczu — zasłoniła go jakaś mgła — za chwilę znikają w ten sam sposób sąsiadujące z nim gwiazdy. Trącam łokciem d-ra C. — budzi się z odrętwienia i rozgląda się dokoła. Jamszczyk zaczyna walić z całych sił wylękle konie... Buran... (zamieć śnieżna). Gdzieś hen ze śnieżnych głębin stepu rozlega się, niby sygnał ostrzegawczy, przeciągłe wycie. Wilki... Bezwiednie zaczynamy poprawiać ukryte pod futrami rewolwery i szukać schowanego w sianie karabinu. Zawirowały białe płatki śniegu, zasłaniając wszystko, i potężny, lodowy podmuch przeleciał po stepie. Błądzimy... Szczęście nam jednak dopisuje, gdyż po dwóch zaledwie godzinach wjechaliśmy ogłoblami w coś twardego. Była to ściana jakiegoś spichrza. Za chwilę siedzimy w cieplej „izbuszce“ jakiejś zatraczonej wioszczyny i popijamy herbatę. Ugaszcza nas stary djak, który, po obfitym poczęstunku rumem z podróżnej flaszki, przemógł wstręt do „niechrystów“. Z dumą, w przyciszonym z trwogi głosie, opowiada nam, że o dwie wiorsty stąd leży wieś rodzinna Gryszki-wora (Grzegorzazłodzieja), jest on obecnie carskim „lampadnikiem“ (t. zn. zapalaczem lamp przed ikonami w sypialniach cara, cary-

cy i carewien, do których ma w każdej chwili wstęp wolny), naznacza biskupów i trzęsie całą Rosją. Słuchamy historii „świętego starca“, Grigorja Rasputina, który zresztą nie jest wcale starym — historii możliwej tylko w Rosji—i popijamy herbatę. „Tak, tak Gryszka był, jako chłopiec, najlepszym koniokradem u nas; umiał nawet u Kirgizów ukraść konia. Potem zakochała się w nim przyjezdna grafinia (Wyrubowa, przyboczna frejlina carycy), i zabrała do Pitra. Teraz on tam pan — caryca i carskie doczki miłują go i strach powiedzieć, jak się rozgniewa, to na samego „gosudara“ tupie nogą i „gosudar“ ustępuje mu, bo Gryszka nie Gryszka-wor teraz, a święty starzec“.

Zaraz po tej wycieczce, podczas której omal że nie staliśmy się ofiarą buranu, zakupiłem około tysiąca par „pimów“ wojłokowych i pojechałem rozdać je wygnańcom na punkcie żywnościowym we wsi Lebjażje, którym zarządzał kolega mój — Polak. Lebjażje — duża wieś, niedaleko od stacji kolejowej tej samej nazwy, zamieszkała przeważnie przez starowierów (staroobrzędowców), kacapów. Dopiero po kilkunastu dniach wyczerpującej pracy, zdołałem się w niej rozejrzeć. Nędza, panująca wtedy pomiędzy wygnańcami, była wprost nie do opisania. Każda partja wygnańcza, wysyłana poza granice Europejskiej Rosji, miała na swojej marszrucie wyznaczone stałe miejsce zamieszkania, w którego wyborze władze ewakuacyjne kierowały się jedynie mapą, nie mając przeważnie pojęcia o warunkach, panujących w danej miejscowości. Nieszczęsnych wygnańców wieziono czasami podczas 25—30 stopniowego mrozu na otwartych platformach kolejowych, a potem partjami wyrzucano na jakiejś stacyjce, leżącej w szczerym stepie, a składającej się zaledwie z dwóch, trzech kolejowych domów — do najbliższej wsi było nieraz dziesięć wiorst. Cały ów

zmordowany tłum siadał często w śniegu na swoich biednych tobołkach i wyczekiwał śmierci. Dopiero, po dokładnem zbadaniu papierów wygnańczych, policja miejscowa gnała ich do najbliższych wsi i rozkwaterowywała po domach włościańskich za pewną, ściśle przez stowarzyszenia wygnańcze unormowaną opłatą. Jak mile byli przyjmowani przez gospodarzy tacy przymusowi goście, jak się z nimi obchodzono i jak wyzyskiwano ich pracę, łatwo sobie wyobrazić. Dochodziło nieraz do krwawych zająć, a samobójstwa były na porządku dziennym. Dzieci marły. Dość powiedzieć, że gdy statystyka wygnańcza w Rosji wykazywała 4 dzieci przeciętnie, to tu na rodzinę przypadało 1 do 2. — Wieść o „pimach“, przywiezionych na punkt przeze mnie, rozeszła się błyskawicznie. Setki nędznych postaci przychodziło do mnie z odległości kilkunastu nieraz wiorst, często w letnim ubraniu, ze szmatami, owiniętymi koło nóg, zamiast obuwia. Barak nie był w stanie pomieścić wszystkich, a trzeba było według przepisów badać bardzo dokładnie papiery wygnańcze. Rozpacz mnie ogarniała, gdym patrzył na te wynędzniałe, chciwe twarze — wiedziałem, że moje tysiące wojłoków jest zaledwie kroplą w morzu, a nim nadejdzie drugi tyśiąc, to pewnie niejedna para nóg ulegnie odmrożeniu. — Każdy prosił, każdy błagał, przeklinał i wygrażał pięścią. Słyszało się nieraz takie bluźnierstwa, że niepojętem było wprost skąd one kobietom i dzieciom do głowy przyjść mogą. Od czasu do czasu rozlegał się płacz i jęki odganianych od baraku przez policję. Pracowałem zwykle od 8-ej rano do 5 po poł., bez przerwy. W sąsiednim pokoju było ambulatorjum, gdzie przy pomocy jednej tylko siostry i sanitariusza porał się zacny dr. C., tam panowała względna cisza, przerywana tylko płaczem dzieci i kwileniem niemowląt. „Dajcie dziecku mleka!“ — a skąd tu tego mleka wziąć. Odra,

ospa, szkarlatyna i zapalenie płuc... Niezliczona ilość ma-  
lutkich trumienek i zmartwiałe oczy matek, nie umiejące  
już płakać. Grubjańskie figury stójkusów z nahajkami  
i zwinne, eleganckie postacie żandarmskich oficerów,  
węszących wśród szarego tłumu politycznego zwie-  
rza...

Zmęczeni i wyczerpani wracaliśmy wieczorem na  
naszą kwaterę. Składała się ona z dwóch dużych poko-  
jów w olbrzymim domu, a raczej w potwornym stylu pa-  
łacu kupca, starowiera Sz. Owe, uroczyście nazwane „ku-  
pieczeskija pałaty“, zbudowane z czerwonej cegły, były  
istnem siedliskiem zalkoholizowanych widm. — Sam go-  
spodarz zidjociał już od dziesięciu lat i snuł się, jak duch,  
szłapiąc pantoflami po całym domu, wiecznie łagodnie  
uśmiechnięty i głaszczący delikatnie swą długą, wachla-  
rzowatą brodę; dwóch synów, Mitja i Kostja, 14—16 let-  
nich wyrostków, z wielkimi, nienormalnymi głowami,  
wałęsało się przez cały dzień bez zajęcia. Byli to zupeł-  
ni degeneraci, których jedyną radość życiową stanowiła  
wódka. Nie zapomnę nigdy przerażenia d-ra C., który  
zastał Mitję w naszych pokojach, opróżniającego butelkę  
z 95° spirytusem, przeznaczonym do czyszczenia instru-  
mentów. Chłopak wypróżnił  $\frac{3}{4}$  butelki i szklanemi oczy-  
ma spoglądał na lekarza. Podczas, gdy ostatni starał mu  
się na migi wytłómaczyć brzydotę jego postępuku, wśliz-  
gnął się do pokoju ojciec i przeżegnawszy się trzykrotnie  
przed ikoną, wypił resztę. Wszystkiem rządziła kup-  
czycha, tak zw. wściekła Julka, przy pomocy swego  
kochanka, starszego prykaszczyka. Meża i dzieci biła nie-  
miłosiernie, szczególnie po pijanemu. Cały dom drżał ze  
strachu na jej widok. Do paradnych pokojów, było ich  
coś ze 16, wstęp był wzbroniony. Cała rodzina przesia-  
dywała godzinami w ogromnej kuchni — tam też spano  
na piętach, wzdłuż ścian, ustawionych narach. Kilkuna-

stu żebraków i żebraczek, starców i kalek — rekwizytów, bez których nie można sobie nawet wyobrazić domostwa bogatego staroobrzędowca na Syberji, całymi dniami modliło się i biło pokłony przed obrazami. Cały dom był otoczony półtorapiętrowym murem o wąskiej furcie. Punktualnie o 8-ej wieczorem zamykano ją i drzwi wejściowe, a klucze wręczano wścieklej Julce. Do 7-ej zrana dom był niedostępną twierdzą. Pokoje nasze przedstawiały pod względem umeblowania jakąś barbarzyńską pstroka-ciznę. Przedewszystkiem rzucały się w oczy dwa olbrzymie, złożone ikonostazy w kącie oraz przyklepione do pieców dwie duże leżanki z białych kafli, przypominające sobą katafalki. Człowiek kładł się na tem, a pod nim służba paliła... Cała podłoga była wysłana dywanami. Obok cudnych, pastelowych kobierców perskich, kłóły w oczy ohydne tandety moskiewskie i szorstkie wełniaki z Tiumienia. Na przepięknym stole z drzewa różanego, wykładanego perłową macią (przedmiot poprostu muzealny), sterczał wielki, posrebrzany samowar. W moim pokoju stał, przysunięty do leżanki, prześliczny, rozstrojony zupełnie fortepian Bechsteina, a u doktora olbrzymia trąba gramofonu zasłaniała śliczne akwaforty i stare sztychy angielskie, obok których paradowały lśniące oleodruki w bogatych ramach. Majątek starego Sz., a właściwie Julki, obliczano na 6 milionów rubli, nigdy jednak nie spostrzegłem, aby dała choć grosz ubogiemu, lub zaopiekowała się wygnańcami, którzy często padali z wyczerpania na stopniach jej sklepu. Za to z niezmierną punktualnością i chciwością zagarniała te 50 rb., któreśmy jej co miesiąc płacili za utrzymanie.

Rad też byłem bardzo, gdy mnie nareszcie odwołano do Kurhanu, na moje poprzednie stanowisko. Widmowy, starowerski dom stanął mi kością w gardle. Polaków-wygnańców spotkałem po wsiach mało — udało

się ich ściągnąć do Kurhanu, gdzie przebywało około 150 rodzin. Jeszcze przed rozpoczęciem działalności C. K. O. w tych stronach, zebrano tu wsparcia dla naszych rodaków, założono tanią kuchnię i ochronkę. Duszą wszystkiego, był dyr. banku azjatyckiego, pan Jelinek z żoną. Zadni ci ludzie zapracowywali się, nie wiem wprost, co stałoby się bez nich z naszymi wygnańcami; a ile osób z inteligencji wspierali pocichu własnymi środkami, dopóki nie wystarano się im o posadę! Oboje byli pod stałym nadzorem policji, która podejrzewała ich, zresztą słusznie, o to, że pomagają politycznym zesłańcom i jeńcom Polakom oraz przemycają ich korespondencję. Dom państwa J. był dla nas istną oazą — niezapomnianą jest dla mnie wigilja, spędzona z nimi razem... Przez zasłonięte szczelnie okna nie wnikało nic z syberyjskiego krajobrazu — zdawało się, iż jesteśmy u starych, kochanych przyjaciół, gdzieś na prowincji, w Polsce. Był, co prawda, w Kurhanie mały kościółek, ksiądz Litwin nie interesował się jednak wygnańcami.

Dziwnie wzruszyła nas również choinka w ochronce wygnańczej. Około sześćdziesięciu czyściutko ubranych dzieciaków o płowych głowinach i niebieskich oczach śpiewało nam stare, kochane kolendy i uwijało się koło jarzącego drzewka. Potem maleństwa odegrały jaśelka i udały się pod opiekę nauczycielek i rodziców do domów i internatu. Tam zrozumiałem dopiero, co można uczynić względnie małymi środkami, gdy głównym motywem czynów jest miłość.

Na Syberji znajdowałem się do połowy lutego 1916 roku, to jest do chwili, w której plan mój ucieczki z Rosji przez Chiny, celem dotarcia do kraju i do Legionów spełził na niczem. Na chińsko-mongolskiej granicy wybuchły zamieszki, kordon wzmocniono i wszyscy znajdowaliśmy się pod ostrym nadzorem carskich psów gończych...

Grunt stawał się coraz to bardziej gorącym. Postanowiłem doświadczyć szczęścia na froncie...

W lutym 1916 r. kończy się też mniejwięcej pierwszy okres wychodźstwa polskiego, kończą się pierwsze, a najdotkliwsze katusze Wielkiej Emigracji. Do tej chwili wszystko było porwane wirem jeżdżenia, urządzania się, szukania chleba, wytężonego czynu ratowniczego z jednej, a dzikiego oszołomienia i rozpacz, wywołanych klęską, z drugiej strony. Cały ten czas można porównać z długim pasmem krwawej męki, udręczeń i poniżeń. Teraz dopiero wychodźstwo odetchnęło nieco, ludzie zaczęli pracować, choć warsztaty pracy zmieniły się. Rozpoczął się okres żądań, okres walki o prawa polityczne. Zaczęto domagać się uznania nas, jako Polaków, a nie jako Rosjan, mówiących po polsku; coraz to wyraźniej zarysowywał się stosunek nasz do kraju. Partje i partyjki, po długim okresie ponurego powarkiwania, wyszczerzyły na siebie zęby — we włościaninie i robotniku coraz to silniej żarzyć się zaczynała świadomość narodowa, podsycana olbrzymiejącym z dnia na dzień powiewem tęsknoty...

---

## II.

W społeczeństwie naszym utarło się oddawna zdanie, iż rząd rosyjski, owo podłe, a ślepe narzędzie w rękach caratu, gnębi zarówno nas, jak i moskali, że naród rosyjski rozumie nas, współczuje z nami i że w chwili poważnej będziemy mogli liczyć na to, iż znajdziemy poparcie w szerokiej opinii rosyjskiej. Lata, spędzone na emigracji w Rosji, zdołały nareszcie rozwiać tę śmieszoną bajkę, ułożoną już nie dla dzieci chyba, a specjalnie dla endecji emigracyjnej i kresowej, która starała się tumańczyć nią szerokie masy emigracyjne i biła w dzwon wielkiej przyjaźni słowiańskiej, a więc i rosyjskiej, aby załatać szumnymi odezwaniami dziurawy płaszcz utraconej popularności. Codzienne zetknięcie się z ludnością rosyjską, nie mającą przecież nic wspólnego z policją, ochroną, żandarmerją, a nawet działaczami rosyjskimi, utwierdzało nas coraz to bardziej w paradoksalnym, na pozór, twierdzeniu, „że każdy naród ma taki rząd, na jaki zasługuje“. Każdy, najciemniejszy nawet chłop polski na emigracji, wzruszał ze zdumieniem ramionami, gdy mu mędrkowie polityczni usiłowali wmówić, że naród rosyjski jest dlań przyjaźnie usposobiony. Toż prześladowano go i gnębiono na każdym kroku, czy to na wsi, gdzie osiadł przymusowo, czy też w szeregach armji, której wódz naczelny wypuścił w świat swą grzmącą odezwę „do Pola-

ków“, — odezwę, która jest jednym z najcharakterystycznych dokumentów kłamstwa i fałszu politycznego ostatniej doby. Chłopa polskiego na emigracji dręczył nie tylko żandarm, policjant i władze wojskowe, ale i chłop rosyjski. „Polskaja morda“, oto ulubiony i najbardziej utarty epitet, określający stosunek Rosjanina nie tylko do Polaków na emigracji, ale i do całego naszego narodu. Niechęć, którą czuł i czuje do nas, nawet obecnie, naród rosyjski, jest wynikiem różnicy dwóch kultur, owocem nie-nawiści wschodniej, półtatarskiej, barbarzyńskiej rasy do zachodniego łacinnika, którego wyższość duchową odczuwa Moskal na każdym kroku.

Prawie nigdy nie usłyszeliśmy z ust rosyjskich protestu, przeciwko dzikiej nagance rządowej na nas. Pseudoprzyjazne społeczeństwo rosyjskie chroniło przez cały czas olimpijską obojętność. Pomimo odezwy wielkiego księcia, jeńców-Polaków traktowano jak najzaciętszych wrogów, a przymusowo ewakuowanych z Galicji włościan i inteligentów trzymano pod najściślejszym dozorem policyjnym, jak gdyby podejrzanych o przestępstwo kryminalne. Zakładnicy-Polacy musieli się meldować codziennie w policji. Ciekawy dokument widziałem w grudniu 1917 r. u jednego znajomego inżynjera, chował go na wieczną rzeczy pamiątkę. Były to podpisy meldunkowe z cyrkułu, przyklepione do jego legitymacji zakładniczej. Gdy jedna karta została zapełniona, przyklepiano do dolnego jej brzegu następną i t. d. W ten sposób utworzyło się pasmo, pokrytego podpisami papieru, długości 1 metra i 15 ctm. Firmy rosyjskie, w których pracowali Polacy-obcopoludni, wyzyskiwały ich niemożliwie, gdy zaś, w miarę wzrastającej drożyzny, proszono o podwyższenie płacy, właściciele grozili oskarżeniem w policji o szpiegostwo wojskowe.

W październiku 1915 r. sam byłem świadkiem bar-

dzo charakterystycznego zajścia. Mieszkałem wtedy w Kijowie przy ul. Kościelnej Nr. 6, wynajmując pokój u nauczycielki ludowej, Aleksandry Onufrejwny Sieleckiej. Dom ów był udziałowym, każdy z lokatorów po kilkunastu latach stawał się właścicielem swego mieszkania. Wszyscy mieszkańcy należeli do średniej inteligencji rosyjskiej; nauczyciele, lekarz, adwokaci, inżynjerowie i handlowcy. Zarząd domu był wybieralny i uchodził za bardzo postępowy i liberalny. Oprócz mego pokoju wynajmowała pani Sielecka jeszcze jeden obszerny pokój... Otóż, gdy jednego dnia zjawiła się pewna wdowa z córeczką, celem wynajęcia go, pani S. odmówiła kategorycznie, oświadczając, że wrogom mieszkania nie wynajmuje. Na dowodzenia wynajmującej, że jest wszakże Polką, pani S. odpowiedziała: „Polaków nie ma, pani jest dla mnie tylko austriacką poddaną“. Gdy kilka osób, Polaków, zamieszkujących w tym samym domu zwróciło się do administracji, ta oświadczyła, iż solidaryzuje się w zupełności ze zdaniem pani S.

Ten jeden drobny fakt, który w każdej dziedzinie życia tysiąckrotnie się powtarzał, charakteryzuje, zdaniem mojem, bardzo wyraziście stosunek społeczeństwa rosyjskiego, nawet liberalnego, do Polaków. Byliśmy sami, zupełnie sami, i na nikogo liczyć nie można było. Koalicja oddała nas całkowicie na żer carskiej Rosji. Mimo to, panowie ugodowcy starali się w nas wmówić, że to tylko stan przejściowy, że wszystko ma się ku lepszemu i że, dzięki zręcznej robocie dyplomatycznej, będziemy wkrótce zbierać owoce samorządu. O niepodległości nie wspominali już, ponieważ słowo to brzmiało przykro w uszach petersburskich chartów dworskich. Zapisywano całe libry papieru na temat już już mającego nastąpić ogłoszenia autonomji polskiej (według znanej kadeckiej recepty) i nowej, jasnej ery pod opiekuńczemi skrzydła-

mi dwugłowego orła, „na którego piersi spoczywa orzeł biały i Pogoń“. Szeroka opinia rosyjska traktowała kwestję polską, jako sprawę takiego to, a takiego departamentu ministerjum spraw wewnętrznych. Była to tylko jedna z licznych kwestji inorodczych... Nie pomogły przejażdżki nad Nową A. Lednickiego, ani hr. Wielopolskiego, po których czytało się zwykle w pismach następujące komunikaty; „Hr. Wielopolski wysłuchany został bardzo uważnie. Oświadczono tam, iż dotychczasowa decyzja w sprawie polskiej jest niezachwianą i że w czasie najbliższym będzie ogłoszony odpowiedni akt, który powinien zadowolić naród polski“.

Tymczasem w dalszym ciągu funkcjonowały wywiezione z Królestwa instytucje rosyjskie, jak sądy, powiaty i t. p., a w Rostowie nad Donem rozbił swe namioty „Uniwersytet warszawski“, w którym półgłówki urzędnicze, nazwane uroczyście profesorami, uprawiały nadal polakożerczą politykę. Jak się zaś obchodzono z uczęszczającymi do ewakuowanych szkół uczniami-Polakami, świadczy najlepiej zapytanie departamentu oświaty ludowej z d. 9 czerwca 1916 r. za Nr. 3672, skierowane do zarządu ewakuowanego wileńskiego okręgu naukowego; „Do wiadomości ministerjum doszło, że w granicach W. W. P. P. okręgu naukowego władze szkolne wymagają od uczniów katolików udziału w chórze cerkiewnym i zmuszają do uczestnictwa w modlitwie przed rozpoczęciem lekcji razem z prawosławnymi, a także do obecności na lekcji religji prawosławnej. Komunikując o powyższem, departament oświaty ludowej prosi W. Ekscelencję o nadesłanie stosownych informacji“.

Mimo to wszystko ugodowcy nasi nie tracili nadziei, spodziewano się ciągle, że tylko czekać, jak z nieba (petersburskiego, oczywiście) spadnie wspaniały dar dla Polaki. Miały się do tego przyczynić projekty „przyjaciół“

kadetów, połączone z projektami Sazonowa, szło tylko o to, aby przeczekać ów martwy okres. I rzeczywiście, już w lipcu 1916 roku, pismo kadeckie „Riecz“ w Nr. 186, w artykule naczelnym oświadczyło, iż kwestja polska w najbliższych dniach wypłynie na widownię, iż nieco przydługie milczenie w sprawie polskiej świadczy jedynie o tem, że opracowywano projekty, co do przyszłego ustroju Polski, oraz, że zostanie niebawem ogłoszony akt, potwierdzający odezwę w. księcia i formułujący jasno zasady projektu autonomji.

Artykuł ów pokazuje wyraźnie, jak naprawdę wyglądała przyjaźń kadecko-polska, dlatego też więc przytaczam najważniejsze wyjątki z niego w przypiskach pod Nr. 6. Kadeci byli zdania, że jedynymi, uprawnionymi reprezentantami narodu polskiego są ludzie z grupy Erazma Piltza oraz, że sprawa polska jest o tyle tylko ważną, o ile może wpłynąć na polepszenie stosunków pomiędzy koalicją a Rosją. Tak wyglądała ideologja kadecka w czasie wojny o „oswobodzenie narodów“.

I rzeczywiście, sprawa polska wypłynęła na widownię, zgodnie z przepowiedniami kadeckimi — wypłynęła zaś przez opublikowanie, datowanego jeszcze dnia 26 kwietnia 1916 r., okólnika o Polakach, który ministerstwo spraw wewnętrznych rozesłało gubernatorom, naczelnikom miast, naczelnikom osobnych wydziałów i innym władzom. Okólnik ów stwierdza fakt, iż w ostatnich czasach zarówno w Rosji, jak i zagranicą spostrzega się w kierowniczych kołach polskich zwrot w kierunku rozstrzygnięcia kwestji polskiej w duchu orientacji austriackiej. Następuje objaśnienie okoliczności, które na zmianę tę wpłynęły, oraz informacje o konferencji, która się odbyła w 1916 r. w styczniu w Krakowie, a następnie o naradzie prywatnej w Lozannie, na której Roman Dmowski zgodził się na prowadzenie wśród Polaków na emigra-

cji propagandy austrofilskiej; do Dmowskiego przyłączył się pono Witold Czartoryski. Zmiana owa odbiła się, jak twierdzi okólnik, na nastroju młodzieży polskiej — szczególnie było to widocznem podczas narad poufnych w „Domu polskim“ w Moskwie. „W ten sposób — kończy okólnik—agitacja austriacka osiągnęła swój cel i obecnie szykuje się do odniesienia ostatecznego zwycięstwa i zniszczenia w zarodku wszelkich sympatji Polaków rosyjskich dla idei zjednoczenia Polski pod protektoratem Rosji“.

Okólnik ów z jednej strony podkreślił wcale niedwuznacznie wrogi stosunek rządu rosyjskiego względem Polaków, z drugiej strony uderzył w dzwon alarmowy i dawał do zrozumienia, iż trzeba Polaków skokietować nowemi obietnicami, których spełnienie można odłożyć „ad calendas graecas“.

W odpowiedzi na wymieniony wyżej okólnik Koło Polskie wystosowało natychmiast memorjał udowadniający, iż wszystkie fakty, podane w nim, są albo kłamliwe, albo też zupełnie przeinaczone. Podaję go tutaj w skróceniu; „Informacje o konferencji w Krakowie, na której hrabia Tarnowski poczynił propozycje, jakoby przyjęte przez konferencję, oraz wiadomość, jakoby następnie w Lozannie odbyła się konferencja prywatna, na której Dmowski przyjął orientację austriacką i że to samo uczynił książę Czartoryski, nie są zgodne z rzeczywistością i oparte są na pogłoskach... Przeciwnie wszystkie usiłowania i nalegania hr. Tarnowskiego pozostały bez skutku. Książę Czartoryski protestował energicznie przeciw propagandzie austriackiej w Królestwie i w Galicji. Twierdzenia okólnika Ministerjum Spraw Wewnętrznych o zmianie frontu politycznego Polaków są niezgodne z prawdą. Konferencja w Lozannie zdecydowała bowiem rzecz wręcz przeciwną, tyczącą się nietylko Króle-

stwa i Galicji, ale i Polaków w Ameryce“. Memorjał powyższy został podpisany przez posłów do Dumy Państwowej i do Rady Państwa; hr. Wielopolskiego, Gościckiego, Szebeki, Harusiewicza, Karpińskiego i Jarońskiego.

Okólnik Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, które wiedziało dokładnie, że orientacja szerokich mas polskich jest tylko polską, że my pragniemy pozostać tylko sobą i sami na własnej pracować ziemi, miał jedynie na celu usposobić wrogo dla sprawy polskiej bezkrytyczną część społeczeństwa rosyjskiego. Udało się to w zupełności—nawet w prasie czerwonej nie znajdujemy protestu przeciwko tak jednostronnemu ujmowaniu kwestji polskiej. Cóż zresztą mogła obchodzić „towarzyszy“ rosyjskich sprawa polska, tak mikroskopijna w oczach ich, w porównaniu z uszczęśliwieniem całej ludzkości za pomocą rewolucji, która na rok przyszły wybuchnąć już miała w Rosji!... Jeśli zaś prasa czerwona milczała, to trudno się dziwić patryjotycznemu okrzykowi nacjonalistycznego „Głosu Rusi“: „Wojna nie jest jeszcze ukończona i chociaż mocno jesteśmy przekonani, że zakończona będzie zupełną porażką wroga i zjednoczeniem Polski pod skrzydłem dwugłowego orła, Cesarza Wszechrosji, sądzymy wszakże, że polityka realna nie dopuszcza rozważania kwestji, której treść nie poddaje się obrachunkowi realnemu. Niewątpliwą rzeczą jest jedno: naród polski po bratersku będzie wynagrodzony przez Rosję za ofiary poniesione“.

Nie mogę się powstrzymać od przytoczenia wyjątku z memorjału Erazma Piltza do Milukowa, pisanego w Lozannie 11 czerwca 1916 (niestety, dotarł dopiero 2 sierpnia do Rosji), a który stanowi jakgdyby „pendent“ do zacytowanego tylko co okrzyku „Głosu Rusi“.

„Dla tych wszystkich właśnie względów, działacze

polityczni, będący przekonanymi i oddanymi stronnikami czwórporozumienia, a odpowiedzialni za politykę polską, znajdują, że jedynie autonomia polityczna, tak jak ją rozumieją na Zachodzie, taka, jaka wyraźnie się zarysowuje w Odezwie Woźza Naczelnego, może się przyczynić do rozwiązania kwestji polsko-rosyjskiej...“

To się nazywa mieć tylko polską orientację! Biedna Polska! Jakże długi czas mało krytyczna większość emigracji polskiej w Rosji wyobrażała sobie, że pomimo wielkiego ucisku, krzywd i niedoli reprezentuje ją przecie w państwie neutralnem jakiś tajemniczy „komitet“ polski na forum europejskiem! Że ma się tam hen daleko poważnych obrońców Sprawy...

Tymczasem z Lozanny nadchodzi memoriał Piltza, a „Gazeta Polska“ w Piotrogradzie otrzymuje następujące informacje od posła Jarońskiego, które mają być przyczynkami do memoriału Koła Polskiego w odpowiedzi na okólnik Ministerstwa Spraw Wewnętrznych: „Koła Polskie wyraziły sferom rządowym swe poglądy na treść aktu, dającego konkretny wyraz współżycia obu narodów. Jest nim unja realna; po za wspólnością Tronu, obrony państwowej, granicy celnej i polityki zagranicznej — reszta funkcji państwowych należy do samodzielnej w swem życiu wewnętrznem Polski. Tymczasowy rząd krajem do czasu wejścia w życie konstytucji winien być oddany w ręce Polaków. Rozumiemy, że tylko taki akt szczerze przez Polaków przyjęty być może, jako zasadnicza i trwała zmiana stosunku Rosji do Polski, stosunku, opartego na wzajemnem zaufaniu i odpowiadającego godności narodu polskiego...“

Takie rzeczy mówi się wtedy, gdy Legjony nasze zrosiły krwią swoją stoki Karpat i gniły z wzrokiem zatopionym w przyszłą wolną, niepodległą a świetlaną Polskę wśród bagien poleskich, gdy krew polska zdobiła

świętymi rubinami wszelkiego pokroju i barwy mundury na wszystkich frontach, a szare rzesze Wielkiej Emigracji trawiła tęsknota do Ziemi Obiecanej—do Ojczyzny.

Czemż więc się dziwić, jeśli współpracownik „Kijewa“, D. Skrynczenko, w drugą rocznicę wojny, mówiąc o nadaniu autonomji Polsce, w następujący sposób rozwiązuje kwestję polską w kraju „południowo-zachodnim“, obecnie na „Ukrainie“: „Polska tu winna umrzeć ostatecznie, polskie dwory ziemiańskie, będące twierdzami polskości, winny być zniszczone i oddane w ręce rosyjskie. A więc i żadna kwestja skasowania tu ograniczeń polskich nawet istnieć nie może... Winien być utworzony specjalnie wielki fundusz państwowy dla skupu gruntów polskich, ażeby stopniowo własność ziemską polską doprowadzić tu do zera“. To, czego się tak domagał monarchista, Skrynczenko, dziwnym zbiegiem okoliczności wprowadzili o rok później w czyn bolszewicy, nawet bez założenia funduszu państwowego.

Orgja nacjonalistyczna, która wzrastała obecnie z dnia na dzień, aby zimą z 1916 na 17 r. osiągnąć swego apogeum, orgja fałszerstw, kłamstw i niesłusznych zarzutów, w czasie, gdy żołnierz polski musiał ginąć, odziany w żołdacki szynel, znalazła wyraz w wydanej w 1916 roku książce M. I. Pieredereja, urzędnika policji, pod tytułem „Istoria Russkawo Gosudarstwa“. Jest to podręcznik Iłowajskiego, przełożony na popularną formę wierszowaną. Autor został za pracę swą podobno wynagrodzony. Owa warjacka, śmieszna, ignorancka książka, której wyjątki, tyczące się Polski, podajemy, według „Kurjera Nowego“, w przypiskach naszych pod Nr. 7, jest bardzo charakterystyczną dla owych czasów. Większość społeczeństwa rosyjskiego, pomimo wszelkich odezwo i rozsianych zrzadka przychylniejszych dla Polski artykułów, myślała tak, jak pułkownik Pierederej.

Jeśli jednak rozważy się dokładnie całą tę powódź artykułów, listów otwartych oraz memorjałów, która weszła burzliwie z lipca na sierpień 1916 r., to dochodzi się do wniosku, iż opublikowanie owego, we wrogim tonie dla Polski utrzymanego, okólnika Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, sprawcy całej tej awantury, jest pierwszym niezdarnym wysiłkiem rządu rosyjskiego, naciskanego widocznie przez koalicję do uprzedzenia aktów mocarstw centralnych, ogłoszonych 5 listopada. Widziano już dokładnie, na co się w Polsce zanosi, widziano jaki niebezpieczny przewrót dla Rosji w umysłach polskich dokonać się może. Rozdmuchiwano z całych sił przytłumione popiołem biurokratycznym iskielki sprawy polskiej. Chciano przy jednym ogniu upiec dwie pieczenie — dać Polakom nowe, szumne obietnice w duchu odnowionej odezwy W. Księcia, a równocześnie ani na krok nie ustąpić ze stanowiska niepodzielności państwa rosyjskiego, za którego prowincję uważano i nadal Królestwo Polskie, pomimo zajęcia go przez państwa centralne. Zarówno kadeci jak i nacjonałiści postanowili sobie wygrać wielką stawkę na tej loterji, stąd też ciągle ogłaszanie ogromnych, kompletnych planów autonomji polskiej, publikowanych z całą drobiazgowością i otwartością przez kadetów, a bardziej powściągliwe i jakgdyby otoczone woalem tajemnicy, głosy nacjonalistów. Od czasu do czasu mówi się o projektach Kokoszkina, Sazonowa i Stürmera — to rząd carski, który powoli a oględnie rozstawia swoje siła i mącąc wodę, wyczekuje bogatego połowu. Podobno raki łowi się najlepiej na przynętę z padliny... We wzrastającym coraz to silniej rozgardjaszu, migają tragicomicznie postacie naszych ugodowców.

Wystarczy przejrzeć tylko pisma z tego okresu... Dn. 9 i 10 lipca odbywa się narada „Partji Wolności Ludu“, na której ks. P. D. Dołgorukow wygłasza olbrzymi,

kunsztowny referat, oparty na wszelkich możliwych i niemożliwych a przypuszczalnych rezultatach wyniku wojny wszechświatowej. Koniec końcem dochodzi oczywiście do wniosku, że jedynie plan kadetów, opracowany jeszcze w 1905 roku, może zadowolić wymagania polityczne Polaków. W rezultacie—dla ostrożności — pozostawia narada sprawę polską otwartą. Publicysta Stanski sekunduje kadetom z cyniczną otwartością, utożsamiając Rosję z partją Milukowa. Tymczasem wszystkie pisma bez różnicy przekonań zaczynają trąbić, iż dnia 30 lipca, t. j. w dniu urodzin następcy tronu, ma być ogłoszony akt w sprawie polskiej. Według „Russkawo Słowa“, zostało przyjęte zdanie mniejszości gabinetu, zwolenników projektu Sazonowa (patrz przypiski Nr. 8). Opracowuje go sekretarz państwa S. Kryżanowski. Zamęt wzrasta — były członek drugiej Dumy, Henryk Dymsza, ogłasza list otwarty do Milukowa, protestujący przeciwko urządzaniu Polski bez udziału Polaków (patrz przypisek Nr. 9), a rosyjska gazeta „Dień“ urządza sensacyjne wywiady u posła Harusewicza. Przebąkują o armii polskiej w Rosji oraz o tem, że, przychylnie usposobiony dla Polski, car wydał rozkaz zmuszający Polaków, służących w gwardji przybocznej w Petersburgu, do wstępowania do istniejącego już oddawna pułku strzelców polskich — parodji legionów w Rosji. To, co się zaczyna dziać w Królestwie, oraz przemowa rektora Brudzińskiego, przyprawia prasę rosyjską o febryczny szcęk zębów. W związku z drugą rocznicą ogłoszenia odezwy W. Księcia, pisma rosyjskie, z dziwną jakąś płomiennością, zaczynają się domagać dokładnego przejrzenia sprawy polskiej i prac rządowych, które miałyby na celu jaknajprędzje wprowadzenie w życie obietnic Odezwy. Zamiast dotychczasowego milczenia, słyszymy patetyczne tyrady o bratnim narodzie polskim, a jednocześnie z za

każdego słowa wylania się gwałtowny strach, że państwa centralne mogą uprzedzić Rosję i ogłosić niepodległość Królestwa Polskiego. Wyraz „uprzedzać“ zostaje teraz na gwałt konjugowany przez wszystkie gazety. M. Markow w „Rostowskiej Rjecz“i, po napadzie na Dmowskiego za jego poglądy na żydów, odkrywa nagle Amerykę i oświadcza, „że zbliżenie polsko-rosyjskie od samego początku było budowane na niewłaściwym fundamencie i w tem tkwi przyczyna wszystkich obecnych nieporozumień...“

Na arenie petersburskiej odbywa się niebywała arlekinada, jakieś błyskawiczne przedstawienie kinematograficzne, któremu, jak ilustracja muzyczna, wtórują gąsnące echa brusiłowskiej ofensywy. Gabinet zmienia się za gabinetem, minister wylatuje za ministrem. Nad wszystkim rozpanoszyła się wyszywana rubacha i cuchnące dziegciem buty Griszki Rasputina. Święty starzec ujął w swe magnetyzerskie dłonie ster Rosji. Ulubieniec jego, Protopopow, skompromitowany swą sztokholmską podróżą, mającą na celu zawarcie pokoju, przeklinany i oplwany przez wszystkie prawie stronnictwa, zostaje nagle ministrem. Sprawa polska brzmi, jak cichnące andante... Nastąpiło decrescendo... Był krzyk i wrzawa, potem projekt ogłoszenia aktu, później jeszcze obietnice W. Księcia, a na sam koniec nastąpiły obietnice oraz zapowiedź ponownego rozpatrywania naszej sprawy. I sprawdziło się tak trudne do przetłumaczenia przysłowie: „ruszkij czelowiek zadnim umom kriepok“. Rosją rządził cham — cudotwórca. Nastąpił akt 5-go listopada. Ponowny alarm... Endecja i ugodowcy petersburscy załamali ręce... Ta część społeczeństwa polskiego, która dotąd w milczeniu przeżywała monotonję wygnania — ci sławni zjadacze chleba, ocknęli się nagle. Zaczęły tu i ówdzie wytryskiwać promienne stopy, budzące się świadomości narodo-

wej i z podwójną siłą zawyła w sercach polskich tęsknota. Wszystko śledziło z wyteżeniem wypadki, rozgrywające się w Królestwie. Dawno już nie było tylu pogodnych i rozradowanych twarzy wśród rzesz Wielkiej Emigracji. Dziwnym jakimś zrządzeniem losu cenzura rosyjska nie konfiskowała wieści z kraju. Zaczytywaliśmy się opisami uroczystości warszawskich. Wyraźnie wzięła górę na emigracji ta część społeczeństwa, która od chwili wybuchu wojny utrzymywała, iż ze strony Rosji (rządu czy też narodu) niczego spodziewać się nie można. Coraz to częściej słychać było głośne, a odważne porównania, ludzie skrzepli, jak gdyby poczuli po za sobą jakąś wielką oporę moralną. Coraz mniej słychać było w prasie o rosyjskim rozwiązaniu kwestji polskiej. W tekach ministerjalnych leżały projekty polskie „do rozpatrzenia“. Zapanowała martwa cisza, wywołana całkowitem zaprzeczeniem naszych historycznych wartości oraz tysiącoletnich zdobyczy naszej kultury państwowej. Polska była dla Moskali jedynie „Priwislińjem“ a w najlepszym razie „Carstwem polskim“. I trwała ta cisza, aż do chwili, w której trzasnął pierwszy piorun rewolucji.

---

### III.

W lutym 1916 roku zapadła uchwała rządowa, która zadecydowała o tem, iż wszyscy niemieccy koloniści, zamieszkali w „południowo-zachodnim“ kraju, t. j. na Ukrainie, mają być wysiedleni w głąb Rosji, jako element niebezpieczny na tyłach armji (patrz przypiski № 10). Sfery wojskowe spodziewały się bowiem zupełnie serio, że wiosenna ofenzywa wypadnie znowu niekorzystnie dla wojsk rosyjskich i nastąpi powtórzenie wielkiego odwrotu z 1915 r., a linja bojowa ustali się dopiero na linii Dniepru. Powstała więc specjalna komisja do likwidacji osadnictwa niemieckiego, na czele której stanął senator Bielajew. Organem wykonawczym tej komisji na Ukrainie była organizacja „Jugobieżeniec“ (Tow. opieki nad uciekinierami z południa), składająca się przeważnie z dawnych „czynowników“ z Królestwa Polskiego — t. j. ogromnej bandy złodziejskiej, która, pomimo iż nic nie robiła a pobierała dawne pensje, wyczekiwała w Rosji z upragnieniem na powrót do Królestwa, albo też na jakieś nowe, bohaterskie czyny po za frontowe, któreby napełniły, wychudłe już z braku łapówek, kieszenie. „Gros“ owego zacnego stowarzyszenia stanowili oczywiście urzędnicy policyjni. Ziemia, domy, narzędzia rolnicze, konie, krowy i inne bydło oraz wszelki sprzęt domowy miały przez ręce tej organizacji przejść na własność rzą-

du rosyjskiego; dokładny spis wszystkiego, oraz statystyka osadników miały być zestawione również przez członków „Jugobiezenca“. Rozpoczęła się nowa orgja nadużyć, której poszkodowani nie mogli stawić oporu, ponieważ byli to przeważnie starcy, kobiety i dzieci. — Wszyscy osadnicy do lat 43 znajdowali się już w szeregach armji.

Pomimo przypuszczalnej konkurencji, działacze filantropijni z „Jugobiezenca“ pogodzili się bardzo prędko z miejscową policją.

Likwidacja szła doskonale, albowiem likwidujący — widać że niebo nagradza uczciwych — znaleźli się naraz w posiadaniu wcale nieźle umeblowanych mieszkań, pięknych powozów i wspaniałych koni. Likwidacja przeciągała się do nieskończoności — wygalano literalnie osadę za osadą. Ceny za cały ów inwentarz naznaczali t. zw. „rzeczoznawcy“, również z grona „Jugobiezenca“. Łatwo wyobrazić sobie można, jakie działy się nadużycia. Zlikwidowaną ziemię, narzędzia rolnicze i część żywego inwentarza miał rząd, po rozejrzeniu się w spisach, oddać wygnańcom Rusinom (oczywiście przy pośrednictwie tej samej organizacji), których nie wyewakuowano w głąb Rosji, a którzy stawali się, wobec rosnącej drożyzny, coraz to większym ciężarem dla państwa. Mieli oni zasiać grunta, z których wysiedlono Niemców, a połowę zbiorów oddać armji. Oczywiście, jak wszystko w Rosji, tak i ta akcja zrobiła fiasko i była, dzięki umyślnemu zwlekaniu nieuczciwych urzędników, tak opóźnioną, że o prawidłowym zasiewie mowy nawet być nie mogło. Nadużycia, popełniane przez policję miejscową i urzędników „Jugobiezenca“, zwróciły wreszcie na siebie uwagę rosyjskich towarzystw opieki nad wygnańcami. Wszechrosyjski Związek Ziemstw, po długich pertraktacjach, wysłał swoich urzędników, którzy mieli

wziąć udział w likwidacyjnych komisjach i mieć w naczyniu cen głos decydujący. Tym sposobem miało się uchronić rujnowanych osadników od wyzysku. Ja, wraz z kilkoma towarzyszami, miałem się zająć skupem koni w powiecie zwiahelskim na Wołyniu. Część tych koni miała być zachowaną dla transportu sanitarnego, który w najbliższym czasie miał ruszyć na pozycję, a resztę miało oddać armji. Byłem więc naocznym świadkiem usankcjonowanego wyzysku, którego dopuszczały się tutaj wygnane z Królestwa hordy urzędnicze. Wraz z kolegą moim, panem P., zamieszkałem w odległej o 5 wiorst od Zwiahła kolonji Józefinie. Właściciel jej, stary, dobroduszny, Niemiec, nie mający pojęcia o wojnie ani polityce, wraz z ogromną rodziną, złożoną z córek i wnucząt, był już na wylocie. Zmartwiałem z bólu oczyma patrzył na szerzącą się wkoło ruinę i ciągle mnie zapytywał, dlaczego mu tak wielką wyrządzają krzywdę. „Wszak mam pięciu synów na wojnie, a jeden jest oficerem... Nie zrobiłem nikomu nic złego. Co ja temu winien, żem Niemiec“, powtarzał uporczywie. Gdy oglądałem jego dokumenty, okazało się, że rodzina ta już od stu dziesięciu lat zamieszkuje Józefinę. Wszystko, na co oko padło, było owocem ciężkiej pracy kilkudziesięciu pokoleń i świadczyło o wysokiej kulturze rolnej. Śliczny sad otaczał dobrze utrzymywany, murowany dom i solidne zabudowania gospodarskie. Cała kolonja, wartości jakichś 200.000 rubli, przedstawiała dziś obraz nędzy i rozpacz. Mimowoli myślało się — czemu to takie zniszczenie, wszakże walk żadnych tu nie było... I mimowoli oko szukało na ścianach odrapanych, częściowo pozbawionych dachów domostw, śladów kulek szrapnelowych. Pola, pomimo coraz to silniej wstępującej w prawa swoje wiosny, były niezaorane, w oborach pustki. Cafe gromady, sprowadzonych przedwcześnie wygnańców, Rusi-

nów, mających zająć posiadłości wysiedlanych obecnie Niemców-kolonistów, dokonały owego pogromu. Kilkanaście np. rodzin rusińskich zajmowało opuszczoną kolonję i żyło w niej tak długo, aż nie zostały wyjedzone wszystkie zapasy kartofli, pozostawione w lochach w ogromnych ilościach przez kolonistów oraz zboża w spichrzach. Ponieważ nikomu nie chciało się jechać do lasu, więc wycinano zwykle na opał sad, otaczający kolonję. Piękne doborowe gatunki drzew owocowych stawały się ofiarą barbarzyńskiej siekiery. Gdy wszystko zostało już gruntownie wyjedzone lub sprzedane żydom zwiahelskim, wzbijano szyby, łamano sprzęty, wrywano drzwi oraz ramy okienne, deski ze ścian, podpiłowywano zupełnie bezcelowo słupy w stodołach i ruszano na najbliższą kolonję, którą w krótkim czasie spotykał los poprzedniej. W ten sposób zrujnowano ogromną połać żyznego kraju i na kilka dziesiątków lat zniszczono bogatą kulturę rolną okolicy, która nie była wszakże ani razu widownią działań wojennych. Gdy po kilku miesiącach zjechała komisja, mająca zlikwidować zboże i kartofle dla potrzeb armji, nie znaleziono nic. W każdej prawie kolonji był kościółek ewangelicki oraz porządna szkoła — i to uległo ruinie. Ponieważ miałem sporo wolnego czasu, więc objeżdżałem często z p. P. okolicę. Obaj byliśmy zapalonymi bibliofilami, więc wycieczki nasze przybrały wkrótce ściśle określony charakter. W krótkim czasie nie było ani jednego strychu, w promieniu kilkunastu mil, którego byśmy nie przeszperali. Wygnańcy Rusini, panoszący się na kolonjach, a nie bardzo grzecznie traktowani przez nas, gdyśmy ich zastawali na gorącym uczynku niszczenia, patrzyli na nas, jak się patrzy na ludzi podejrzanych o konszachty z djabłem. Nazywano nas warjatami, których opanował szal chodzenia po strychach i poddaszach. I rzeczywiście, zdumiewająca była wprost ilość książek, jaką pozostawili

Niemcy-koloniści. W każdym domu znajdowała się niewielka biblioteczka, a w niektórych znaleźliśmy paki, zawierające po 300 — 500 tomów. Książki były przeważnie treści rolniczej i religijnej — ostatnie przeważały. Były to po większej części przekłady Pisma św. z najrozmaitszych epok, protestanckie komentarze do Biblii, psalterze, rozmyślania oraz dzieła z zakresu archeologii i filozofji biblijnej. Kiedyś udało mi się uratować wspanały, oprawny w pergamin, foljant z 1567 roku. Gospodyni-Rusinka wyrwała już piękny sztych, stanowiący kartę tytułową i kilkanaście stronic, aby użyć je na podpałkę do pieca. Wiele cennych rzeczy musiało zagać w okresie likwidacji osadnictwa niemieckiego. Niestety, pozbawieni odpowiednich środków transportowych, nie mieliśmy możności uratowania ich.

Zwiahel, miasteczko, położone w malowniczej, choć błotnistej okolicy nad Słuczem, a zawierające sporo zabudówek polskich, roiło się wtedy od najrozmaitszych urzędników, oraz pseudo-rolniczych organizacji, obsługujących armję. Było to ptactwo, które zleciało się na żer. Funkcjonowały jakieś niezliczone kancelarje, w których zajmowano się przeważnie piciem herbaty. Na wschodnim krańcu miasta, tuż obok olbrzymiego punktu żywnościowego, urządzonego przez wołyńskie ziemstwo, znajdował się wielki plac, na który w ciągu czterech, ściśle oznaczonych dni, wysiedlani Niemcy-koloniści mieli przyprowadzić swe konie na sprzedaż rządową. Rodziny ich znajdowały się już w barakach, w urągających wszelkim pojęciom higieny warunkach.

Po sprzedaży koni mieli natychmiast wyjechać w głąb Rosji. Komisja przyjmowania koni składała się z „isprawnika“ (naczelnik powiatu), urzędnika „Jugobienca“, weterynarza i mnie lub kolegi, jako przedstawici-

cieli Wszechrosyjskiego Związku Ziemstw. Obowiązkiem moim było wpłynąć na to, aby nie wyzyskiwano przy sprzedaży kolonistów. Lecz cóż znaczył jeden mój głos przeciwko trzem. W każdym razie, pomimo, iż uczciwa trójca miała już ściśle ułożoną kombinację handlową, udawało mi się nieraz psuć jej szyki. Przyprawdzają np. konia 5-letniego, wartości conajmniej pięciuset rubli (najwyższą ceną było 300 rb.), weterynarz, obejrzawszy go dokładnie, twierdzi, iż koń ma lat 16 i jest najwyżej wart 28 rubli.

Urzędnik „Jugobieźenca“, który już obmyślił sobie, że podstawi tutaj (oczywiście na współkę z weterynarzem) starą, marną szkapę tej samej maści, proponuje wspañiałomyślnie 45 rb., mówiąc, iż chociaż koń nie przedstawia takiej wartości, trzeba jednak ze względów humanitarnych zapłacić wysiedleńcowi więcej. „Isprawnik“ udaje, że nic nie słyszy... Następuje moja kolej. Trzy pary wrogich oczu spoglądają na mnie z niechęcią. „Za konia należy dać 250 rubli“, mówię spokojnie. Niemiec-kolonista załamuje ręce, pokazuje zęby konia. Trzej panowie aż podskakują z oburzenia. „Za szkapę, która warta 28 rb., dać 250!“, wrzeszczy oburzony weterynarz. Ostatecznie wypłacają koloniście 185 rb. Dochodziło nieraz do tak gwałtownych scen, że na cały głos wymyślałem od szubrawców i waliłem pięścią w stół, aż papiery z opisem koni zlatywały na ziemię, — czasem sekundo-wał mi p. P.

Nareszcie, prawdopodobnie wskutek nalegań naczelnika powiatu i innych, zainteresowanych w obdzieraniu kolonistów, uwolniono nas od uczestnictwa w komisji „końskiej“. Otrzymaliśmy obecnie z p. P. inną rolę. Obowiązkiem naszym było urządzić obszerne stajnie i trzymać w nich konie, które komisja zakupiła. Praca polegała na tem, aby konie owe przetrzymać w dobrym stanie,

aż do chwili, kiedy nie zostaną oddane armji, wysiedleńcom-Rusinom oraz formującemu się transportowi sanitarnemu, o którym wyżej była mowa. Już z samem urządzeniem stajen kłopotu było niemało. Pan P. na sąsiedniej kolonji, a ja na Józefinie mieliśmy wszystkie budynki gospodarcze przerobić na stajnie. Ciasnota panowała tam wprost niesłychana — mieliśmy nieraz po 400—500 koni. Zaczęły się kłopoty z furazem, który w wielkich ilościach trzeba było dostawiać, często z odległości 60 wiorst. Furażerowi naszemu obowiązani byli go dostarczyć ci urzędnicy, którzy zajmowali się likwidacją produktów u kolonistów. Ponieważ i owi panowie nie odznaczyli się uczciwością, więc łatwo sobie przedstawić jak wyglądały nasze konie. Oprócz tego mieliśmy ograniczoną ilość stajennych, których strażnicy za niewielką opłatą zganiali wprost nahajami z całej okolicy. Robotników tych trzeba było karmić, a produkta przysyłano nieprawidłowo i w niewystarczających ilościach.

Wydańność pracy tych ludzi równała się, oczywiście, zeru. Co noc uciekało kilkunastu ze wspólnej sypialni, choć strzegło ich dwóch strażników. Konie wiecznie chorowały, kaleczyły się wskutek braku odpowiedniego dozoru i bardzo dużo końskiego materiału przepadło. Cały pobyt na owej nieszczęsnej likwidacji końskiej przedstawia mi się jako jedno pasmo irytacji, wymyślania, poszukiwania furazu i awantur, przy wypłatach przeplatane częstymi atakami febry, cała miejscowość bowiem była zatruta wyziewami malarycznymi.

Ileż to razy, gdy po krótkiej nieobecności powracałem do swoich stajen, spostrzegałem brak lub zamianę kilku koni. Był to nieomylny znak, że kilkunastu umundurowanych szubrawców złożyło mi wizytę. Szczególnie odznaczył się pod tym względem pewien, dość młody, niewiadomo dlaczego, dymisjonowany pułkownik, starający się

o posadę w policji. Kilkanaście razy zaskarżyłem go w sądzie wojskowym, lecz za każdym razem udało mu się, dzięki swym stosunkom, wybrnąć.

Jedynymi, jasnymi chwilami były dla mnie wtedy odwiedziny u pana P. — W zacisznym jego pokoju, w stojącym na uboczu domku jakiegoś biedniejszego kolonisty, przegwarzyło się wiele miłych godzin. Po większej części ja słuchałem, a on opowiadał. A było co słuchać... Pan P. był inwalidą z legjonu polskiego we Francji. Życie jego, to istna epopeja. Pochodzi z Kijowszczyzny, z zawodu jest rolnikiem, a nieoficjalnie bardzo zdolnym przyrodnikiem. W 1905 roku odegrał dość wybitną rolę, a w 1907, skołatany różnemi przejściami, pojechał do Ameryki Południowej, do Parany. Karjera jego była tam bardzo barwną. Długi czas zajmował stanowisko nauczyciela ludowego w najrozmaitszych, licznych osadach polskich, następnie był właścicielem fermy, którą sam własnymi rękami zbudował, wykarczowawszy uprzednio kawał dziewiczego lasu; tam również ujeżdżał mustangi (dzikie konie, chwytane w pampasach) i wysyłał na sprzedaż do miasta. Koniec końcem, dobrawszy sobie kilkunastu towarzyszy, młodych literatów i przyrodników, udał się na kilkuletnią wycieczkę wzdłuż morskiego wybrzeża Brazylii.

Wędrowali od stanu do stanu, zapuszczając się często w głąb kraju i urządzali po wsiach polskich odczyty. Wojna zastała ich podczas tej wędrowki. Natychmiast zdecydowali udać się do Europy — wołał ich czyn, wołała Polska. „Był w nas, powiada p. P., jakiś dziwny nakaz wewnętrzny, rozkazujący walczyć do upadłego i jaknajprędzej uczynić ofiarę z własnej krwi.

I tu na tem niewielkiem gronie wycisnęła swą pieczęć tragedia rozbiorowej Polski... Jedni postanowili udać się do legjonów galicyjskich, drudzy do mającego się utwo-

rzyć legjonu polskiego we Francji. A wszyscy jednakowo miłowali Polskę. Zaopatrzeni w paszporty obywatele państw neutralnych, tym samym okrętem ruszyli w podróż. Dopiero u wybrzeży europejskich rozdzieliła się gromadka. Zaraz po wylądowaniu na ziemi francuskiej, pan P. i kilkunastu jego towarzyszy udało się do najbliższego biura wojskowego.

Francuzi wytrzeszczyli oczy...

„Jako, więc aż z Ameryki przyjechaliście się bić! Czyście francuzi?“

„Nie“.

„Jakiż więc obowiązek zmusza was do tego?“

„Obowiązek służenia Ojczyźnie naszej — Polsce!“

„Aha... Oficer francuski namyślał się przez chwilę.

Oui, oui — Polonais... To zdaje się gdzieś na północy, w Rosji. No, radzę wam siedzieć spokojnie. Po co ryzykować życiem? Wojna, to nie zabawa!“

„Panie poruczniku, proszę nas nie zatrzymywać. Każda chwila droga... Postanowiliśmy się bić i chcemy wstąpić do polskiego legjonu“.

„Ah... Legjon étranger...“ Przyjazna, a zarazem zdziwiona nieco fizjonomia oficera zachmurzyła się.

„Mamy dość obieżyświatów, którzyby chcieli jeść darmo francuski chleb...“

Zamiast odpowiedzi, jeden z gromadki trzasnął o stół, przed samym nosem Francuza, portfelem, zawierającym kilkanaście tysięcy franków.

Zdumiony oficer wruszył ramionami i, mrużąc coś o warjatach, posłał ich z kartką do najbliższego depot.

Cichy i milczący zwykle pan P., z którego każde słowo gwałtem trzeba było wyciągać, a skromny, jak panna, gdy trzeba było mówić o sobie, zapalił się i, zapominając o swej krótkiej fajeczce (pamiątka z legjonu), perorował dalej.

„Nie rozumiano nas nigdzie. Pod Paryżem zapakowano nas do ogromnych, odrapanych koszar razem z najrozmaitszą hołotą i zbieraniną. Byli tam, prócz Polaków, Włosi, Hiszpanie, Portugalczycy, Grecy, Rosjanie, Ormianie, Żydzi i Bóg wie jakie jeszcze narodowości. Istna wieża Babel. Zamiast posłania, dano nam trochę zbutwiałej słomy, o którą zaraz wynikła krwawa bójka. Rozgorzały antagonizmy narodowe. — A gdyśmy się jeszcze dowiedzieli, że mamy być wyszkoleni i wysłani na front, jako legion ochotniczy, cudzoziemski, wtedy wybuchła nieludzka awantura. Nareszcie władze wojskowe, przekonane naszym uporem i presją społeczeństwa polskiego we Francji, zdecydowały się nas wydzielić w oddzielną jednostkę“.

Zaciekawiony, słuchałem opowiadania, notując sobie każde słowo w pamięci. Wiało z niego czemś nieskrępowanem, samoistnie polskiem. Chłonałem po prostu tę opowieść. Czulem, że zalatuje do nas jakiś świeży podmuch wiatru. Znajdowaliśmy się wszakże w tem ogromnem więzieniu narodów — w Rosji, gdzie wszystko dokoła przesiąkło zapachem turmy, dziegciu i „kazion-szczyzny“.

Później następowała zwykła, znana każdemu, tylko że odgrywająca się w specyficznym francuskim otoczeniu, historia wojskowego wyszkolenia legionu, wszystkie drobne dole i niedole życia koszarowego, pożegnania, przemowy deputacji polskich i odjazd na front...

Posłano ich do Szampanji.. W opowiadaniu kochanego pana P. wszyscy ci drodzy ludzie, żyjący jedynie wspólną a świętą sprawą, zleli się dla mnie, jakby w jedną olbrzymią postać bohaterską. Dlatego też nie pamiętam wielu, przytoczonych mi przez niego, nazwisk. Oto niektóre z nich: Szujski (chorąży), Ksawery Duniowski (znany rzeźbiarz), Jan Sobański, Konstanty Bi-

łażewski, Wacław Piotrowski, Himner, Hempel, Strzębosz, Jan Żyznowski, Rotwand.

Wielu z nich zginęło — Himner, już po rozwiązaniu legjonu, jako lotnik, a Szujski, zaraz na początku.

Legjon stał pod Arras, gdy przyszedł rozkaz do ataku... Miał to właściwie tylko być atak demonstracyjny i tak rozumiało go dowództwo i żołnierze francuscy, inaczej pojęli go jednak żołnierze polscy... We krwi ich płynęła krew tych, co ginęli pod Somosierrą. I stało się Arras nową Somosierrą. Impet uderzenia był tak potężny, iż legjon polski przebił się klinem na 5 km. w głąb. Następujące z prawej i z lewej strony Polaków szeregi pozostały het w tyle. Nie przypuszczały nawet, iż podobne szaleństwo jest możliwe. To też prędko poławano się u wroga, iż głębokie przełamanie frontu jest dziełem zaledwie jeno garstki ludzi. Posiłki dla legjonu nie nadchodziły — nadomiar złego, nieorientująca się w sytuacji, artylerja francuska zasypywała legionistów żelazem. Później zaterkotały z obu flanków karabiny nieprzyjacielskie. Polacy przez kilkadziesiąt godzin, bez jadła i napoju, trzymali się około jakichś nawpół rozwalonych artylerją zabudowań — trzymali się aż do ostatniego naboju. Szeregi stopniały. Zaczął się odwrót... Zdziesiątkowani legioniści, czarni, niepodobni do ludzi, ciągnąc swych rannych i broń, cofnęli się na swoje poprzednie pozycje.

Następnego dnia przyjechał generalissimus.

„Ou sons les braves Polonais?“

Pokazano mu kilkadziesiąt obszarpanych postaci, które ledwo mogły się utrzymać na nogach.

Zdjął tylko czapkę.

Wszyscy dostali krzyż zasługi — pana P. mianowano podporucznikiem.

A cóż Francja?... W komunikatach czytamy: „na

si dzielni francuscy żołnierze przerwali front i wdarli się na 5 klm. wgląb etc...“ Dla Polaków dość i tego, że ich wymieniono w raporcie pułkowym.

W kilka dni później pana P., odpoczywającego w rezerwach, kontuzjował granat i pozbawił wzroku w jednym oku.

Zaczęło się lizanie ran. Nowego legjonu polskiego nie formowano. Niedobitkom zaproponowano, aby weszli do legjonu marokańskiego. Wtedy poddani rosyjscy, do których należał i mój przyjaciel, oświadczyli, że wolą wrócić do domu i, jeśli zajdzie potrzeba, służyć w armji rosyjskiej.

Kilkanaście tygodni trwała podróż, zanim przybyto do Archangielska. Towarzysze broni rozproszyli się. Prawie wszystkich uwolniono w Rosji od pełnienia służby. Pan P. wrócił nareszcie, po tylu latach, do wsi rodzinnej. Na ostatniej stacji kolejowej, przy której znajdował się majątek jego, spotkała go typowo rosyjska przyjemność. Jechał, nie mając jeszcze cywilnego ubrania, w swoim dawnym, francuskim mundurze. Wachmistrz żandarmski wziął go za zbiegłego z obozu oficera austriackiego i aresztował (takich znawców uniformów spotykało się wtedy w Rosji). Przetrzymano go kilka godzin i dopiero wskutek interwencji przywołanego brata i przybycia wyższej władzy uwolniono, przeprasząc za małą pomyłkę.

Po kilkunastu jednak miesiącach, gdy chciano go, jako byłego oficera, wziąć do szeregów, wstąpił, jako urzędnik wojskowy do Wszechrosyjskiego Związku Ziemstw i tak się spotkaliśmy.

Rzadko u kogo znajdowałem tak płomienne ukochanie Ojczyzny, jak u pana P. Jeśli kiedy wyda pamiętnik — a pisać umie — będzie to coś bardzo ciekawego. Tymczasem podaję tu to, co sam od niego słyszałem. Nie weź-

mie mi za złe, jeśli stronice te wpadną mu kiedy w ręce. Trudno mi było pominąć milczeniem bohaterów z pod Arras. W 1917 roku wydał w Petersburgu Jan Żywnowski, o którym wspominałem wyżej, bardzo piękną książeczkę z życia legjonowego p. t.: „Dla Polski pod Joffrem“.

Dobrzeby nam było, razem z pocziwym P., gdyby nie to, że co chwila przerywali nam nasze pogawędki stajenni, przynosząc hiobowe wieści: „łysa kobyła, co to stoi pod słupem, okulała, ogier zabił dwa żrebaki, kary koń pewnie zdechnie, dwóch chłopców pobiło się do krwi a pięciu uciekło, bo to jutro niedziela“.

Psiakrew!

Zmogła mnie wreszcie malarja. Pozostawiłem swoje nieszczęsne stajnie komu innemu i pojechałem na urlop do Kijowa.

.....

Wiosna zapanowała w całej pełni, rozległe sady przy monasterach pokryły się śniegiem kwiatowym. A wojna na świecie trwała, choć nie dolatywały tu grzmoty armatnie.

Nazywało się już wtedy, że nastala drożyzna i tylko czekać, jak zacznie się głód — było to jednak eldorado w porównaniu z tem, co miało nastąpić za rok. Tymczasem ludzie szemrali, bo para butów kosztowała już 50 rubli. I nic dziwnego, że drożało. Spekulacja rozwinęła się i przybrała kształt rosnącego wciąż głowonoga, którego śliskie macki oplątywały wszystko. Spekulacja stała się wprost nałogową—wyjątkiem był człowiek, który nie spekulował. Najwięcej zaś wszyscy ci, którzy mieli jakąkolwiek styczność z intendenturą. Spekulowano i kradziono, kradzieże rosły do potwornych rozmiarów i nikt nie kładł im tamy. Znałem bogatych kupców

i przemysłowców rosyjskich, którzy przed poborem jeszcze wstąpili dobrowolnie, jako prości żołnierze, do wojska (zapewniwszy sobie, oczywiście, przedtem miejsca w intendenturze) i błyskawicznie powiększali swe majątki. Kradli senatorowie, posłowie, generałowie i oficerowie — kto miał mundur, ten kradł pod jego osłoną bezpiecznie. Korupcja przybierała niebywale rozmiary. Na osobnika, który nosił mundur, a służąc na tyłach, niczego nie „zarobił“, spoglądano jak na półgłówek i stukano się na widok jego palcem w czoło. Najrozmaitsi pseudochorążowie tyłów kupowali sobie nieraz w Kijowie po 2—3 kamienice — o takich mówiono, że są bajecznie oszczędni, bo pensja ich wynosiła około 150 rb. miesięcznie. Kradzieże i wyzysk najcięższem brzemieniem padały na ubogą ludność, chociaż pojęcie o proletariacie zaczynało pod względem zarobkowym przybierać wprost przeciwnie znaczenie, wobec tego, że robotnik fabryczny zarabiał często (szczególnie w fabrykach, pracujących na obronę) około 300 rb. miesięcznie. Nie pomogło i ukonstytuowanie się „specjalnej narady do waiki z drożyzną“ pod kierownictwem ks. Oboleńskiego, która utworzyła przy Ministerjum handlu komitety: „skórzany“ i „wełniany“. Speculanci wkupywali się do komitetów i jeszcze bezkarniej hulali. Nawet i członkowie zarządu ziemstw zajmowali się tem szlachetnem rzemiosłem, jak na to wskazuje np. wypadek I. Podszybichina (ziemstwo garbatowskie), który, jako reprezentant towarzystw akcyjnych „Torżok“ i „Wołyń“, trudnił się spekulacją drwami. Do wspaniałych nieraz uciekano się „tricków“. Tak np. zarekwirowano kiedyś na komorze celnej portowej w Petersburgu tysiąc worków kawy, należącej do poddanego rumuńskiego i przeznaczonej niby na wywóz do Rumunji. Kawa zaś okazała się własnością rosyjskiej firmy Leszczenko. — Dyrektor cukrowni w Lgowi zajmował się

sprzedażą kradzionych u wojska przedmiotów umundurowania. Ale to były tylko drobne afery — większego rozgłosu nabrało aresztowanie w Petersburgu 35 osób, po dokonaniu 48 rewizji. Zamknięto wtedy pod kluczem takich finansistów, jak dyrektora banku franko-rosyjskiego, Dymitra Rubinsztejna, jego dwóch braci, adwokata przysięgłego Wolfsona, dziennikarza Siemko oraz dwóch braci Junkerów i dyrektora banku „Junker“. Rubinsztejn et consortes zajmowali się skupowaniem na giełdzie berlińskiej papierów rosyjskich, które potem sprzedawano na giełdach paryskiej i londyńskiej, oprócz tego trudnili się spekulacją żywnościową, przy pomocy kapitałów zagranicznych. — Naczelnik więzienia charkowskiego sprzedaje np. najbezczelniej tysiąc pudów żelaza skarbowego za podwójną cenę i, pomimo oskarżenia, długi czas jeszcze pozostaje na swem stanowisku.

Równolegle z kradzieżami wzrastała i niedbałość w najrozmaitszych urzędach, szczególnie aprowizacyjnych. Rewizja, dokonana dn. 26 lipca w składach miejskich w Kijowie, dała następujące rezultaty: 7,000 pudów ryby w piwnicach, zupełnie zgniłej, 200 tysięcy pudów spleśniałej i zbitej w kawały mąki, ponieważ przechowywano ją omal, że nie na dworze, przykrytą jedynie płótnem żaglowem, 14 tysięcy pudów owsa, jęczmienia i bobiku, 39 tysięcy pudów siana i 2 tysiące pudów tytoniu, zupełnie niezdatne do użytku. W Baku postanawiają wylać do morza 300 pudów benzyny, ponieważ... tymczasowo nie można było znaleźć nabywców. Wszystko to działo się już w czasach, gdy ludność zaczynała odczuwać niedostatek najniezbędniejszych artykułów, chociaż urodzaje zapowiadały się dobrze (patrz przyp. Nr. 11). Podaję zaledwie kilka charakterystycznych przykładów, a wszakże podobne, dwojakiego rodzaju nadużycia, działy się codziennie we wszystkich miastach

i miasteczkach Rosji. Korupcja rosła, pokrywając chorobliwymi naroślami, słabnący coraz bardziej organizm olbrzymiego państwa. Był to już początek końca. Wszystkie belki zmurzonego okrętu trzeszczały — fale burzy uderzały weń coraz silniej.

Nie ma w tem zresztą nic dziwnego. Trudno, żeby się działo inaczej w państwie, gdzie np. „isprawnik“ powiatu jednej z gub. południowych podaje prośbę do moskiewskiej gubernjalnej rady ziemskiej, w której zaznacza, iż, porzucając obecne swe stanowisko, pragnąłby objąć w moskiewskim ziemstwie gubernalnem posadę zarządzającego oddziałem pozaszkolnego wykształcenia. Toż w jednym z miast gub. czernihowskiej księgarz nie chce sprzedać korespondentowi „Russkich Wiedomosti“ książki dla dzieci, powołując się na okólnik gubernatora czernihowskiego do isprawników powiatowych i policmajstrów, zabraniający sprzedaży wszelkich wydawnictw nieperjodycznych. Nawet Puszkina i Ewangelji kupić nie można było (patrz przypiski Nr. 12). Potęgę państwową w Rosji, nawet podczas wojny, która wszakże wpływa na masy uświadamiająco, starano się nadal opierać na propagandzie ciemnoty.

. . . . .

Życie polskie intelektualne na emigracji rozwijało się bardzo bogato. Świadczą nam o tem teatry, cały szereg czasopism oraz wielka ilość, wydanych w latach tułactwa, książek. Czasopisma, które do wojny miały charakter bardziej lokalny i służyły głównie potrzebom miejscowych kolonji polskich, rozrosły się wspaniale. Szczupły zastęp współpracowników miejscowych wzbogacił się przyplływem osiadłych przymusowo po różnych zakątkach Rosji sił dziennikarskich i literackich z Królestwa i z Galicji. Szczególnie znamiennym jest przykład „Dziennika Kijow-

skiego“, który, dzięki przyływowi nowych sił, z pisma bardzo bladego i o bardzo słabym charakterze informacyjnym, zamienił się w jedno z najpoważniejszych pism na emigracji. Szczególnie drobiazgowo był w nim postawiony dział, zatytułowany „Za kordonem“, informujący stale i wyczerpująco o stanie rzeczy w Królestwie. Działowi temu poświęcano prawie codziennie półtorej stronicy druku. Podawano tam wszelkie możliwe szczegóły, dotyczące się życia Ojczyzny naszej, o ile to tylko, ze względu na cenzurę wojenną było dopuszczalne. — Mieliliśmy tam całe kolumny cyfr i nazwisk. Również ścisłemi i stałemi były korespondencje z Bukaresztu i Sztokholmu. Z nowych współpracowników „Dziennika Kijowskiego“ wymienić należy: W. Dąbrowskiego, który dał cały szereg świetnych pod względem treści i formy artykułów politycznych, Władysława Günthera, Marcelego Dobrowolskiego, Kornela Makuszyńskiego i Bandrowskiego ze Lwowa. Ze Szwajcarii przysyłał dość często swe krótkie rozprawy prof. Wincenty Lutosławski, a z Paryża doskonale feljetony Karol Drzewiecki. Redaktorem odpowiedzialnym „Dziennika Kijowskiego“ był początkowo Joachim Wołoszynowski, a później, t. j. do ostatniej chwili, Edward Paszkowski. Oprócz tego wychodził w Kijowie, zresztą dość nieregularnie, dwutygodnik „Kłosa Ukraińskie“, pismo, poświęcone specjalnie życiu polskiemu na Rusi, pod redakcją Jana Ursyna-Zamaraiewa. Dział ilustracyjno-artystyczny był utrzymany wprost wzorowo. Roczniki pisma tego są pięknem świadectwem wysokiej naszej kultury wydawniczej na obczyźnie. Nowym, podczas wojny dopiero powstałym, miesięcznikiem jest „Świat kobiety“, pod redakcją Eugenji Żmijewskiej, także wydawany w Kijowie.

W Moskwie wychodziło znowu „Echo Polskie“, tygodnik ilustrowany. Wydawcami byli: Aleksander Le-

dnicki i W. Turski. Redaktorem A. Lednicki. Kierownikiem literackim Dr. Feliks Kierski, artystycznym Andrzej Zarzycki. Tygodnik ów był poświęcony specjalnie sprawom emigracji polskiej w Rosji, zamieszczał głosy wybitnych publicystów rosyjskich oraz sprawozdania z życia polskiego w Rosji. Nadto posiadał dział oficjalny Rady Zjazdów, C. K. O., i Komitetu Polskiego w Moskwie. Stałymi współpracownikami „Echa Polskiego“ byli: Kazimierz Ehrenberg, Dr. T. Hryniewski, Z. Stefański, F. Jordan Lubierzyński, J. Rychliński, W. Czapski, J. Baudoin de Courtenay, W. Grubiński, Tadeusz Miciński, J. Jakubowski i K. Chodyncki. „Echo Polskie“ było właściwie urzędowym organem Wielkiej Emigracji.

Z pism specjalnych wychodził w Moskwie „Głos Nauczyciela“, w którym pracowali: K. Szczepański, Edward Świecimski, Dr. L. Jachna, T. Karpiński, Teodor Wolski, Z. Plewiński, Wanda Złotnicka, B. Jachowski, A. Hiller-Olszański, Aureli Drogoszewski i Aleks. Łętowski.

Z pism codziennych wychodziła w Moskwie „Gazeta Polska“, a w Petersburgu „Kurjer Nowy“.

Z tygodników polskich na emigracji bardzo był popularnym „Głos Polski“, pismo postępowe, redagowane w Petersburgu przez H. Lewenstama. Pisywali doń: J. Kurnatowski, Stefan Aubac, Stanisław Łopaciński, Stanisława Szadurska, Lila Małecka, Bronisław Kratowicz, J. Faleński i prof. Marjan Zdziechowski.

Poważniejszym tygodnikiem politycznym, wychodzącym również w Petersburgu, była „Sprawa Polska“, organ Komitetu Narodowego. Redaktorami „Sprawy“ byli dr. Bohdan Winiarski i dr. Piotr Bańkowski — pismo to zaczęło wychodzić w 1915 r.

Z innych pism często miałem w ręku pierwsze pismo polskie, wychodzące na Syberji — „Głos Syberji“. Wychodziło ono w Nowo-Mikolajewsku, tomskiej gub. —

podpisywał je, jako redaktor i wydawca, Henryk Bułynko.

Podaję tu tylko część pism, wychodzących w czasie Wielkiej Emigracji i to tylko przeważnie te, które najczęściej czytywałem, innych charakteryzować i wyliczać oraz podawać spisów współpracowników ich nie ośmielam się z tego wprost powodu, że nie posiadam żadnych ścisłych notatek, ani materiałów i wszystko muszę rekonstruować z pamięci. Łatwo też spostrzec, że wszystkie bardziej szczegółowe wiadomości tyczą się Rusi i Kijowa. Tłumaczy się to tem, że, służąc przez dłuższy czas wojny na południowo-zachodnim froncie, znam lepiej życie emigracyjne tych stron, niż innych okolic Rosji, gdzie bywałem tylko dorywczo.

Co do wydawnictw książkowych na emigracji, to największe zasługi na tym polu położyła firma księgarska Leona Idzikowskiego w Kijowie. Ona to, rzec można, zaopatrywała głównie wychodźstwo polskie w beletrystykę, wydawnictwa artystyczne, monografie, książki naukowe, a potem, w miarę szybkiego rozwoju szkolnictwa naszego, w podręczniki szkolne. Nie ustępowała jej zupełnie młoda, prosperująca świetnie od drugiego roku wojny, firma Narcyza Gieryna. Młody i rzutki księgarz nie obawiał się wydawać prac nieznanymi i początkującymi dopiero autorów. — Szkoda, że nie mogę wyliczyć książek, które wyszły w tych dwóch firmach do 1917 r. Podzielę się tem, co wiem...

Idzikowski założył nowe, popularne wydawnictwo dla ludu i dla młodzieży „Złote Iskierki“ — zawierające przeważnie dobre tłumaczenia, a więc: E. Amicisa „Miłość ojczyzny“ i „Od Apeninów do Andów“, Selmy Lagerlöf „Historja o losiu rogaczu“, Fabra „Z życia owadów“ — Janiny Ułaszyn „O księciu Józefie Poniatowskim“ i t. p.

Ciekawem zjawiskiem literackim był nowy tom nowel Kornela Makuszyńskiego p.t.: „Perły i wieprze“, również u Idzikowskiego wydany. Tamże Władysława Koryckiego „Historja Polski“ (popularna), Tadeusza Uhmy „Na Niemca!“, M. Jarosławskiego „Historja trzech miłości“, Cecylii Niewiadomskiej „Czytanki dla szkół początkowych“ i „Słoneczny światek“ (jedna z najpiękniejszych książek dla dzieci, wydanych na wygnaniu), Kazimierza Rosinkiewicza „Bohater Cis“, Zuzanny Morawskiej „Powiastki i wierszyki“ (okładka i rysunki Mikołaja Wiśniewskiego).

N. Gieryn wydał bardzo starannie „Marję“ Malczewskiego i „Podręcznik do nauki algebry“ Z. Gabszewicza.

W Moskwie, nakładem Towarzystwa wydawniczego „Świt“, wychodziła popularna „Biblioteczka wychodźstwa polskiego“ — ukazały się tam „Pieśni i śpiewy polskie“, „Pan Tadeusz“, Józefa Chociszewskiego „Dzieje ojczyste“, Lecha „Na wyspie australijskiej“, Reymonta „Sprawiedliwie“, Sienkiewicza „Grunwald“ (przeróbka z „Krzyżaków“), Kraszewskiego „Ostatnie chwile księcia wojewody Panie Kochanku“.

Wiele książek wydała też Rada Zjazdów w Moskwie, tak np. „Historję Naturalną“ Dyakowskiego, „Elementarz Promyka“, „Geografię“ Nałkowskiej, „Arytmetykę“ Sochy i t. p.

W 1916 roku wyszły również Wandy Studnickiej „Czytanki“ (Piotrogród), Jana Szymańskiego „Zgrzyty“ (poezje), Stanisławy Kuleszewskiej „O skautingu polskim“ (Moskwa), R. Dybowskiego „Ze stosunków społecznych w Anglii przed wojną“ (Moskwa), a w Piotrogradzie Hipolita Gliwica „Ewolucja syndykatów“, Lucjana Freytaga „Dajcie głos duszom“, Wandy Doleckiej „Legendy i opowiadania“.

Leopold Staff wydał w Księgarni Polskiej w Charkowie nowy zbiór—zawierający wiele poezji wojennych — zatytułowany „Siew doli“.

Już te nieliczne dane, których skąpo, niestety, udzielić tutaj tylko mogłem, świadczą, jak poważnie przedstawiała się praca wydawnicza podczas Wielkiej Emigracji. Pod tym względem, szczególnie jeśli się weźmie pod uwagę ruch wydawniczy polski w okresie rewolucyjnym, o którym dalej będzie mowa, to, powróciwszy do kraju, rzecz będziemy mogli śmiało i otwarcie: „Nie próżnowaliśmy!“

O, gdybyśmy rzecz podobnie mogli o naszej pracy nad skonsolidowaniem społeczeństwa polskiego. Gdybyśmy mogli powrócić do kraju nie rozproszkowani i niezżarci niesnaskami wewnętrznymi! Gdybyż nasi politycy mieli zamiast tylu orientacji tylko jedną — polską...

Pomimo pozornej chaotyczności, posiadała emigracja w sobie olbrzymie, niewyczerpane siły organizacyjne, wzbudzające szacunek w niechętnie nawet usposobionej dla nas inteligencji rosyjskiej, która często przyznawała nam przewagę i czuła z całą trwogą naszą odrębność i indywidualność. Dobrze wyraził to znany, współczesny, aczkolwiek z lubością pławiący się w uogólniającem wszystko „morzu słowiańskim“, poeta K. Belmont, podczas wystąpienia swego na wielkim koncercie, poświęconym Polsce, który odbył się 18 lipca 1916 r. w Moskwie (patrz przyp. Nr. 13). Silnych i wybitnych jednostek nie brakło nam i na emigracji — brakło tylko dobrej woli do... akcji jednolitej.

---

#### IV.

I znowu byłem na froncie, zdala od wszystkiego, co się nazywa kulturą, cywilizacją i życiem umysłowym, nosząc na sobie carską obrozę w postaci rosyjskiego munduru. Mokło się na deszczu, gniło po najrozmaitszych przygodnych noclegach, w ziemiankach, dokuczał głód, jadły wszy, a jeszcze gorzej żarł serce ból, gdy się widziało, jak się w tem piekle deprawują nasi bracia. Jak dziwnie zmienili się ci, co przyszedli tu w szynelu sołdackim z kraju i jak dziwnie inni, niż się myślało, okazali się ci tutaj—ci, bracia nasi z kresów. Żyli oni dotychczas w pojęciach moich, jako dawni owi, na rubieżach piersią własną broniący Rzeczypospolitej, witezie. Rycerze chrześcijańscy, a prawi obrońcy słabszych i uciśnionych, do pomocy towarzyszom skorzy, w potrzebie wierni i prawdomówni, a przedewszystkiem czoła przed nikim giąć nie umiejący i Ojczyznę miłujący. Zetknąłem się z biegunowem przeciwieństwem, stworzonego w głębi duszy obrazu. Nie chcę, nie mogę i nie mam prawa powiedzieć, że takimi są wszyscy. Może nie miałem szczęścia... Ci jednak, z którymi się zetknąłem, i z którymi żyłem, a było ich wielu, stanowili krzyczący rozdźwięk z tem, co stworzyła wyobraźnia. Lud, przytępiony pod względem uczuć narodowych i wiedzący tylko, iż jest katolickim, księża—rzymscy, arystokracja zdegenerowana, dbająca jedynie

o interesa rodowe, tytuły na dworze i w armji carskiej, średnie ziemiaństwo, używające endeckich, a postępową inteligencja miejska, w szczególności zaś młodzież, rosyjskich terminów myślenia i trzymająca się z lubością rosyjskich metod naukowych. Nad wszystkim unosząca się, niby zły opar, skłonność do rezygnowania i do wstyżenia się, jako słabości tego, co możnaby nazwać rzewnością polską.

W oddziale opatrunkowym, w którym służyłem, wszyscy mężczyźni, mówię tu o wyższym personelu, za wyjątkiem dwóch felczerów—Żydów i doktora—Rosjanina, byli Polakami z kresów. Jedynym człowiekiem, z którym po ludzku rozmawiać można było, był wspomniany już przeze mnie w poprzednim rozdziale dawny legjonista z Francji, kochany p. P., spełniający obowiązki naczelnika transportu. Chociaż urodzony i wychowany na Rusi, odcinał się od całego swego tła, jak zdrowe, silne drzewo od skarłowaciałych sadzonek. On to właściwie dopomógł mi do zorientowania się w przeczuwanej, raczej intuicyjnie, niż rozumianej racjonalnie, psychologii Polakakresowca. Z jakąż goryczą mawiał nieraz, przytaczając całe masy faktów o egoizmie, nieuczynności i dziwnym jakimś zaniku uczuć demokratycznych pomiędzy tymi ludźmi. Jak trafnie oceniał obojętność kolegów naszych na sprawy narodowe i zaniedbanie pracy nad ludem polskim, do której tyle było sposobności w czasie długich postojów, spędzanych w beczynności, nudzie i kłótniach pomiędzy sobą. Pan P. i ja byliśmy jedynymi w oddziale, którzy kupowali, o ile na to tylko rzadkie na froncie pozwalały okazy, czasopisma i książki polskie. Rzadko kto, oprócz nielicznych pomiędzy żołnierzami-sanitariuszami Polaków z Królestwa, wyciągnął po nie rękę. Jeśli czytano, co zdarzało się nieczęsto, to przeważnie gazety rosyjskie i beletrystykę w tymże języku,

książki poważniejsze były wprost na indeksie towarzyskim.

— Czemu nie przeczytacie gazety polskiej? — pytałem nieraz...

— Albo tam jest co porządnego, „Kijewskaja Myśl“ daje przecież wszystkie telegramy, jakie pojawiają się w Rosji. To bogate pismo...

— No, a wieści z kraju i artykuły?...

— Co tam może być w kraju. Tam się nic nie dzieje. Tam są Niemcy i Austriacy. Zresztą i tutaj jesteśmy u siebie...

Gdy czasem, nawpół serjo, proponowałem im, aby przedostać się przez front, powrócić do Polski i pracować dla swoich, ponieważ każdy człowiek pracy jest teraz w kraju, w tym katastrofalnym okresie, potrzebny, wzruszali z politowaniem ramionami.

— Toż tam drożyzna; a może jeszcze zrobią jakie wojsko polskie, to trzeba będzie pójść. Nie głupim, kiedy tu mogę siedzieć spokojnie, jako urzędnik wojskowy. Nie zabiją mnie, a mam co jeść...

A byli to wszakże ludzie z uniwersyteckiem wykształceniem — głównie prawnicy z Kijowa.

Czas wolny spędzano na pijatykach z oficerami rosyjskimi, a szczytem zadowolenia było otrzymać zaproszenie na zabawę w sztabie korpusu lub dywizji, gdzie w sprzyjających okolicznościach można było mieć szczęście wzięcia udziału w mądrej rozmowie, przeważnie o rangach i orderach (tu bąkało się dyskretnie o tem, że istnieją dostępne i dla nas medale zasługi z carskim wizerunkiem) lub w najgorszym razie potańczyć z „siostryczkami“ (siostrami miłosierdzia), które więcej zajmowały się wolną, a raczej płatną, miłością, niż pielęgnowaniem rannych.

Naczelnik naszego oddziału, pan Ł., pomocnik adwo-

kata przysięgłego, odznaczał się w najwyższym stopniu wszystkimi, wymienionymi wyżej zaletami. Do największych przyjemności jego należało szykanowanie swoich podwładnych i sanitariuszy. Jako przykład przytoczę tylko fakt następujący... Do armji rosyjskiej wprowadzono na nowo, w czasie wojny, karę chłosty za najrozmaitsze większe przewinienia. Egzekucję zwykle zatwierdzał i kazał wykonywać komendant przy korpusie lub dywizji. Naogół inteligentniejsi oficerowie-Rosjanie brzydili się zastosowaniem tej, poniżającej wszelką godność człowieczą, kary. Pan Ł. nie był tego zdania i pewnego pięknego dnia skazał na różgi, za drobne właściwie przewinienie, sanitariusza Polaka. Żona naszego naczelnika, która była z nami na froncie, jako dentystka polowa, chociaż wiedziała o tem, nie uważała jednak za stosowne wstawić się za delikwentem. Można sobie przedstawić, jakie moralne katusze przeszedł nieszczęsny, ambitny, umiejący czytać i pisać trzydziestoletni mężczyzna. Bito go tak, że wypadła mu kiszka stołcowa. Długi czas nie mogłem się pozbyć obrazu tej zakrwawionej, bladej ofiary; płakał, jak małe dziecko, rzewnymi łzami, powtarzając: „i to mi zrobił Polak, to tacy są tutaj Polacy!...” Był moralnie zupełnie złamany.

Oczywiście, że zajęcie to napełniło mnie i niektórych najwyższym wstrętem do Ł. Poczuliśmy mu na każdym kroku stawiać bierny opór. Na szczęście, jako zarządzający małą czołówką opatrunkowo-żywnościową, jedynie w celu oddania rachunków, lub na wyraźne piśmienne żądanie, stawiałem się do głównej kwatery naszego oddziału, gdzie przebywała owa miła osobistość.

Praca moja na froncie dała mi bardzo wiele ciekawego materiału. Tak np. byłem naocznym świadkiem i uczestnikiem wielkiej brusiłowskiej ofenzywy na Wołyniu. Stałem wtedy ze swym oddziałkiem o trzy wiorsty

od pozycji czołowej, w głównym miejscu przerwania frontu austriackiego, to jest koło Ołyki pod Malinem i Borbinem.

Po długiej beczynności, spędzonej w przepięknym, wiosennym, utkanym kwiatami zagajniku, na słodkimi, wspaniałym w namiocie, nastąpiła odrazu wyczerpująca, przeszło tydzień trwająca praca. Dnia 22 maja starego stylu, artylerja rosyjska rozpoczęła swój straszliwy, huraganowy ogień. Przez dwie i pół doby warczało bez przerwy jakieś potworne koło, obejmujące cały horyzont. Ziemia drżała od ciągle po sobie następujących uderzeń; przelatujące bez przerwy nad naszymi głowami z dzikim, rżeniem żrebiecia przypominającym nieco, świstem pociski, zwały się w jeden przeciągły, szarpiący nerwy jęk. Brakło poprostu tchu, człowiek łaknął najkrótszej choćby przerwy w tej wyczerpującej monotonią kachofonii. Byliśmy zupełnie ogłuszeni i ogłupieni. Porozumiewaliśmy się, krzycząc sobie jakimiś dzikimi, zdenerwowanymi głosami do uszu. Jadowite i gryzące dymy wybuchów, niby mgły lotne, bujały nad całą okolicą. Nareszcie na trzeci dzień ucichło, lecz nie na długo, jak chłapanie z bicza brzmiały pojedyncze wystrzały karabinowe, a, jak przerywane sypanie grochu na szyby, terkotanie kulomiotów; była to muzyka przejściowa do przeciągłych, rozpaczliwych okrzyków ogromnych mas żołnierskich, idących do ataku.

— Hura-a-a! — brzmiało donośnie i bez końca, było to gorsze od ognia huraganowego. Czulo się wprost, jak człowiek traci w tłumie swą indywidualność, zamienia się w bezlitosne, ślepe a krwawe narzędzie i jak dzikie, rozwścieczone zwierzę pędzi z bagnetem w rękę przed siebie. Byle naprzód — byle dalej! Z zadziwiającą lekkością nogi, odziane w ciężkie buty, biorą najtrudniejsze przeszkody.

Co tam dół, albo drut, kaleczący ciało, co tam, że komuś, żywemu jeszcze, następuje się podkutym butem na twarz, wgniatając oczy, lub rozdeptuje i zamazuje błotem, powstałem z ziemi i krwi, zaczynając już ropieć ranę. Tam gdzieś, przed pędzącym na oślep żołnierzem, siedzi drugi żołnierz i strzela; jeśli jego nie zabiją, to on zabije. I z dziwną łatwością wchodzi ostre żelazo w jakąś ciepłą, tętniącą życiem masę, wchodzi tak szybko i obojętnie, jakby to była miękka pierzyna puchowa. Czasem chrzęstną zęby lub kości pod druzgoczącym uderzeniem użytej, zamiast maczugi, kolby. A nad wszystkim—o dziwo, pachnie wiosną błękitne, niby niezabudka, niebo; słońce, któremu najłżejsza nawet nie przeszkadza chmurka, wędruje sobie złościście na zachód; w lesie, w którym rozbiliśmy nasze opatrunkowe szalasy, pośpiewują w najlepsze ptaki, a konie przy dwukołowcach, znaczonych czerwonym krzyżem, z głowami, zasuniętymi po oczy w parciane torby, żują z monotonną rozkoszą swój owies...

Ranni przybywają setkami, tylko ci, co sami lub wsparci na kiju lub ramieniu towarzysza przywlec się mobą, czasem tylko przyniosą na noszach lub przywiozą na wózku jakąś straszliwą, pozbawioną wyglądu człowieka, charczącą i wyjącą masę. Ranni idą i idą... Czarni, popstrzeni krwawymi plamami, w podartych mundurach, rzucają się, niby zgłodniałe psy, na gotującą się w olbrzymich saganach zupę.

I przypomina się kancelarja operacyjna sztabu, do której zaszedłem przypadkiem. Ciszka, ład, porządek... W ogromną kartę, wybrylantowane i wymanicurowane palce, ubranego w błyszczący mundur generała, wtykają całą masę, udekorowanych chorągiewkami szpilek; uśmiechnięty uprzejmie, w eleganckich lakierach z ostrogami, adjutant zapisuje coś w notatniku; przy oknie, grze-

jąc się w promieniach wiosennego słońca, siedzi żołnierz ze słuchawką telefoniczną, przytkniętą stale do ucha. Tutaj „robi się“ dzisiejsza bitwa...

A w nocy, w olbrzymiej, będącej kiedyś klubem oficerskim, ziemlance, zaczyna się jęk i brzdzenie, dyszących ciężko, na przepojonych krwią wiązkach słomy, rannych.

-- Och, och! — Mamo! — Wody! — Mamo!

Jak dziwnie często powtarza się i ulatuje nieraz po raz ostatni z chłodniejących już warg ów słodki, dziecinny wyraz „mamo“.

Za brezentem, który mnie odgradza, jak parawan, od rannych, wyciągnąwszy się w ubraniu i butach, na wąskiem, polowem łóżku, słucham jęku i rozmów.

— Zaglądam ci do dołu, a tam ci on, austriaka, siedzi błady i fotografię z żoną niby i z dziećmi pokazuje... Albo to ja żony i dzieci nie mam! Napluć mi na to! Jak nie cisnę bombą w dziurę, tak mózg i mięso poleciało po ścianach.

— Oho-ho. — Ha, ha!

— A ja zawróciłem do tego grubego, z wybałuszonymi oczyma, zabrałem zegarek, pierścionki i wtedy dopiero po nogach mnie uderzyło.

— Durny!

— Och, ciężka dola nasza!...

I znowu „mamo“, znowu „pić“; słyhać czkawkę umierającego.

Tak całą noc. Zgniły, trupi zaduch, zgęszcza się, niby przykry swąd...

Mającą w głowie jakieś wspomnienia o szafirowych morskich wybrzeżach. Śmiertelne zmęczenie zwycięża wszystko. Sen — kamienny sen...

O świcie wynosimy ukradkiem kilkanaście zwłok...

Z mego brezentu i łóżka wszy można zgarniać garściami. A mamy już kilku chorych na tyfus plamisty.

Gdzieś Ty, o dobry, uśmiechnięty Boże! Chryste, za co umierałeś na krzyżu?

.....

Wędrówki, przejazdy, noclegi... To namiot, to znowu obślizgła od wilgoci ziemiarka, to porujnowana chałupa, gdzie pomiędzy żołnierzami snują się z wydętymi od głodu brzuchami dzieciaki... Skwar słoneczny i brak wody, zdychające z wycieńczenia konie... To znowu człapanie, za ciągnącym się bez końca, po błotnistym trakcie, transportem. Deszcz mży bez przerwy, wiatr przedmucha, ciemna, beznadziejna wołyńska noc. Koń, z którego nie zląziło się od sześciu godzin, z trudnością wyciąga nogi z grząskiej gliny. Każde zetknięcie się z siodłem i strzemionami piecze, jak rozpalone żelazo. I wszystko ci jedno, żeś przemokł, że gnije na tobie z wilgoci i brudu ubranie, że tyle godzin nic nie jadłeś. Niech tam! No, to się zgnije—czy inni nie gniją? Ogarnia cię szara, a tępa bezmyślność i obojętność na wszystko.

Wszędzie okopy i druty... Oto Ołyka, z nawpół rozwaloną wieżą zamkową, tam znów Malin, gdzie było tyle trupów bosych (towarzysze zabrali buty, bo i na co one zmarłemu); na jednym, po otwartych szeroko oczach i ustach, łążyły wielkie, zielone muchy.

A oto sławetna willa „Dyogenes“ (ogłobłe beczki na kołach, przykryte brezentem), gdzie mieszkałeś przez cały tydzień. Jakie to było zabawne, gdy burza zerwała w nocy całą tę kunsztowną budowlę, deszcz przemoczył derki i czułeś się na własnym łóżku, jak w wannie. Wokoło zaś czyste pole; krzyżują się tu drogi: Równe—Dubno—Młynów.

Ach, Młynów! Przepiękny pałac Chodkiewiczów,

podziurawiony, jak rzeszoto, poprzez piwnice pałacowe biegły rowy komunikacyjne do rzeczki. W opuszczonych okopach znalazłem nareszcie, po dwóch latach, trochę książek o kochanych legunach, o których powiedział mi kiedyś pewien kapitan rosyjski: „Leży taka swołocz ranna na ziemi, prawie dzieciuch, ledwie dysząc. Ja mówię mu, poddaj się, a on jeszcze do mnie strzela! Przytłukłem go, ot z tego brauninga!“ Było tam i trochę ostatnich gazet z kraju, które mi powiedziały, że żyjesz jeszcze, drogi przyjacielu, a życie twoje jest tylko Czynem.

Dubno, mała, cicha miłościna; ikony walają się na przedmieściu po błocie... Klewań, z olbrzymiami bratnimi mogiłami... Łuck, ze starym Lubartowskim zamkiem i milczącą, bez dzwonów katedrą, pełen wrzawy żydowskich sklepików i sztabowego gwaru... Zaborol, z tkwiącym w cerkwi, nierozzerwanym szrapnelem i cichym unickim kościołkiem, z którego kozacy zrobili stajnię, a my, po kozakach, ambulans. Tam, w stodole ze ścianami z pletnia, umarł mi na rękę młody architekt z pod Budapesztu. Miał przestrzelone płuca i pogruchotane nogi. Prawił mi coś w łamanym, niemieckim języku, że nigdy nie wybuduje kościoła, o którego pięknym marzył portyku i że matka jego mieszka w małym domeczku, po którego ścianach pną się śliczne, malutkie różyczki... Po dzień dzisiejszy nie zdobyłem się na odwagę, aby napisać staruszce o śmierci jedyne go syna...

Otóż i Aleksandrówka i, sąsiadująca ze stajnią, wąziutka izba, gdzie chorowało się na dezynterję. I lekarstwa nie ma tak długo, a wszystko boli. Tu umarł ów stary żołnierz, Tatar krymski, z dziwnie smutnymi oczyma... Car mu kazał, więc poszedł, cara i Ojczyznę trzeba kochać, dlatego gonią na front batami. I znowu dwa dni rechotał huraganowy ogień. Wielki książę topił swe puł-

ki gwardyjskie w błotach nad Stochodem. A kiedyś w nocy, gdy rehotanie zacichło, a dziesiątki ognisk, rozpalonych dokoła mego ambulansu, grzały wygnaną z okolicy bitwami ludność, rozległy się dzikie krzyki i jęki kobiece. Pijani żołnierze gwałcili dziewczęta i kobiety wygnaćcze w oczach własnych dzieci i staruszków ojców, których do wojska przecie nie wzięli...

Kołki i okolica ich, tam dalej Optowa, gdzieś ty siedział w okopie, bracie-przyjacielu. A może to z luf twoich żołnierzy wylatywały te stalowe, jazgoczące po zagajniku pszczoły. Kisielin, Zubilno, Zaturce, gdzie tyłu rannych, razem z trupami, leżało na przedpolu i gdzie z przed samego już drutu kolczastego trzeba było w nocy zawracać, bo spostrzegli, choć już za tym drutem uśmiechała się Polska i Warszawa. Najmiłościwszy, z Bożej Łaski (iluż tych Bogów jest u licha?) Wszechrosyjski Imperator, miłościwie kazał być na wojnie.

Torczyn, z małym kościółkiem i przepelnioną rannymi wąskotorową kolejką. Tutaj staliśmy długo, długo. Pobudowało się baraki, stajnie. I przylęciały pewnego dnia stalowe ptaki i zrzuciły w przeciągu 1 godziny 130 bomb na małe, pełne żołnierstwa, miasteczko. Wybuch za wybuchem, jęk za jękiem — szyby lecą. Dziwię się, że jeszcze żyję. Toż te drzazgi białe, które posypały się z grubych desek stodoły, na włosy zostały rozszarpane, o kilka centymetrów nad głową. Biedne moje koniska — czternaście ich leżało po tym nalocie z wyprutemi wnętrzościami—nawet ogromny, głupi ogier „Żółtek“, narowiający się stale, gdy ciągnął ciężką kuchnię polową, a rżący przeraźliwie cienkim głosikiem. Nalot aeroplanów następował za nalotem — wówczas dopiero wtajemniczyłem się w kunszt budowania blindażu. Do wszystkiego człowiek może się przyzwyczaić, nawet do wylatywania o czwartej nad ranem w koszuli, tylko przez podwó-

rze do blindażu i do jedzenia w jego ciemnych czeluściach śniadania i obiadu. Tylko kolega nasz, pan G., nie lubił się fatygować. Ze zzieleniałą ze strachu twarzą, siadywał zwykle skurczony na swoim łóżku, przyciskając trwożliwie wielką chłopską poduszkę do brzucha. „A nuż pomoże, jęczał, toć to najszlachetniejsza część ciała...” Rozumował słusznie, dla większości ludzi więcej to warte od głowy, która myślami tylko zbyt niepokoi. — Miał za to ogromne powodzenie u sióstr miłośierdzia...

A wiecie, co to jest rosyjska „siestryczka” — miłosierna dla oficerów siostra, jak mówili, z pewnym, nieprzyzwoitym dodatkiem, żołdaci? — Odpowiedź prosta. Za dawnych, dobrych czasów włóczyły się za wojskami markietanki i ciągnęły długim szeregiem, często na wozach obozowych, nierządnicę. Sprzedawały miłość i wino. Dziś armje wiozły je ze sobą dobrze ulokowane i płatne, jako żywy inwentarz, ubrany w ażurowe pończoszki, lakierki i białe czepeczki, należący do szpitali polowych, lazaretów i oddziałów opatrunkowych. Jeśli która była stara i brzydka, to pracowała i pomogła biednemu żołnierzowi — młode wołały pielęgnować oficerów, bo to nie tak brzydko pachnie, jak gnojące się rany nieumytych żołdatów. — Zapłacili im za to żołdaci podczas rewolucji. A jak mile wyglądały „siestryczki” na różnych zabawach, urządzanych przy sztabach. Jak dobrze znały się na winie i jak umiały tańczyć — napewno lepiej od niektórych znanych mi doktorów, którzy rannych bili po twarzach. Bo respekt, dyscyplina i karność muszą panować na wojnie. Szczególnie ta ostatnia, którą zatwierdził biały car. W drugiej części niniejszej książki zobaczymy, jak wyglądała dyscyplina, którą wykonywał lud, obaliwszy cara. Bo w Rosji bez knuta, ani rusz!...

Jakże dziwnie było na duszy, gdy przyjechało się na kilka dni nieoficjalnego urlopu do Kijowa, pozostawiając za sobą owe współczesne piekło, nazwane frontem.— Nie strzelają, bomby nie lecą z nieba, niema rannych. O naiwna radości na widok białego, ze sztukaterią „prawdziwego“ sufitu nad głową, przez który deszcz przeka-pać nie może! A jak rozkosznem jest elastyczne uginanie się sprężynowego materaca, miękka poduszka, czyste prześcieradło i dobrze wyprana koszula! — I nie ma wojny — pali się elektryczność, są koncerty, opera, komedia, cyrk... Ów dziwny, znany tak dobrze, a zapomniany zupełnie szmer wielkiej, eleganckiej kawiarni. Przychodzi się wprost z dworca, w grubych butach, z nieogoloną brodą i w wytartej kurtce, na której już nie błyszczy złoto, wypłowiałych od słońca, epoletów. Mimowoli śliz-gasz się na tej froterowanej posadzce i patrzysz z podeł-ba. Powoli ogarnia cię złość—tak przyjemnie pachnie ka-wą. Wyście tu sobie jedli, pili, umawiali się na koncerty, sie-dzieliście w cieple, a teraz spoglądacie z politowaniem na mój kostjum. A ja co, czy nie taki sam człowiek? Więc dla-czegóż marzłem, mokłem i słuchałem, jak leci zbliżają-cy się szrapnel? Za co, po co i na co — dla jakiej spra-wy? A wyście tu... Psiakrew! Chce się walić pięściami w stół...

. . . . .

Lecz nastąpiły i chwile wypoczynku. Na zimowych leżach można się było wygodnie urządzić w zacisznej cha-lupie. I zajęcie dali inne (karmiło się wygłodniałą ludność na froncie). Udało się przemycić na front żonę, która odtąd dzieliła wszystkie moje trudy. Bóg ci zapłać, ko-chana kobieto, za to wszystko! Nastaly ciche, zimowe wieczory. I cóż z tego, że czasem terkotał bliźiutko ka-rabin maszynowy, a w puchu śniegowym rozpływał się

głucho pojedynczy wystrzał armatni, lub bomba wybiła kilka szyb?...

Samotna chałupka na wydmie mikroskopijny, odmienny stanowiła świątek. Miasto nic nas nie obchodziło. A car rządził, gniótl, męczył, kazał zabijać, gnoił ludzi po turmach. Ileż razy zalaatywał i do nas groźny podmuch lodowy z Petersburga, a groza i nienawiść zaglądały do serca. Wtedy czytaliśmy „Pana Tadeusza“ i mówiliśmy sobie, że trzeba wytrwać, wytrwać za wszelką cenę, aby zdrowo, z niezdeprawowaniem sercem i świeżym umysłem, powrócić do Ojczyzny, której przecież tak potrzebne są młode siły. Toż tyle jest u nas w Polsce do budowania! A jak nam żarła duszę tęsknota... Z jaką radością słuchaliśmy grzmotów każdej większej bitwy. A nuż przełamią moskiewski front, zagarną nas i będzie można się dostać do kraju. Poprawiały się wtedy humory. Upiększało się bielone ściany i piec chaty najfantastyczniejszymi rysunkami i pośpiewywało wesoło. Mówiliśmy sobie, że tylu ludzi wytrwało w daleko gorszych warunkach. Zawsze przychodziła mi wtedy na myśl historja dwóch kobiet, które wśród zapalanej pociskami wioski, ratowały swój dom i uratowały — a nawała przeszła (patrz przypiski Nr. 6). Mimo wszystko, było to jakieś letargiczne, pełne oczekiwań życie. Zdawało się, iż sam fakt przebywania tutaj, po tej stronie, po bohater-skich czynach Legjonów, jest wielką winą. Czuliśmy się mimowoli dezterterami Sprawy. Tam, u nas, tyle się działo... Z jaką chciwością rzucał się człowiek na dzienniki, z jakim pietyzmem chował wycinki, mówiące o aktach 5-go listopada, aby wręczyć je pokryjomu przez okazję tym braciom w okopach, którzy żadnych nie otrzymywali gazet. W takim półśnie wyczekiwania i nadziei, przeplatana monotonna pracą zaopatrywania wygłodniałej i wylęklej ludności w żywność, przeszła nam, na ci-

chem odludziu, zima. Biały car rządził — wszystko mroził lodowy oddech jego.

Lecz przyszła wiosna, stopniały śniegi. Karabiny zaczęły trzeszczeć ze wzmożoną siłą, ale już nie u nas. Front bojowy przeniósł się do Petersburga i Moskwy. Czerwonym zarzewiem zabarwiła szare, rosyjskie niebo Rewolucja.

---

## „REWOLUCJA“.

### I.

Rewolucja marcowa!... Jak to się stało? — Powie-  
dzieć, ująć wszystko syntetycznie w jedną, obejmującą  
całość, w której, jak w zwierciadle zmniejszającym, odbi-  
łyby się w drobnych, lecz wyrazistych rysach wszystko,  
co się przez pierwszy tydzień odgrywało na olbrzymim  
obszarze rosyjskiego imperjum!... Dotychczas jest to  
jeszcze rzeczą trudną — toż zaledwie rok mija. Powstał  
przez ten rok gmach olbrzymi na chwiejnych, a dygoczą-  
cych podstawach, o niezmiernie rozciąglej, mglistej fa-  
sadzie, bez wyraźnie zarysowanych konturów. Chcąc  
fasadę taką objąć okiem, trzeba odejść koniecznie na pew-  
ną odległość, a przynajmniej wystąpić po za obręb cie-  
nia, rzucanego przez nią. — Na to zaś rok czasu stanow-  
czo zamało...

Najodpowiedniejszym wydaje mi się wobec tego zre-  
konstruowanie przeżyć własnych, wewnętrznych i zew-  
nętrzných w ciągu tego znamienego roku. Wszakże za-  
chodzi pewna równoległość pomiędzy takim mikroko-  
smem, a otaczającym go, niby wzburzony ocean, makro-  
kosmem.

A więc... Było to, jak codzień, pomimo, że to już 19  
czy 20 marzec. Tak samo śnieg grubą warstwą za-

legał pola, tak samo wyglądało od czasu do czasu wesołe słońce zza chmur, tak samo, jak co dzień, skontrolowało się stajnie i magazyn, zamieniając kilka lakonicznych, codziennych słów z dyżurującym sanitariuszem, tak samo warczały nad ranem patrolujące aeroplany austriackie, a w południe, w siniejący o trzy wiorsty na widnokręgu las, wyróżnęła codzienna odpowiednia porcja obiadowa granatów i szrapneli, zmuszająca aluminowo-srebrzystą kielbasę (balon obserwacyjny) do prędkiego opuszczenia wyższych sfer. Jednym słowem zwykłe, frontowe życie... A jednak ożywił tę frontową monotonię pewien olbrzymi żółty plakat, przyklejony do ściany pleśniowej stodółki. Podchodzę — trzech, czy czterech żołnierzy spogląda podejrzliwie na moje epolety i bierze nogi za pas. Ja sam, rzuciwszy okiem na treść ogłoszenia, ogladam się z zaniepokojeniem (dawne przyzwyczajenie) wkoło siebie... Nic się jednak nie dzieje... Wobec trudności, wywołanych wojną i olbrzymią odpowiedzialnością, car zrzeka się tronu na korzyść brata, a jedyną prośbą jego jest, aby nadal pozostawiono z nim razem ukochanego następcę tronu. Brat zaś carski zrzeka się znów tego zaszczytu, wobec ogromnej odpowiedzialności, chyba, że go cały naród rosyjski zawezwie.

I tylko tyle... Odrazu ogarnia człowieka, dziwnie niepokojące uczucie, że stało się coś niezwykłego, że dzieje się coś, czego dotychczas nawet nie podejrzewał.

Siadam na koń i pędzę do najbliższej wioski... I tam wisi podobny plakat, otoczony gromadką chłopów i żołnierzy. Słysząc zawodzące westchnienia bab i poważne pociąganie nosem chłopów.

— Biedny car! Gorzko mu przyszło, batiuszce! A jaki dobry, naród chce uratować. Oj, żeby go tylko te dranie, studenty, nie zabiły.

— Tak, tak, wasze błagorodje, odzywa się jakiś żołnierz...

— Co ty znów z „błagorodjem“, odzywa się drugi. Mówi się wprost gospodin czynownik, albo towarzyszcz.

— Racja, towarzyszu, powtarzam, chcąc trafić na odpowiedni ton. Teraz nowy porządek.

Patrzą na mnie podejrzliwie.

— Wszystko to nieszczęście, mówi ktoś nieśmiało. Jakże to będzie bez gospodarza?

— Biedny gosudar!

Jądę dalej...

W miasteczku spotykam „prystawa“ z białą przepaską na rękę. Powoli zaczynam się domyślać prawdy, lecz z najniewinniejszą w świecie miną zapytuję go, czy nie ranny.

— Nie... To tylko dowód, że my, policja, nie mamy nic przeciwko nowemu rządowi.

— ???

— Co oni teraz z nami zrobią, wybucha gniewnie. Pewnie nas wszystkich machną do wojska. I to szczęście będzie, jeśli nie jako prostych żołnierzy.

Był zupełnie zgnębiony i trwożliwie spoglądał na każdego przechodzącego żołnierza i chłopca. Drogo musiał teraz zapłacić za pobierane dawniej z „bieżeńców“ łapówki.

Wiadomości przybywały z godziny na godzinę. Jedne pułki krzyczały „hura“, drugie milczały, myśląc sobie, że nuż wszystko to jeszcze nie skończone i znowu nastaną stare czasy.

Mieliśmy więc nowy, „tymczasowy“ rząd, który miał być czynnym, aż do zwołania konstytuandy — nowe wojenne Ministerjum z ks. Lwowem, Milukowem, Guczkowem, Kiereńskim, Rodzianką, Czheidze, Skobelewem, Szyngarewem i Winawerem. Jednocześnie jednak istnia-

ła druga władza „Sowiet raboczych i sołdackich deputatów“. Ta dwuwładza stała się zgubą Rosji. Żadna uchwała rządu tymczasowego nie mogła być wprowadzoną w czyn, jeśli nie uzyskała aprobaty „Sowietu“. Każde miasto, miasteczko i wieś w Rosji, czy też na froncie miały swój, miejscowy „sowiec“. Na żądanie Rady delegatów żołnierzy i robotników wydał minister wojny, Guczukow, rozkaz Nr. 1, równający odrazu żołnierzy z oficerami. Zniesiono wszystkie przywileje oficerskie — przede wszystkim obowiązek oddawania honorów wojskowych — oficerem mógł zostać każdy, nie mający nawet najmniejszych kwalifikacji. Dyscyplina zaczęła się chwiać... Był to okres ciągłych mityngów. Każda grupa wojskowa (korpus, dywizja, pułk, rota, brygada, bateria i dywizjon) miały swoją radę i swoich delegatów, którzy wiecznie urządzali posiedzenia i mityngi. O czym i jak rozprawiał ów tłum, przeważnie analfabetów, jest rzeczą wprost nie do uwierzenia. Każda garstka żołnierzy lub ludzi cywilnych miała prawo utworzyć komitet. Żaden rozkaz nie mógł być wypełnionym, jeśli nie uzyskał zgody komitetu.

Gdy jeden z moich znajomych — kapitan, komendujący parkiem artyleryjskim, rozkazał pewnego poranku, aby wyrzucono gnój, który nagromadził się w stajni, żołnierze natychmiast zwołali wiec. Trwał on około 14-tu godzin i, ostatecznie, z powodu nieprawidłowego głosowania, tej ważnej kwestji nie rozstrzygnął.

W tymże samym parku artyleryjskim żołnierze uchwalili jednomyślnie, że w niedzielę nie należy karmić i poić koni, ponieważ niedziela jest dniem wypoczynku. Na następną niedzielę, gdy zanosilo się na powtórzenie tej samej historii, kucharze obozowi, którym żal zrobiło się biednych zwierząt, nie ugotowali obiadu i kolacji, twierdząc, że jeśli ich towarzysze nie karmią koni, to im

przysługuje najzupełniejsze prawo nie przygotowywania posiłków w dzień świąteczny. Wywołało to ogromną burzę, która ostatecznie skończyła się znowu kilkugodzinnym mityngiem. Rezultatem był „status quo ante” — żołnierze postanowili karmić konie, a kucharze—żołnierzy nawet i w święta.

Toż, gdy jednej z baterji zabrakło kiedyś pocisków, a świeżo przez obserwatorów zameldowane cele wymagały natychmiastowego obstrzału, transport odmówił podwozu, motywując swą odmowę również tem, że na dany dzień wypadło święto cerkiewne. Trzeba było przysyłać delegatów-żołnierzy, aż ze sztabu korpusu, którzy mieli nakłonić swych towarzyszy do posłuszeństwa i wytłumaczyć im, że obrona Ojczyzny nie zna świąt.

W tymże samym czasie znosi się święta cerkiewne dla instytucji publicznych i zaprowadza czas średnioeuropejski, oraz nowy styl kalendarzowy. Na to włościańsko-rewolucyjny komitet z jakiejś wioski posyła rezolucję, potępiającą wprowadzenie nowej rachuby, uważając ją za równoznaczną z narzuceniem katolicyzmu.

Popelniano największe niekonsekwencje, które, wprowadzane natychmiast w czyn, robiły z niektórych formacji wojskowych istny dom warjatów.

Nie lepiej działo się w miastach, gdzie, oprócz miejscowych rad delegatów robotniczych i żołnierskich, powstało mnóstwo komitetów: stróży, dorożkarzy, szwajcarów, kominiarzy, rzemieślników i t.p. Strajki odbywały się bez końca, a pochody z czerwonymi sztandarami, na których były umieszczone napisy, zawierające żądania poszczególnych organizacji, codzień przeciągały ulicami. Jednego dnia urządzali manifestację szwajcarzy, drugiego dnia czyściciele latarni i t. d. Liczba dni roboczych w fabrykach, wyrabiających amunicję, zmniejszała się w przerażający sposób.

W tym okresie miała największe wpływy partja socjalistów-rewolucjonistów ze swym hasłem „ziemia i wolność“, na czele której stał Kiereńskij i partja socjalnych-demokratów (mieńszewików) z Ceretellim.

Kiereńskij stał się w tym czasie bożyszczem tłumów. Ruchliwość tego człowieka była poprostu nadzwyczajną. W przeciągu np. jednego tygodnia umiał wygłosić mowy do floty bałtyckiej, czarnomorskiej oraz w czterech armjach w najrozmaitszych odcinkach frontu. Ta popularność, stała się prędko przyczyną wyborów jego na ministra spraw zagranicznych, gdy Milukow zmuszony został do ustąpienia z tego stanowiska, po udzieleniu swoich wyjaśnień co do celów wojny. Wyjaśnienia te opiewały, że dla Rosji koniecznym jest wolny przejazd przez Dardanele. Rada delegatów żołnierskich i robotniczych uznała to za zdeptanie hasła „bez aneksji i kontrybucji“.

W krótkim czasie, po ustąpieniu ks. Lwowa, został Kiereńskij prezesem ministrów i głównodowodzącym armją jednocześnie. Zarząd Ministerstwa wojny objął Sawinkow, a floty Lebedjew.

Te nominacje wywołały wielkie oburzenie, szczególnie wśród wyższych sfer oficerskich. „Jakto, krzyczano, Kiereńskij, najwyklejszy adwokat przysięgły, nie mający najmniejszego pojęcia o wojowaniu, bierze na siebie rolę naczelnego wodza!“ Sam niejednokrotnie słyshałem z ust sztabowców wyrazy najżywszego oburzenia z tego powodu. Generałowie urządzali wszędzie opozycję, szczególnie ci, których nie opuszczała myśl przywrócenia monarchji. I rzeczywiście, Kiereńskij dał w tym okresie, zupełnie niedwuznaczne, dowody, iż opanowała go megalomanja. Chciał literalnie czynić wszystko. Wydawał jednocześnie najsprzeczniesze ze sobą rozkazy bojowe i prowadził akcję dyplomatyczną z przedstawicie-

lami koalicji. Degradacje i nominacje następowały z błyskawiczną szybkością. Każdy rozkaz degradacyjny zaczynał się zwykle od zdania: „Taki to... oficer zostaje ogłoszony za przeciwnika rewolucji i stronnika dawnego ustroju (priwierzenca starawo reżima)...“

Wzrastający chaos powiększył jeszcze przyjazd ze Szwajcarii przywódców lewicy socjalno-demokratycznej partji: Lenina (Uljanowa), Trockiego (Bronszteina), Kamieniewa (Rozenfelda), Łunczarskiego i Kollontajowej. Nowi przybysze, poparci przez marynarzy kronsztadzkich (Kronsztad istniał już wtedy jako oddzielna republika), zdobyli przemocą pałac Krzezińskiej (prymabaleriny — byłej kochanki cara) i zaczęli prowadzić akcję bolszewicką. Akcja ta była skierowana przeciwko wojnie, burżuazji, koalicji i Kiereńskiemu. 3-go czerwca bolszewicy urządzili zbrojną demonstrację — rewję swoich sił. Zamieniła się ona w szereg krwawych rozruchów, które pochłonęły życie wielu niewinnych ofiar w Petersburgu.

Bolszewicy obiecywali natychmiastowe zawarcie pokoju i polepszenie stosunków żywnościowych. Cała aprowizacja, według ich obietnic, miała przejść w ręce ludu. A trzeba dodać, że głód zaczął zagrażać coraz to bardziej, szczególnie większym miastom. Skutkiem tego pierwszego rokoszu bolszewickiego, zgniecionej przez partję Kiereńskiego (Lenin i Trockij zbiegli), była nowa zmiana ministerstwa. Ceretelli został ministrem poczt i telegrafów, Awksentjew — spraw wewnętrznych, Skobielew — pracy, a Czernow — rolnictwa. Czernow głosił hasło, iż ziemię może posiadać tylko ten, kto ją obrabia. Nieuprawiający roli będą wywłaszczeni.

Włóścianie, żywioł konserwatywny, siedzieli dotychczas cicho. Żyjąc ciągle wśród włóściaństwa, szczególnie ukraińskiego, miałem sposobność zbliżyć się doń i poznać, o ile to było możliwe, jego charakter. Ciekawym

jest fakt, iż włościanie przez długi czas nie solidaryzowali się z nowym porządkiem. Najostrzej występował ich antagonizm w stosunku do delegatów-robotników. Naogół żałowano cara. Kursowała ciągle jakaś tajemnicza legenda o tem, że car na krótko przed detronizacją miał obdarzyć chłopów ziemiami rządowymi i pańskimi. Nieuświadomieni włościanie, których wszelkie kwestje socjalne obchodziły bardzo mało, mieli się jednak na baczności, gdy potracono o kwestje rolne. Wypłynięcie Czernowa, jako ministra, i głoszone przez niego hasła wywołały odrazu burzę w spokojnem dotychczas włościanstwie. Teraz dopiero rozpoczęły się rozruchy agrarne na taką skalę, jakiej dotychczas Rosja jeszcze nie widziała. Włościanie uważali dawne „udziły“ carskie i wielkksiążęce nie za własność nowego rządu, a za swoje i zagarniali je narówni z pańskimi. O opłacie przy wywłaszczeniu nie było nawet mowy.

Akcja bolszewicka przerzuciła się tymczasem na front. Zaczęło się to od tak zw. bratania, które niejednokrotnie miałem sposobność obserwować. Bratanie polegało na tem, że zmęczeni niepewnością i trudami żołnierze danego odcinka, pułku czy dywizji wywieszali białe chorągwie, ogłaszali, że na tyle to i tyle godzin ustanie wszelka strzelanina i wychodzili na pas neutralny, pomiędzy drutami kolczastymi, aby się spotkać przyjaźnie ze swymi dotychczasowymi wrogami. Prowadzono przeważnie handel wymienny. Żołnierze żądali przede wszystkim rumu i wina. Podlewane obficie alkoholem humory były, oczywiście, w takich chwilach jaknajrózowsze. Tańczono i grano na harmonijkach, a czasem wygrywały naprzemian dwie kapele wojskowe. Zabawa kończyła się zwykle o zmierzchu, wszyscy wracali do swoich okopów — najczęściej jednak mniej pijany Moskal odnosił tak zw. „trupa“, śmiejąc się wesoło, „do domu“.

Tłumaczenia oficerów, że z „brataniem“ należy się zatrzymać do zawarcia pokoju, nie odnosiły najmniejszego skutku, a gdy kilka osób ze starszyny obito należyście, admonicje ustały zupełnie.

W sąsiadującej zaś z nami armji XI-ej zdarzył się fakt następujący. Komendant pewnej baterji, chcąc przeszkodzić brataniu, kazał przez kilkanaście minut poddać działaniu ognia przedpole. Podczas tego ostrzału szrapnel oderwał rękę któremuś ze śmiałków. Żołnierze z oburzeniem opuścili okopy i, niosąc rękę zranionego, zatkniętą na bagnecie, zamiast sztandaru, przypuścili szturm do własnej baterji. Kilku artylerzystów zakłuto, wielu raniono, a komendant musiał ratować się ucieczką.

Życie na pozycjach było w tych czasach istną idyllą. Można było konno podjechać do pierwszej linii okopów. Rzadko kiedy świsnęła jakaś wypuszczona na wiat kula. Pamiętam, jak, pobiwszy do utraty przytomności jakiegoś żołnierza, towarzysze oskarżyli go przed sądem pułkowym o naruszenie spokoju. Przyczyną było to, że nieszczęsny wystrzelił z nudów do przelatującej nad przeciwległymi okopami wrony.

Szeregi rosyjskie zaczynały rzednąć. Żołnierze, pod pretekstem, że carat może w głębi Rosji podnieść jeszcze głowę, śpieszyli na tyły, niby to na ratunek rewolucji i nie myśleli powracać do swoich pułków. Toż utarło się popularne powiedzenie: jadę na „petersburski“, „moskiewski“ lub „kijowski“ front. Zwolennicy życia bojowego mogli je najlepiej oglądać w tych miastach. Tysiące żołnierzy zaczynało się wałęsać po całej Rosji. To, że ogłaszano ich dezterterami i naznaczano kary, nie robiło już żadnego wrażenia — toż kara śmierci była zniesioną raz na zawsze! W samym Petersburgu określono kiedyś liczbę dezterterów na 40.000. Coraz częstszymi stawały się różne pijackie ekscesy. Na wielką skalę zaczęto urzą-

dziać tajne niby to gorzelnie, specjalnie dla powracających z frontu żołnierzy, których proletarjat miejski nazywał pieszczotliwie „czudo-dezertiry“. Przerabiano przeważnie spirytus denaturowany (chandża) i politurę. — Rewolucyjna milicja, składająca się głównie z dawniejszej, udającej obecnie ogromną miłość do ratowania rewolucji, policji oraz często ze zbiegłych z więzień rzezimieszków, zbierała na tajnym wyszynku bogaty plon.

Żadnymi siłami nie można było skłonić opornych do powrotu na front. Ci, co pozostali w okopach, błagali o zmianę, a zmiana nie przychodziła. Doszło do tego, że gdy od czasu do czasu, po wielu mityngach i naleganiach agitatorów Kiereńskiego, pułk jakiś decydował się nareszcie na wyjazd, to ogłaszano to uroczyście, jako czyn patriotyczny, we wszystkich czasopismach. Miało to ogromnie demoralizujący wpływ. Ale nie na tem koniec. Pułk, przybywszy na front, zaczął dopiero grymasić w wyborze odcinka, zwlekać z naznaczeniem ściślejszej daty i. t. p. Znowu trzeba było urządzać zebrania, na których przedstawiciele świeżoprzybyłego pułku kruszyli kopje z delegatami pułku, siedzącego w okopach. Nikomu nie chciało się włączyć do rowów strzeleckich.

Wreszcie Kiereńskij postanowił „zawstydzić“ patriotycznych analfabetów i posłał na front żeński bataljon pod dowództwem chorążego, pani Boczkarewoj. I to, jak łatwo się domyśleć, oprócz śmiechu wśród żołnierzy, żadnego innego skutku nie osiągnęło. Czem był żeński bataljon, określa najlepiej raport pewnego starszego lekarza korpusowego, w którym wyrażona jest prośba do sztabu armji o usunięcie z terytorjum korpusu, ze względów sanitarnych, wzmiankowanego bataljonu. Widziałem go często w Równem, gdzie kompletowały się owe nowożytnie amazonki. Przeważnie spotykało się dwa typy: jeden z krótko ostrzyżonymi włosami, niesłychanie

brudny, w zabłoconych szarawarach i załatanej żołnierskiej kurtce (przeważnie „ideowe“ niewiasty lub studentki) — drugi z przyciśniętymi tylko włosami, zakręconymi w loki, w oficerskiego kroju bluzie z eleganckimi epoletami i w krótkich sportowych spodeńkach, ażurowych pończoszках i półbucikach lakierowanych (przeważnie damy z półświatka). Niesłychanego komizmu dodawał szczególnie ostatniemu typowi długi, starego typu, karabin z olbrzymim bagnetem. Żołnierze, w publicznym ogrodzie, np. na koleżeńskie odezwanie się „towarzysz“, spoglądali zwykle na tych nowych żeńskich kolegów podejrzliwie, przeważnie jednak odstępowali im z galanterią miejsca na ławce, a po kilku godzinach moc czułych męskich napozór parek, snuło się pomiędzy drzewami.

Drugim nieudanym pomysłem były tak zw. rewolucyjne szturmowe bataljony śmierci. Mieli to być wybrani z wybranych; i rzeczywiście był to dobry żołnierz. Reszta żołnierzy doszła jednak wkrótce do wniosku, że tylko te bataljony mają obowiązek walczenia z nieprzyjacielem Ojczyzny i często zdarzało się, że dezerterski tłumaczył opuszczenie pozycji tem, że nie należy przecieżyć do bataljonu śmierci. Po za tem w samych bataljonach spotykałem wielu żołnierzy, którzy byli głęboko przekonani, że podpisali jakoby kontrakt tylko do pierwszych mrozów, bo przecieżyć trudno, aby nowy rewolucyjny rząd, który wszystkich uznał „grażdanami“, wymagał od żołnierza marznięcia wśród śniegów.

W takim stanie znajdowała się armja, a w zupełnie analogicznym całe społeczeństwo rosyjskie, gdy, po długim zacisku na froncie, rozpoczęły się walki, zakończone ofensywą w Galicji, odebraniem Rosjanom Bukowiny i niesłychanymi przykładami zupełnego zbydłęcia rosyjskiego żołnierza podczas kałuskiej i tarnopolskiej katastrofy.

Autorytet Kiereńskiego był zachwiany...

Wszędzie słyhać głosy, pełne oburzenia, iż po tylu miesiącach nie zwołano jeszcze konstytuanty... Anarchja rośnie — zaczynają powstawać stowarzyszenia ratowania Ojczyzny: „Związek oficerów armji i floty“, „Związek kozacki“ i „Związek kawalerów św. Jerzego“. Na czoło ruchu, dążącego do odrodzenia armji, wysuwają się generałowie: Korniłow, Kaledin i Aleksiejew.

Biuletyny, zwołanego w lipcu 1917 r. zjazdu demokratycznego w Moskwie, charakteryzują najlepiej rozpaczliwą atmosferę, jaka zapanowała w Rosji. Z nabrzmiałych elektrycznością chmur zaczynają bić pioruny.

Pierwszym — jest ogłoszenie zdrajcą rewolucji Korniłowa i ks. Lwowa, oraz areszt obydwóch wraz z generałami Markowym i Denikinem. Gen. Kaledin ucieka na Don, gdzie zaczyna się organizować kozactwo, nie chcące dopuścić w żaden sposób do tego, aby anarchja zniszczyła ich ziemię.

14-go września zaczyna się narada demokratyczna w Petersburgu, na którą przybywa 1200 z górą osób. Zespół przydjum stanowią: Czheidze, Ceretelli, Gotz, Kamieniew i Filipowskij — z ramienia rady delegatów włościan: Awksentjew, Czernow, Sorokin i Pokrowskij — z ramienia miast: Szrejder, Rudniew, Minor, i Weresajew (patrz przyp. Nr. 20).

Pierwszą mowę wygłasza Kiereńskij. Wyluszcza on w niej drobiazgowo sprawę Korniłowa i swój stosunek do niego i twierdzi, że jeśli na tej naradzie nie usłyszy się słów stanowczych, to musi nastąpić bankructwo rewolucji. Następuje potępienie anarchji, jaka zapanowała w szeregach i propozycja zaprowadzenia porządku, a jednocześnie charakterystyczne powiedzenie, które cytuję dosłownie: „Jeśli jednak ja, jako wódz naczelny, podpiszę, choćby jeden wyrok śmierci — to niech będą

przeklęty! Bez względu na to, co nas czeka, pozostanę takim samym obrońcą Ojczyzny i rewolucji!“ (Okrzyki na lewicy: „Kłamstwo. Biada Ojczyźnie!“). Na zapytanie, kto ośmielił się odezwać w ten sposób, zbliża się do łoży żołnierz i powtarza słowa powyższe. Na to Kiereński: „Powiadam to tutaj dlatego, że niewymownie ciężki jest krzyż, który nieść muszę...“

Następnie przemawiają kolejno Wierchowski i Czernow („Gdym usłyszał z ust nowego ministra wojny wyrazi: każdy w armji, kto nie wierzy w nową armję demokratyczną, może ustąpić z jej szeregów — powiedziałem sobie, iż wkroczyliśmy na drogę słuszną. Tylko taki program może nas ocalić“). Kamieniew (bolszewik, zarzucający Kiereńskiemu przemilczenie wszystkich projektów Korniłowa o wprowadzeniu kary śmierci na tyłach i o militaryzacji kolei oraz fabryk), Bogdanow, Cerebelli, Aleksiejew (przedstawiciel włościan), Ramiszwilli, Mstinow, Bukankow, Owczynnikow, Sorokin, Archangielskij, Spiridonowa, Czernow, Markow, Dan. Grupa frontowa wyjaśnia, iż osiem armji wypowiedziało się za koalicją, dwie przeciw, w jednej zaś głosy podzieliły się. W sekcji narodowościowej brali udział przedstawiciele partji socjalistycznych: żydowskiej, białoruskiej, litewskiej, ukraińskiej, gruzińskiej, przedstawiciele górali, burjatów i kozaków.

Ważną częścią narady było głosowanie w kwestji koalcji. Za koalicją wypowiedziało się 766 głosów, przeciw 688 — 38 powstrzymało się od głosowania. Rezultat głosowania przyjęto okrzykami „hańba“. Następnie przyjęto prawie przez wszystkich uczestników dwie zasady:

- 1) podstawą działalności przyszłej władzy powinien być program demokracji zjednoczonej, przyjęty na naradzie moskiewskiej z dn. 14-go sierpnia; 2) niezbędność od-

powiedzialnej władzy przed organem, stworzonym przez demokrację.

Trockij oświadcza, iż będzie głosował za władzą odpowiedzialną i organem kontrolującym, lecz przeciwko stworzeniu tego organu ze składu narady.

Wojtinskij odczytuje rezolucję w kwestji rady demokratycznej, następnie zostaje ogłoszona znana Odezwa demokracji świata, a rząd tymczasowy asygnuje 6 milionów rubli na wybory do Konstytuanty.

Do Konstytuanty nie doszło. Już ze samego składu Narady demokratycznej widzimy, że znajdują się tam ukryci dotychczas z obawy przed aresztowaniem Lenin, Trockij i Kamieniew. Dnia 25-go września Trockij zostaje nagle obrany prezesem petersburskiej rady delegatów żołnierzy i robotników. Owa druga, równoległa do rządu tymczasowego, władza, którą dotychczas z niezmiernymi wysiłkami godził Kiereńskij z rządem tymczasowym, rzuca nowe hasło: „Precz z Kiereńskim! Cała władza należy do rad żołnierskich robotniczych i włościańskich!“

25-go października st.st. 1917 r. wybucha krwawe powstanie bolszewickie w Petersburgu — ma miejsce niesłychana, znana wszystkim z depeesz, masakra petersburska, a o 11-ej wieczorem zostaje otwarty wszechrosyjski zjazd rad delegatów. Do prezydium wybierają 14 bolszewików, a w tej liczbie: Lenina, Zinowjewa, Trockiego, Kamieniewa, Krylenkę, Kollatajową, Kamkową, Spirydonową i Mstisławskiego.

Kiereńskij ratuje się ucieczką. Część członków rządu tymczasowego zostaje uwięziona — krwawa fala rozlewa się po całej Rosji. — Smolny Instytut zajmuje od tej chwili miejsce pałacu Taurydzkiego.

Oto w krótkim zarysie historia rewolucji rosyjskiej od marca aż do rozpoczęcia przez Smolny Instytut nowej

ery, znamiennej pierwszemi rokowaniami pokojowemi. Poświęciłem jej stosunkowo duży ośm miejsca, ponieważ jedynie w świetle tych wydarzeń mogą być zrozumiane wszystkie perypetja życia polskiego na emigracji, które na Ukrainie należy rozpatrywać z dwóch punktów obserwacyjnych, ponieważ oprócz „Smolnego“, mamy jeszcze „Hotel Savoy“ — siedzibę Rady Ukraińskiej.

Na zakończenie pragnę dodać jeszcze, iż ludzą się ci, którzy ruch bolszewicki uważają za coś równoznacznego z chaosem tylko i anarchją. Jest to poważne złudzenie, gdyż bolszewizm nie jest jakąś czasową tylko, ślepią w swych skutkach katastrofą, choć skutki jego miały katastrofalny dotychczas charakter. Bolszewizm jest idea, mającą przedstawicieli nie tylko wśród ciemnego tłumu grabieżców-analfabetów, — ideą bardzo prostolinijną, która szukając sobie praktycznych form bytu w czasach, kiedy przelewanie krwi zostało usankcjonowane przez wszystkie cywilizowane narody na kuli ziemskiej, nie mogła oczywiście bojowania swego prowadzić w sposób łagodny. Jeśli odrzucić wszystkie mordy, gwałty i grabieże, cały ten wstrętny dla kulturalnej jedności krwawy opar, otaczający konsekwentną zresztą zupełnie metodę walki przeciwko inteligencji i klasom posiadającym, to przekonywujemy się, iż bolszewizm jest najbardziej odpowiednim i zrozumiałym kierunkiem dla niewolniczej dotychczas, a sekciarskiej rasy zropanonych „poszukiwaczy bogów“, która poczuwszy nagle swą olbrzymią siłę, krzyczy: „cała władza powinna należeć do ludu pracującego“. Przyszłość dopiero pokazać może, czy i jak utworzy się władza, odpowiadająca tym ideałom.

---

## II.

„Precz z Ukrainy!“ Oto myśl przewodnia i hasło polityki ukraińskiej. W tych dwóch krótkich słowach mieści się cała tragedia polskości, krzyżowanej codziennie na przesiąkniętych krwią polaciach ziemi ukraińskiej. Kulturze naszej na kresach zadano cios może śmiertelny. Może — bo chociaż tysiące rąk opuściło się rozpaczliwie, jednakże tysiące drugich rąk zacisnęło się w kulak, tysiące mózgów i serc czuwa i trwa jeszcze na placówkach... Zaczęło się to od klęski tarnopolskiej, gdy, rozprzężona horda, mianująca się kiedyś regularną armją, opuszczając masowo pozycje, spustoszyła okolice Litynia i Płoskirowa. Przechodzili tamtędy gwardziści. Na furmankach, zrabowanych obywatelom i chłopom, wywożono zrabowany furaż, zboże i produkty. Ale to byli obcy — żołdacy, którzy brali u chłopca i u pana, zarówno u Polaków, jak u Rosjan i Ukraińców... Zaledwie pierwsza fala przeszła, a już rozległ się głuchy pomruk nowej, groźniejszej jeszcze burzy. Pojedyńcze pioruny zaczęły walić w mniejszą i większą własność, ale już tylko polską. Chłop ukraiński doniszczał to, czego nie zdążył zniszczyć zupełnie obcy żołdak. We wsi dajmy na to X, miejscowy komitet włościański postanawia wysiedlić po za granice gminy wszystkich Polaków. Wniosek komitetu zostaje natychmiast wprowadzony w czyn. Cała wieś uda-

je się do dworu — właściciela biją aż do utraty przytomności i zamykają, jako zakładnika w chlewie—chorą obłożnie właścicielkę wynoszą na podwórze, płacz dwojga małych dzieci nie wzrusza nikogo. Tłum bab i wyrostków drwi, szydzi i obrzuca błotem—chora, pozbawiona najelementarniejszego nawet okrycia, umiera o świcie. Służba rozbiegła się po lasach, z dworu wynoszą meble, dywany i obrazy; co za ciężkie, aby mogło być przeniesione do chałup, zostaje porąbane siekierami. Bibliotekę wyrzucono już przez okna na podwórze, karty rękopisów i starych, bezcennych nieraz druków fruwią, unoszone silnym podmuchem wiatru po całej okolicy. Dwór już pusty — ze ścian poździerano obicia — nogi toną w grubych warstwach papieru i skrawkach pociętych obrazów. Ogień przerzuca się na budynki folwarczne. Zamknięte bydło ryczy — czuć swąd palącego się żywca mięsa. Obudziła się chciwość, tłumiona dotychczas rozkoszą niszczenia. — Rozbijają wrota obór i stajen, aby uratować dla siebie bydło. Wielki, wydeptany doszczętnie gazon przed dworem opustoszał. Tylko jakiś pijany wyrostek wali pięściami w klawisze, wyciągniętego na dwór fortepjanu, i dwoje dzieci płacze nad stygnącym ciałem matki.

Na drugi dzień ulegają temu samemu losowi obejścia oficjalistów, czynszowników oraz włościan polskich. Polacy zostali nareszcie gruntownie „wywłaszczeni“.

Dwór za dworem, wieś za wsią, zaścianek za zaściankiem zaczęto „wywłaszczać“, mniej więcej według podanego wyżej wzoru. Miasta i miasteczka zapełniły się nawpół obłąkanymi z przerażenia kobietami i dziećmi. Po dworach, wsiach i zaściankach przyszła kolej na kościoły i szkoły. Szczególnie szkoły polskie burzono w ostatnich czasach uporczywie. Nie chcąc przeciążać tekstu, podaję w przypiskach pod Nr. 21 listę zburzonych

majątków, oczywiście niezupełną (z dodatkiem Białej Rusi i Litwy). Jeżeli pomiędzy wyliczonymi majątkami spotykamy i rosyjskie, to uczyniono to dlatego, że i w rosyjskich majątkach na Ukrainie pracowało wielu oficjalistów-Polaków, których zniszczenie dotknęło bezpośrednio.

„Ależ to tylko biedny, ciemny chłop ukraiński, zdemoralizowany przez obcego żołdaka Wielkorusa“.

Taką odpowiedź, popartą ubolewającym wyrazem twarzy, dawano w pokojach kijowskiego Hotelu „Savoy“ (siedziba Rady Ukraińskiej) zgnębionym ludziom, przychodzącym z prośbą o radę i ratunek. Vox clamantis in deserto, oto wszystkie prośby... Rada Ukraińska pracowała całą parą nad zniszczeniem wszystkiego, co polskie, ukrywając się za „uwiedzonego“ chłopca. Na oko wszystkie pozory były zachowane, zwołano komitet do walki z anarchją, czasem kogoś ukarano, lecz de facto nie czyniono żadnych konkretnych kroków. Stosunki były pozornie przyjazne — mówiono wiele o zgodnem współżyciu obu narodów, przedstawiciele Rady nieraz zjawiali się na naszych obchodach narodowych, lecz mimo to powietrze drżało od hasła: „Precz z Ukrainy!“

Pogarszało jeszcze sytuację to, że stosunek Rady do Rządu Tymczasowego był nieokreślony. Istniało niby przedstawicielstwo niezawisłej (samostijnoj) Ukrainy, a nie było oddzielnej armji ukraińskiej, istniała tylko armja wszechrosyjska. Polski Komitet Wykonawczy na Rusi, prosząc Radę o opiekę nad Polakami, zwracał się jednocześnie o to samo do głównodowodzącego armją wszechrosyjską...

Toż, gdy Walery Rudnicki wniósł dn. 26 października do Małej Rady interpelację — z zapytaniem, czy jest wiadomem Sekretarjatowi jakie rozmiary przybrała anarchja na Ukrainie, a jeśli tak, to jakie środki ratunkowe.

zostały przedsięwzięte — Łotockij odpowiedział w ten sposób, że wyliczył mu „papiery“, jakie wysłano z zarządzeniami...

Karty odkryto dopiero w pierwszych dniach listopada 1917 r. Byłem naocznym świadkiem tego, jak na placu Sofijowskim, pod pomnikiem Bohdana Chmielnickiego, ustawiono ołtarz i trybunę, udekorowaną żółto-niebieskimi barwami. Plac otoczyły pulki Chmielnickiego, Szewczenki, Żeleźniaka, Gonty, Połobot'ki i Hajdamacy w pełnym rynsztunku bojowym oraz stowarzyszenia ze sztandarami. Przyjechała Rada z Hruszewskim, Petlurą, Winniczenką i z Porszem — odbył się przegląd wojsk, uderzyły wszystkie dzwony, tłum popów odśpiewał „molebień“ (przypomniął się rok 1846) i... odczytano tłumowi Uniwersał!

Dla nas treść zasadnicza Uniwersału polega na tem, że cała własność polska na Ukrainie przechodzi w ręce ukraińskich komitetów włościańskich, których przedstawiciele stanowią gremjum parlamentarne nowej wolnej Ukrainy. Wywłaszczenie zostało przypieczętowane — gwałty nad Polakami zyskały urzędową sankcję!

Następnego dnia ukazał się we wszystkich pismach polskich protest, podpisany przez wszystkie stronnictwa polskie z wyjątkiem P. P. S. Lewicy i Frakcji. Ponieśliśmy niesłychanie ciężką klęskę. Dzika anarchja, panująca na Ukrainie, jest — abstrahując od akcji bolszewików — celowem i planowem wyniszczeniem wszystkiego, co polskie.

„Dziennik Kijowski“ podał kiedyś listę zniszczonej własności polskiej. Obejmuje ona trzy ogromne kolumny pismem petitowem i przedstawia się w następujący sposób: od dnia... do dnia... zniszczono (nazwa wsi i właściciela) d—dwór, f—folwark, g—gorzelnię, c—cukrownię, b—bibliotekę, sz—szkołę, k—kościół, ż—zniszczyli

żołnierze, w—włościanie (to ostatnie przeważa). Trzy czwarte własności polskiej zrównano z ziemią — nie ma na Ukrainie powiatu, w którym nie rozrabowanoby jakiego domu; najwięcej ucierpiało Podole, a mianowicie okolice: Husiatyna, Litynia, Latyczowa i Winnicy. Jest faktem stwierdzonym, iż najdziksze sceny odgrywały się tam, gdzie stosunki między chłopem a obywatelem były dawniej jaknajlepsze, jak również tam, gdzie ludność polska wypełniała najlepiej obowiązki sąsiedzkie. Jednakowemu zniszczeniu uległy zarówno wielkie, jak i drobne folwarczki oraz dworki.

Trudno nam przesądzać wypadki na przyszłość... Być może, iż pomiędzy dwoma narodami dojdzie jeszcze do zgody i dobrego współżycia. Wszakże i po dzień dzisiejszy Rada Ukraińska nie wypowiedziała formalnie wojny Polakom, a Uniwersał jest do pewnego stopnia konsekwencją socjalistycznego światopoglądu Rady. W każdym jednak razie, Polacy muszą uzyskać odszkodowanie za zniszczenie swojej własności.

Nie można bowiem zapatrywać się na sprawę w ten sposób, że zniszczone majątki są własnością Potockiego, czy Branickiego, czy też X. i Y. i że do tych ludzi należy przynajmniej pół gubernji... O nie, te ziemie są moralnie własnością całego narodu polskiego, bo tam mówiono naszym językiem, tam znajdowały się nasze szkoły i biblioteki—wogóle wszelkie odwieczne placówki kultury naszej. Dlatego też naród polski ma pełne prawo domagać się zwrotu strat, poniesionych w tych stronach. Trudno będzie bowiem o szczery sojusz i możliwość współżycia między nami i narodem, którego rząd sankcjonuje przymus, gwałt i grabież.

Dnia 10-go września 1917 r. np. Centralna Rada zwołała do Kijowa zjazd narodów, mieszkających w Rosji, które domagają się zupełnej autonomji w federacyjnej

republice rosyjskiej. Rozesłano 35 zaproszeń. Finlandczycy zaproszenia nie przyjęli. Z ramienia Polskiej Centrali Demokratycznej zjawił się R. Knoll, który zaznaczył, iż P. C. D. nie może przyjąć udziału w zjeździe, jednoczącym te narody, które chcą połączyć się w jedną federację. Naród polski dąży do zupełnej samodzielności i bliskim jest zdaje się tego celu. Przewodniczący prosił, aby Polacy pozostali na zjeździe, jako goście.

Zjazd przedstawił się w następujący sposób: ukraińców — 8, tatarów — 10, Turków — 5, Rosjan — 3, Rumunów — 6, Białorusinów — 7, Kozaków — 9, Estończyków — 4, Litwinów — 8, Łotyszów — 10, Żydów — 11, Gruzinów — 2.

Coraz to wyraźniej zarysowywały się wśród Ukraińców dwa poglądy — jeden, pragnący pozostać z Rosją w federacji, drugi, pragnący zupełnej niepodległości Ukrainy, jako państwa samodzielnego. Ścieranie się obu tych prądów spotykamy we wszystkich przejawach życia publicznego na Ukrainie w czasie rewolucji. Centralna Rada Ukraińska, której głównymi przedstawicielami byli: prof. Hruszewski, Porsz, Winniczenko i Petlura, dążąc do wpływu i popularności, która początkowo wśród Ukraińców była bardzo niewielką, za każdym zachwianiem się Rządu Tymczasowego, coraz to uporczywiej wysuwała na pierwszy plan kwestję zupełnej niezależności państwowej. Coraz to częściej pojedyncze ziemstwa składają swój hold Radzie, jako jedynej władzy, mającej prawo rozporządzać życiem i mieniem swych obywateli. W ten sposób z dnia na dzień opadała z Ukrainca trwała na pozór powłoka „grażdanina“ wszechrosyjskiej federacyjnej republiki.

Budową państwowości ukraińskiej zajął się Sekretariat generalny, powołany do życia przez Radę Centralną i zatwierdzony przez nią d. 4-go sierpnia 1917 r. Pre-

zesem generalnym został Winniczenko, sekretarzem głównym Łotockij. Natychmiast też utworzyły się wice-sekretarjaty narodowości, zamieszkujących Ukrainę — wice-sekretarzem do spraw polskich został M. Mickiewicz. Oficjalnym organem państwowym było pismo: „Ukrainskaja Respublika“ (odpowiedzialny redaktor Agaton Korolenko), w którym rozporządzenia i odezwy były drukowane w języku ukraińskim, polskim i żydowskim. Komitetem wykonawczym Rady Centralnej była t. zw. „Mała Rada“. Jest faktem charakterystycznym, że już na pierwszych posiedzeniach Małej Rady jeden z delegatów, Szapował, doszedł do wniosku, iż demokracja rosyjska (Kiereńskij, Dan, Ceretelli i Czheidze) zajęła wrogie stanowisko w kwestji narodowościowej, a więc i ukraińskiej. Od tej chwili zaczyna się zarysowywać coraz to wyraźniej rozdźwięk pomiędzy Petersburgiem a Kijowem, jako stolicą nowego państwa. Coraz to energiczniej Rada zaczyna się krzątać około ukrainizacji armji, a misja francuska, bawiąca wówczas w Kijowie z gen. Thebonis i pułk. Perlier na czele, interesuje się żywo kwestją wojska ukraińskiego i wyraża życzenie wejścia w ścisły kontakt z Komitetem generalnym. Dnia 1-go października 1917 r. Sekretarjat generalny ogłasza swą deklarację, będącą exposé jego pracy państwowej i politycznej, jeszcze w ramach federacyjnej republiki rosyjskiej. W tym czasie już zaczynają się szerzyć zaburzenia bolszewickie na Podolu i mają miejsce pierwsze starcia pomiędzy wzrastającymi liczebnie pułkami bolszewickimi, a nielicznymi ukraińskimi. Jednocześnie coraz to częściej wpływa na powierzchnię projekt zwołania konstytuancy ukraińskiej, jak to np. miało miejsce na posiedzeniu Małej Rady z d. 19-go października 1917 r., gdy przyjęło jednomyślnie formułę przejścia (patrz przyp. Nr. 22). Następnego zaś dnia, t. j. 21-go października, odbyło się

otwarcie trzeciego ukraińskiego zjazdu wojskowego, na którym byli obecni i przemawiali przedstawiciele francuskiej i rumuńskiej misji wojskowej.

Posiedzenie otworzył chorąży Neronowicz, w skład prezydjum zaś weszli: prezes Łebedyniec (s-r), wiceprezes Sknar (s-d), sekretarz Szauł (s-r), Makarenko (niepodl.), Błonskij (s-r), Taburanskij (s-d), Łoszczenko (bezpart.), Andruszczenko (soc.-feder.). Charakterystycznym było przemówienie prezesa Sekretarjatu generalnego, Winniczenki, który zaznaczył, iż do Petersburga może Sekretarjat pojechać jedynie dla potrzeb państwowych, nie zaś w celu dania objaśnień osobistych. Władze wojskowe powinny być mianowane za zgodą Sekretarjatu, a wiadomo jakie znaczenie posiada siła wojskowa. Jednocześnie odbywał się w Kijowie zjazd kozacki, który przysłał na zjazd ukraiński swoich delegatów z zapewnieniami życzliwości i przyjaźni. Wyraźnie zaznaczył się antagonizm do Petersburga i pragnienie suwerenności Ukrainy.

Dnia 25-go października wybucha powstanie bolszewickie, rozprzestrzeniające się wkrótce na całą Rosję, a głównie na armję, znajdującą się na froncie, w czem właśnie tkwi największe niebezpieczeństwo dla Ukrainy, bo na jej to przeciwieź terytorjum znajduje się cały odcinek południowo-zachodniego frontu, obsadzony miljonami, zbuntowanymi obecnie wojskami. Przez jej to ziemie odbywa się obecnie szalony przemarsz na tyły uciekającej armji. Od 28-go do 31-go października, oto najtrwożliwsze dni Kijowa — pierwsze dni zmagania się młodej „in statu nascendi“, będącej jeszcze władzy ukraińskiej z bolszewikami we własnej stolicy. Ze zmagają tych wyszła ona tymczasem zwycięsko, bolszewików rozbrojono, ale była to tylko przygrywka do walk w końcu stycznia, z których zwycięzcami wyszli bolszewicy, a Ra-

da Ukraińska przenieść się musiała do Żytomierza i tylko dzięki obcej interwencji była w stanie odzyskać utraczone stanowisko. Walki październikowe tem jeszcze różniły się od styczniowych, iż były właściwie walkami o utrzymanie autorytetu rządu Kiereńskiego, a nie wyłącznie Ukrainy; z bolszewikami walczyły wówczas w Kijowie ostatki pułków, wiernych Rządowi Tymczasowemu oraz junkrzy, którzy przecież nic wspólnego z Ukrainą nie mieli, główna zaś część sił bolszewickich znajdowała się wówczas jeszcze na froncie. Ruszenie się dopiero ogólne całej tej masy z frontu stało się tragicznym dla Rzeczypospolitej Ukraińskiej i spowodowało klęskę styczniową, w czasie której udało mi się nareszcie przedrzeć do kraju. Byłem więc tylko świadkiem walk październikowych w Kijowie.

Dnia 29 października, wieczorem, rozpoczęła się ofenzywa bolszewicka. Po stronie bolszewików, prócz części różnych pułków, stanęły całkowicie: 3-ci park awiacyjny i bataljon saperów. Walka wrzała głównie na Peczersku, w okolicach sztabu i arsenału. Po stronie Rządu Tymczasowego walczyły szkoły chorążych (junkrowie), pułk czesko-słowacki, oddział kawalerów orderu św. Jerzego i kozacy. Arsenał atakowano opancerzonymi automobilami, a koszary pontonowców ogniem szrapnelowym z jednego działka polowego, ustawionego na Aleksandrowskiej ulicy. Straty były jednak stosunkowo niewielkie — wojskom rządowym ubyło zaledwie stu rannych (połowa ciężkorannych) — zabito czterech oficerów, w tem dowódcę pułku czesko-słowackiego.

Za Dnieprem, około mostu łańcuchowego, na t. zw. Słobódce, stanęła baterja ciężkich dział, z których bolszewicy wypuścili na miasto kilka pocisków. Padły one na Kreszczatyku i na Wielkiej Włodzimierskiej, raniąc zaledwie sześć osób.

Więcej szkody, od bezładnej, trzy dni trwającej strzelaniny, spowodowała nieustanna panika wśród ludności. Na wszystkich większych ulicach miasta gromadziły się tłumy nieuzbrojonych, wiecujących żołnierzy, słuchających przeważnie rozmaitych agitatorów z pod ciemnej gwiazdy, którzy szczuli jedną część ludności przeciwko drugiej.

Instytucji rządowych strzegli żołnierze z pułków ukraińskich. Najpilniej był strzeżony „Ukraiński Komitet Wojskowy“ na ulicy Gimnazjalnej, u wylotu której urządzono okop i zagrodę z drutu kolczastego, według wszelkich prawideł frontowych.

Najrozmaitsze prowokacyjne pogłoski przyjmowano za prawdziwe i grożono zemstą junkrom „kontrrewolucjonistom“ i innym „burżujom“.

Koniec końcem, bolszewików rozbrojono. Przewagę w mieście utrzymały wojska rządowe i ukraińskie.

Dalszy bieg wypadków przedstawia się zupełnie jasno... Wobec bezpowrotnego upadku Rządu Tymczasowego, upadła ostatecznie idea federacyjnej republiki rosyjskiej, a na pierwszy plan wysunęła się myśl utworzenia niepodległej Ukrainy. Powstała już zresztą niezawisła Rzeczpospolita Dońska—Kaukaz i Syberja odrywały się, a Finlandja, w swej walce o niepodległość, zalewała się potokami krwi... Wybiła godzina i dla Ukrainy.

Tą godziną był dzień 7-go listopada, dzień odczytania wrogiego nam, Polakom, Uniwersału, o którym, jak również i o uroczystości, wspominałem już wyżej.

Rzecz, swoją drogą, dziwna, jak małe wrażenie wywarła na ludności miejscowej owa uroczystość. Rozmawiałem o tem często z chłopami i odniosłem wrażenie, że Rada Ukraińska nie ma najmniejszej popularności pomiędzy ludem ukraińskim. Posłuchu w każdym razie nie uzyskala owa grupa ludzi, rezydująca pod strażą uzbro-

jonych marynarzy czarnomorskich w Hotelu „Savoy“ i w „Muzeum Pedagogicznym“. Wpływy jej rozciągały się najwyżej na Kijów i okolice jego, a wszystkie rozporządzenia były tylko zwykłymi świstkami papieru. Każdy, kto miał broń w ręku, robił co chciał. Cały ruch ukraiński za frontem rosyjskim był wywołany sztucznie przez rusińskich działaczy politycznych z Galicji i nie sięgnął do podstaw psychiki chłopskiej. Trudno ostatecznie zrobić z kogoś odrazu patryjotę i obudzić świadomość narodową w ludzie, który setki lat znajdował się w niewoli i prócz tego, że jest prawosławny, nie wiedział o niczem.

Rada ukraińska, nie mając środków, ani ludzi ku temu, starała się wprowadzić w życie wszystkie te instytucje kulturalne, oświatowe i państwowe, które posiadają ludy, stojące na wysokim szczeblu kultury i cywilizacji. Powstało towarzystwo „Proswita“ (odpowiadające naszej Macierzy Szkolnej) i liczne towarzystwa wydawnicze. Będąc przez dłuższy czas inspektorem wszystkich szkół ludowych Wszechrosyjskiego Związku Ziemstw w powiecie łuckim, znajdowałem się w ciągłej styczności z nowem ukraińskiem ministerstwem oświaty. Trzykrotnie prosząc o dymisję, ponieważ jako Polak nie mogłem stać na czele instytucji, mających ulegnąć w najbliższym terminie zukrainizowaniu, trzykrotnie otrzymałem odmowną odpowiedź, motywowaną jedynie tem: „nie mamy na to stanowisko żadnego człowieka z wyższem wykształceniem“. Ukrainizacji miało uleść 24 szkół elementarnych, w których dotychczas językiem wykładowym był rosyjski i w których wykładały Rosjanki. Na prośbę mą, aby nauczycielki te odesłać do szkół rosyjskich po miastach, a na miejsce ich przysłać Ukrainki, odpowiedziano mi, że wystarczy, jeśli dawniejsze nauczycielki nauczą się po ukraińsku i w tym języku będą udzielać

dzieciom lekcji. Przesłano też w tym celu cały zapas świeżo wydanych słowników ukraińskich i elementarzy—gramatyka była jeszcze w druku. Na uwagę mam, że wszakże nauczycielka taka, czyli Rosjanka, mówiąca po ukraińsku, nie może obudzić w dziecku świadomości narodowej, odpowiedziano mi bagatelizującym „tak małą sprawę“ wzruszeniem ramion.

Najzabawniejszym było jednak, że sami chłopcy ukraińscy na Wołyniu protestowali energicznie przeciwko wprowadzeniu języka ukraińskiego do szkół. Otrzymałem dziesiątki rezolucji z tak zwanych „schodów“ (zebrań włościańskich) ze wsi, w których dana szkoła Wszechrosyjskiego Związku Ziemstw miała być zukrainizowana. Wszystkie owe rezolucje głosiły, że „schod“ żąda, aby dzieci pobierały naukę tak, jak dawniej, ponieważ po ukraińsku i tak mówią w domu. W jednej nawet z takich uchwał, bardziej zamasyżycie ułożonej, wyczytałem następujący frazes: „nie chcemy, ponieważ język taki jest zagranicznym, nam i dzieciom naszym na zgubę przywiezionym wymysłem...“

Tak było na każdym polu politycznym, czy też społecznym, a drobne fakty z zakresu szkolnictwa, przytoczone tutaj przeze mnie, pokazują tylko w małym rozmiarze to, co działo się na większą skalę.

Tymczasem jednak Rada Ukraińska cieszyła się pozorami władzy i krzątała energicznie... w Kijowie. Komisarze jej, wysyłani jednak na prowincję, szczególnie na front, siedzieli, jak myszy pod miotłą, aby nie drażnić komisarzy bolszewickich. Brakło im poparcia zbrojnego i popularności wśród ludu, który łaknął przede wszystkim chleba i zawarcia pokoju.

Ów stan zacisza w Kijowie trwał aż do końca stycznia 1918 roku. Nieliczne pułki ukraińskie z całych sił broniły, opuszczającej front, zbolszewizowanej armii, do-

stępu do swej stolicy. Najzaciętsze walki odbywały się mniej więcej na linii etapów. Zwykle jednak byli górą bolszewicy. Za lada błahostkę wybuchała zawzięta strzelanina, podczas której ginęły nieraz dziesiątki, niemających nic wspólnego z zatargiem bolszewicko-ukraińskim, ofiar. Tak było np. dnia 31-go grudnia w Równem; gdy patrol ukraiński nie chciał przepuścić przez stację pociągu, wiozącego pułk bolszewicki w stronę Kijowa. Wywiązała się wtedy zacięta, trwająca dwie doby, strzelanina. Bolszewicy zawładnęli dworcem, a ukraińcy usadowili się na zamku ks. Lubomirskich, znajdującym się na drugim krańcu miasta. Strzelano z armat i mitraljez po przez całe miasto. Ucierpiało wiele domów. Nie był to zupełnie wesoły „Sylwester“. I tu zwyciężyli bolszewicy. Po zwycięstwie odbył się wiec. Postawiono, jako jedną z kwestji porządku dziennego, zapytanie, czy sklepy w mieście mają ulegnąć zrabowaniu, czy też nie, a przewodniczący dopuścił do głosowania nad tą kwestją. Na szczęście jednak dla miasta, ilość głosów „contra“ przeważała. Sam fakt jednak publicznego głosowania na podobny temat jest świadectwem zupełnego przewrotu pojęć w dziedzinie etyki i moralności. W kilka dni później, w pewnej cukierni, na t. zw. „Szosie Dubieńskiej“, zabito w moich oczach kolbą i pochwą od tasaka dwóch, jak się później okazało, zupełnie niewinnych milicjantów, których, przechodzący tamtędy patrol bolszewicki, wziął za ukraińców. Nie jestem w możności opisać tutaj całego zezwierzęcenia, z jakim się mord ów odbywał, a którego musiałem być świadkiem, ponieważ drzwi od cukierni zatarasowano. Dziesięć długich, jak wieczność, minut oczekiwałem, że mnie spotka los zabitych milicjantów, nie spostrzeżono mnie jednak w powstałym przy tem zamęcie, być może, iż przyczyniło się do tego również i rozbicie wszystkich lamp. W ciemności fizjonomia

„burżujska“ nie różni się przecież niczem od każdej innej.

Najsilniejszą i najliczniejszą organizacją polską na Ukrainie był Polski Komitet Wykonawczy, opanowany zupełnie przez endecję. Ponieważ dzieje jego stanowią lwią część dziejów społeczeństwa polskiego na Ukrainie w czasie rewolucji, więc zapoznamy się z treścią niektórych ważniejszych, a dostępnych nam dokumentów, opublikowanych przez P. K. W.

Dnia 14 września 1917 r. P. K. W. polecił przyjdum jaknajrychlejsze zwołanie Zgromadzenia Polskiego na Rusi. Na delegatów P. K. W. do Zjednoczenia Międzypartyjnego zostali wybrani: J. Bartoszewicz, Z. Berezowski, J. Lipkowski i Stan. Zieliński.

Następny komunikat P. K. W. z 15 września występuje ostro przeciwko Polskiej Centrali Demokratycznej na Ukrainie. P. K. W., uważając się bowiem za jedyny organ ogólnego samorządu polskiego na Ukrainie, żądał bezwarunkowego posłuchu dla siebie wszystkich bez wyjątku Polaków na kresach.

P. K. W. robotę swą prowadził gnuśnie i ospale — wszędzie miał swe urzędy, t. zw. komisarjaty polskie, w których pracowali przeważnie księża i obywatele ziemscy, a które, zamiast być zawiązkami przyszłych instytucji samorządu polskiego na Rusi, były jedynie miejscem ścierania się mikroskopijnych ambicyjek różnych potentatów i pseudopolityków prowincjonalnych. Tak np. 3-cie zgromadzenie polskie na Rusi uchwaliło 24 czerwca, że koniecznem jest płacenie podatku narodowego przez wszystkich Polaków, zamieszkałych na kresach, a P. K. W., w przeciągu dwóch miesięcy, nic w tej sprawie nie uczynił, nie wypracował nawet żadnej instrukcji,

ani nie rozesłał swym komisarzom odpowiednich informacji.

Normy podatkowe były następujące: 1) podatek od ziemi — 50 kop. od dziesięciny, 2) podatek od fabryk, zakładów przemysłowych, handlu, nieruchomości i kapitału — 3% netto od dochodu, 3) podatek od zakładów zawodowych — 3% od dochodu brutto.

Dnia 26 września P. K. W. wypuścił okólnik Nr. 24 (oświatowy), mocą którego pragnie narzucić wszystkim polskim organizacjom oświatowym wydaną przez siebie instrukcję o zakładaniu i prowadzeniu szkół początkowych.

Dnia 27 września okólnik Nr. 25, zawierający instrukcje, co do pobierania podatku narodowego, o którym wyżej była mowa. Wypuszczenie owego okólnika nastąpiło wskutek notatek, zamieszczonych w niektórych pismach, a potępiających P. K. W., że w ciągu dwóch miesięcy, które upłynęły od zapadnięcia uchwały, nie zajął się sprawą podatku.

Dnia 31 września ogłasza P. K. W., iż utworzył wydział gospodarstwa społecznego, na czele którego stanęli: Jan Lipkowski i Aleksander Sadowski.

Dnia 5 października P. K. W. wydaje komunikat w sprawie wyborów do konstytuanty, objaśniający technikę wyborów oraz podający wszystkie ważniejsze daty, dotyczące się wyborów.

Dnia 18 października P. K. W. uchwalił, że stosunki z władzami centralnymi wogóle, a z Sekretarjatem Generalnym Ukrainy w szczególności, winny być uskutecznione wyłącznie za pośrednictwem P. K. W., jako naczelnego przedstawicielstwa społeczeństwa polskiego na Rusi. — Jak więc widzimy, P. K. W. sam-siebie kreował własną swą uchwałą na naczelnego przedstawiciela społeczeństwa naszego, pomimo, że pew-

na część tylko społeczeństwa na przedstawicielstwo podobne się zgodziła. Nadzwyczajnie żywą akcję prowadził, oczywiście, P. K. W. w sprawie wyborów do konstytuandy wszechrosyjskiej, kreując wszędzie biura Polskiego Komisarjatu Gubernjalnego. Na skutek inicjatywy P. K. W., powstał polski Krajowy Komitet Wyborczy po porozumieniu się i zablokowaniu następujących stronnictw polskich: Centrali Demokratycznej, Narodowej Demokracji, Pracy Narodowej, Zjednoczenia polskich związków robotniczych, Demokracji Chrześcijańskiej oraz następujących organizacji społecznych: C. K. O., Duchowieństwa, Rady Ziemiań i Związku officialistów rolnych. Ułożoną przez ten blok polską listę krajową, która na Podolu miała №. 8, na Wołyniu №. 4, a w Kijowszczyźnie №. 11, podajemy w przypiskach (patrz №. 23). Charakterystycznym dla listy tej jest, iż, na 14 nazwisk w niej wymienionych, 6 z nich należy do członków P. K. W.

Tak wyglądał, chcący być naszym rządem na Ukrainie, P. K. W., reprezentant społeczeństwa kresowego. Nie mogę się powstrzymać od zacytowania tu słów Artura Górskiego z ostatniego jego dzieła p. t.: „Na nowej drodze“.

„Udarowały nas (ziemie kresowe) rycerstwem kresowem, ale i typem wschodnim ospalca—plantatora. Są na nich kurhany z pod Chocimia i Cecory, — ale są i mogiły walk domowych z pod Korsunia, Pilawiec, Żółtych Wód, Beresteczka, wszystko jedno zwycięskich czy przegranych.

„Ale przeciw nim stanęli inni (przeciw rycerzom z miecza i ducha). Stanęła дума magnatów... Дума, wychowana w stosunku bezmiłosnym, stanęła teraz prze-

ciw własnej ojczyźnie, wyżej kładąc swoje ja i swoje królestwo własne, ponad królestwo milionów“.

Ten tylko, kto przeszedł piekło emigracyjne w Rosji, kto przyjrzał się zbliska egoistycznym matactwom politycznym, które, używając jako pokrywki oklepanych ogólników o służeniu Ojczyźnie, dążyły do stworzenia jakiejś oderwanej od centrów narodowych Polski, na ziemiach należących do dawnego i dzisiejszego możnowładztwa kresowego, ten tylko, zaiste, może pojąć, jak dziwne prawdziwe, wyczute i prosto określające istotę rzeczy, są bolesne słowa Artura Górskiego.

I mimowoli nasuwa się myśl uporczywa, czy ta straszna burza, która, jak krwawy płomień, przeleciała przez smętne, tylokrotnie opiewane pola Ukrainy, nie jest jakimś zadawnionym odwetem — karą za grzechy, popełniane w przeszłości i terażniejszości. Bo powiedziane jest w piśmie, że kto mieczem wojuje, ten od miecza zginie.

---

### III.

Carat upadł... Ciężka zhora, dusząca tysiące mózgów i serc, zniknęła, niby mgły nocne, rozwiane świeżym podmuchem wiosennego poranku... Były to pierwsze tygodnie wolności. Żołnierska masa na froncie, której szarość niwelowała dotychczas pozornie wszelkie różnice narodowe, zadygotała, jak olbrzymi kocioł. Zapomniano otworzyć wentyl bezpieczeństwa...

Różnica między frontem, a tyłami była ogromna — front i tył stanowiły dwa odrębne światy. Wieczne trwanie na jednym miejscu — pozycyjna wojna — uczyniły z frontu jakiś zapomniany widmowy kraj, w którym węgowało się okruciami umysłowemi tego, czem żył tył. Olbrzymie odległości, wobec zawsze marnych rosyjskich stosunków komunikacyjnych, wpływały na to, że wszelkie wieści przychodziły z kilkonastodniowym opóźnieniem. Olbrzymi kocioł żołnierski dygotał...

Aż tu pewnej niedzieli mówi mi Stasiak, jeden z moich sanitarjuszy, że w Torczynie (mała miasteczka), w odległości 10 wiorst od frontu, zebrali się żołnierze Polacy, że było ich dużo... dużo...

— I cóż mówili? — pytam.

— Była mowa o jakichś polskich sprawach, że teraz trzeba robić wojsko, że my będziemy oddzielnie, że

przyjechał taki pułkownik, co to doskonale wie, jak to się robi, że ludzi będą już spisywać pojutrze...

W oznaczony dzień, raniutko, kazałem siodłać konia i pojechałem. Kościółek małej, drewniany wznosił się na starodawnym szańcu czworobocznym, usypanym sztucznie wśród błot; szereg lip otaczał go czarnym wieńcem. Oddałem konia i, minawszy mostek, rzucony przez starą fosę, wszedłem na górę. I drgnęło serce nie ze wzruszenia... Ogromny tłum w soldackich szynelach mówił po polsku. Więc tyle ich jest, tyle! I nie wiedziało się o nich dotychczas — mijało obojętnie ludzi, którzy odychali kiedyś kochanem powietrzem kraju! Straszna była ta ciemna siła, odziewająca siermiężne plecy w szynel. W tejże chwili usłyszałem głęboki, basowy głos pułkownika M.

Mówił, że każdy polak, nawet ów, którego szynel nie szpeci, to żołnierz, a kto jest żołnierzem polskim, ten powinien wroga bić i do kraju, bijąc się, dojść, aby móc wszystko, co ma w sobie najdroższego, Ojczyźnie oddać. Pomimo różnicy w zapatrywaniach, poczułem odrazu sympatię do tego szczerego żołnierza i można rzec, iż od tej chwili pracowaliśmy już razem przy organizowaniu Związku Wojskowych Polaków 25-go korpusu.

Huczne oklaski odpowiedziały mówcy... Po nim wystąpił jeden z tych, co to, jak rybacy, chwytają dusze w sieci, utkane przez partję. I on mówił o Polsce—i jego jednakim nagrodzono poklaskiem. Lecz jakież było moje zdziwienie, gdy trzeci mówca, zaznaczywszy, że jest Polakiem i, zakończywszy swą mowę okrzykiem, że prostemu żołnierzowi, Polakowi, Ojczyzna jest niepotrzebna, tylko wolność, otrzymał również huczne i niemilknące oklaski. Dopiero po pewnym czasie zrozumiałem, jak piękne były te, zgola dla inteligentnego umysłu, niezrozumiałe, jednakie oklaski i te łzy w oczach. Tłum nie

pojął treści żadnego z przemówień, potęga jednak caratu i ciemnoty nie była w stanie zagłuszyć umiłowania słowa polskiego. Wszystkie te szare dzieci, których Matka pozostała daleko, oklaskiwały nie treść, ale dźwięk, jakim Ona ich pieściła. Te dla wszystkich mówców jednokowe oklaski były tylko dowodem, że zabłysnęła pierwsza iskra świadomości narodowej.

.....

Po tem pierwszym zebraniu nastąpiło wiele innych. Niejasne z początku dążenia do zjednoczenia wszystkich żołnierzy Polaków 25-go korpusu zaczęły przybierać coraz to realniejsze formy. Niewielkie grono, złożone z pułkownika, lekarza, dwóch urzędników wojskowych i kilkunastu żołnierzy, zajęło się techniczną stroną zorganizowania Zw. W. P. Pamiętam doskonale pierwsze zebranie dywizyjne, które się odbyło w skwarny dzień czerwcowy w ogromnym namiocie oddziału opatrunkowego, stojącego w Wielkim Okorsku (4 wiorsty od pozycji), nad pięknym jeziorem. Namiot, w którym rozlegały się dotychczas tylko jęki rannych, brzmiał uroczystym, przytłumionym szeptem — polskim... Z odległości 10 — 20 wiorst przybywali, pokryci kurzem i potem, ludzie ze swych pułków, t. j. przeważnie z rowów strzeleckich. Ani odległa droga, ani trudność otrzymania pozwolenia od niechętnych wszystkiemu, co polskie, komendantów pułkowych, nie powstrzymała naszych żołnierzy. Prędko zostali wybrani przedstawiciele pułków, wchodzących w skład dywizji, a z tych dopiero wybrano delegatów dywizyjnych na zebranie korpusowe. Wiele usłyszeć można było mów, dziecinnie naiwnych — przemawiali nieraz bez zająknięcia żołnierze, którzy od lat słowa polskiego, prócz modlitwy, w użyciu nie mieli. Po wybraniu delegatów do korpusowego Zw. W. P., wniesiono szereg

uchwał: 1) zaprowadzenie ścisłej rejestracji wszystkich polaków w korpusie, 2) zorganizowanie pomocy prawnej, 3) ułatwienie żołnierzom korespondencji z rodzinami, które pozostały w kraju, 4) zaprenumerowanie czasopism polskich, 5) urządzenie lotnych szkół dla żołnierzy analfabetów. Wszystkie te uchwały zostały przyjęte jednogłośnie i z dziwnym zrozumieniem. Żołnierz, który się tyle wycierpiał i wytulał, czuł instynktownie czego mu trzeba, podświadomie obudziły się w nim, drzemiące głęboko zdolności do pracy społecznej.

Wszystkie prawie postanowienia zostały wprowadzone w czyn. Wielką zasługę poniósł pewien młody urzędnik stacji radjotelegraficznej (niestety, nie pamiętam jego nazwiska), urządzając u siebie odrazu szkołę żołnierską. Uczył tam sam z całym zaparciem się siebie i uczyli kolegów swoich poduczeni przez niego żołnierze.

Tak ukonstytuował się Komitet Wykonawczy Zw. W. P. 25-go korpusu. Co niedziela odbywały się teraz zebrania korpusowe. Przed południem zbierano się zwykle na cmentarzu kościelnym w Torczynie, a po południu, o ile pogoda pozwala, w szkole polskiej, którą zarządzała żona moja, w bliskiej kolonji Ludwikowie. Szkoła leżała w ślicznej okolicy, na wzgórzu, otoczona cieniastym sadem. Każdy Polak, żołnierz, czy cywilny miał wstęp wolny na te zebrania. Konie puszczone na pobliskie łąki i wszystko rozkładało się pod gruszami i jabłoniemi. Zaczynały się długie rozmowy o Polsce, o legjonach i ich komendancie, o pracy i powrocie do kraju, który stawał się powoli jakąś ziemią obiecaną, a wymarzoną. I rzecz dziwna, po dwudziestu nieraz rozmawiało ludzi, a cisza panowała i spokój — było w tem wszystkim coś filareckiego, jakaś spójnia dusz, które się wszystkie komunikowały jednym krótkim, a tak wielkim słowem: Ojczyzna! Kilkunastu żołnierzy Rosjan (przypadko-

wych świadków zebrania) rzekło kiedyś ze zdumieniem: „Dziwni ci wasi ludzie, nie pobiją się na zebraniu, siedzą bez czapek; nikt nie pluje, nie ciska papierosów na podłogę, a u nas (następuje bardzo nieparlamentarne wyrażenie)... mówią tylko o tem, jak otrzymać o jedną parę butów więcej, lub większe porcje...”

Opisałem tylko organizację Zw. W. Polskiego 25-go korpusu, w którym sam pracowałem. W podobny, mniej więcej sposób tworzyły się wszystkie inne. Ze związków korpusowych powstały związki przy armjach; związki przy armjach wyłoniły u siebie związki frontowe, a te znowu Naczelny Polski Komitet Wojskowy.—My, skromni pracownicy frontowi, przywiązani z musu do szczupłego terenu działania, pracowaliśmy początkowo bez żadnych dyrektyw—szczególnie politycznych—po omacku niemal. Jediną myślą przewodnią była chęć podniesienia stanu moralnego i kulturalnego żołnierza polskiego oraz zebrania i zjednoczenia tych rozproszonych tułaczy. Byliśmy wszakże odcięci od świata...

. . . . .

Nie będę opisywał wszystkich następnych zebrań, ani tego, jak nieświadomionego żołnierza polskiego ciągnięto na wszystkie strony, aby uczynić zeń narzędzie jednej lub drugiej koterji politycznej — takie rzeczy dzieją się wszędzie... Zdrowy jednak i młody umysł, w którym tylko co obudziła się świadomość narodowa, odniósł stanowcze zwycięstwo na całej prawie linii. Zasadniczym kamieniem niezgody była kwestja tworzenia lub nie tworzenia armji polskiej w Rosji (eksterytorjalnej). Nieszczęsny brak niefałszowanych wiadomości z kraju przyczyniał się do tego, że każdy niemal wypowiadał się inaczej, sądząc, że postępuje zgodnie ze wskazaniem, płynącym z kraju. Każdy działał niby zgodnie z życzeniami Tym-

czasowej Rady Stanu, o której de facto wiedziano bardzo mało. Zwolennicy natychmiastowego działania radzili uczynić jedną dywizję strzelców polskich (gen. Bylewskiego), ośrodkiem przyszłej armii polskiej w Rosji, inni radzili czekać rozkazów wyraźnych Rządu Polskiego z Warszawy i skupiać się tylko w Związki Wojskowe Polaków. Żołnierz, czując ogólne niezdecydowanie i rozdrażnienie, wołał pozostawać biernym. Jedynie ci, którzy siedzieli w okopach, ze wszystkich sił starali się dostać do „wojska polskiego“, nie wiedząc, że ono jeszcze nie istnieje, a mówiąc: „Tak, czy tak przyjdzie zginąć, a lepiej zginąć między swymi!“ Artylerzyści, telegrafici, oboźnicy i technicy woleli pozostać na swoich miejscach z obawy, że trzeba będzie pójść do piechoty (było ich bardzo dużo — okoliczność, która zachowała nam w Rosji wiele materiału ludzkiego). Bezwzględnie jednak garnięto się do Zw. W. P., w których reprezentowane były wszystkie stronnictwa polityczne. Zw. W. P. zjednoczył wszystkich żołnierzy polskich, rozsianych w szarem morzu rosyjskim, w jedną ogromną armję duchową, której jedynym regulaminem była Miłość Ojczyzny.

Zw. W. P. spełniły wielkie zadanie: 1) rozwinęły świadomość narodową żołnierza, która promieniowała i na ludność polską (stałe zamieszkałą w Rosji, a mało uświadomioną narodowo), 2) w chwili przewrotu bolszewickiego uratowały żołnierza polskiego ze zgangrenowanych i gnijących szeregów moskiewskich, oddając go zdrowym narodowo swemu społeczeństwu.

Głównie dzięki działalności Zw. W. P. powstały trzy obecne korpusy polskie w Rosji i te przetapiające się powoli w jednostki wojskowe skupienia polskie koło tych korpusów, stojące jak niewzruszone wyspy skaliste pośród bolszewickiej powodzi.

. . . . .

Zw. W. P. powstały więc wszędzie, gdzie tylko były skupienia żołnierzy polskich — oprócz Zw. W. P. na froncie w armii czynnej, mieliśmy prawie w każdym większym mieście Zw. W. P. garnizonowe i t. d.

Rząd rewolucyjny rosyjski, który bardzo niechętnie i podejrzliwie zapatrywał się na możliwość stworzenia armii polskiej w Rosji, patrząc na tę kwestję, nie jako na coś wynikającego z samego pojęcia Polski, jako państwa samodzielnego, lecz jako na jeden z punktów nacjonalizacji wszechrosyjskiej armii, szkodliwej dla wszechrosyjskiej rewolucji, przez długi czas odnosił się pobłażliwie do działalności Zw. W. P., a także N. P. K. W. (Naczeln. Polsk. Komenda Wojsk.), jako najwyższego przedstawiciela Zw. W. P.

Pierwsze wrogie wystąpienie miało miejsce dn. 31 sierpnia 1917 r. Na rozkaz Rady delegatów żołnierzy i robotników dokonano w N. P. K. W. w Perersburgu rewizji, zabierając dokumenty i broń. Pretekstem do rewizji było podejrzenie, iż N. P. K. W. składa się z żywiołów kontrrewolucyjnych i przychylnych dawnemu carskiemu żywiołowi. Owo nedorzeczne, śmieszne wprost oskarżenie i gwałt dokonany, pomimo panującej rzekomo swobody republikańskiej nad organizacją, reprezentującą 700.000 wojskowych polaków, wywołał oczywiście jaknajgorętszy protest. Ze wszystkich komitetów Z. W. P. posypały się listy otwarte, żądające natychmiastowego zadośćuczynienia. Po długich naradach i zwlekaniach, Rada delegatów żołnierskich i robotniczych oraz przedstawiciele Rządu Tymczasowego wyrazili swój żal z powodu tego zajścia, które, zdaniem ich, było tylko spowodowane nieporozumieniem. Czego innego trudno się było zresztą spodziewać od nieprzyjaznych nam przed, czy po rewolucji braci słowian. Smutniejszym był jednak fakt, że w liczbie rewidujących znajdowali się podobno pola-

cy, choć byli w tym wypadku tutaj obecni, jako członkowie Rady deleg. żołn. i rob. Zaczęto zaraz mówić o zdradzie i przekupstwie politycznym, a niektóre partie nasze, chcąc podkopać przeciwne sobie stronnictwa, zwały na nie winę denuncjacji w najniesmaczniejszy a uwłaczający godności narodowej przed obcymi sposób. Zachowanie to spowodowało nawet wielki rozłam wśród Zw. W. P. — grupy lewicowe zaczęły działać w Zw. W. P. oddzielnie. Koniec końcem była to tylko papierowa wojna, na której zamiast pocisków rzucono formy odezw i rezolucji, a w rezultacie osłabiła tak potrzebną nam, wobec zbliżającej się zawieruchy bolszewickiej, solidarność w Zw. W. P.

Kwestja „tworzenia“ czy „nie tworzenia“ armji polskiej poruszała najwięcej w czasie rewolucji społeczeństwo polskie na emigracji. Była to kwestja najważniejsza, bo kwestja bytu politycznego. Była to zarazem najniezwyklejsza kwestja — istna pięta achillesowa wychodźstwa. Piłka, którą leaderzy partyjni żonglowali w najrozmaitszy sposób, wyzyskując to żonglerstwo dla swoich celów. Postawiona początkowo, jako jeden z głównych warunków służenia Ojczyźnie, zaczęła wyglądać z czasem, jak projekt stworzenia takiej lub innej bojówki partyjnej. Charakterystycznym jest np. fakt, że gdy z początku większość stronnictw postępowych była przeciwną tworzeniu armji na obczyźnie, to decyzja z całych sił nawoływała do formowania jaknajprędzej polskich jednostek bojowych, bankructwo polityczne bowiem, jakie przeżyła ta partja z upadkiem caratu, wskazywało jej na armję polską, jako na ową brzytwę, której tonący się chwyta, gdy już tylko włosy wystają z topieli. Gdy jednak na krótko przed wybuchem rewolucji bolszewickiej, stojąc wobec możliwości zguby żołnierza polskiego, wszyscy zgodzili się na konieczność wydzielenia polaków z ar-

mji w oddzielne polskie korpusy i gdy w Mińsku pierwszy korpus Dowbora-Muśnickiego, częściowo uformował się, wtedy endecja znowu zmieniła front, uważając tworzenie armji polskiej za zbyteczne. Musiało się ono jej rzeczywiście wydać zbytecznem, gdy pojęła, że żołnierz polski nie przyjmuje żadnych narzucanych mu programów politycznych, oprócz obowiązku czynnego służenia Ojczyźnie, karności i posłuszeństwa.

Wszystkie te spory i walki, wstrząsające całym społeczeństwem naszym na emigracji, odbijały się oczywiście na Z. W. P. Toż członkowie ich musieli się stać lub nie stać ową armją polską. Teraz, po powrocie do kraju, widzę dopiero, że nie mieliśmy żadnych właściwie stać informacji prawdziwych, któreby mogły nam dopomóc do wybrnięcia z tej straszliwej gmatwaniny i że ta właśnie nieznajomość ogólnego stanu rzeczy całego społeczeństwa polskiego była przyczyną rozbieżności, starć i walk na emigracji w kwestjach tak pierwszorzędnej wagi. W tem tkwiła właśnie cała tragedia emigracji.

A proste usta żołnierskie wołały: „Gdzież jest ten prawdziwy rząd polski? Powiedzcie nam i wskażcie go, a chętnie stawimy się pod jego rozkazy i krew zań będziemy przelewać!“ Gdy żołnierz polski tak wołał, a jednocześnie instynkt samozachowawczy szeptał mu, żeby za wszelką cenę wyodrębnić się z armji rosyjskiej — „jak już umierać, to między swymi“, mówili — wtedy stronnictwa i partje myślały, sprzedając skórę przed zabiciem niedźwiedzia, o tem, czy rozpoczynać np. działania wojenne, czy też zachowywać neutralność. „Aktywiści“ na zjeździe moskiewskim wypowiedzieli formalnie wojnę państwowym centralnym i ogłosili samodzielnie sojusz armji polskiej, której de facto nie było na emigracji, z państwami koalicji. Jednocześnie w Paryżu tworzy się „Komitet Narodowy“ z Dmowskim, Zamoyskim i Piltzem na cze-

le, uważający się za rząd polski, reprezentujący cały nasz ogół.

Stanowisko N. P. K. W. określi najlepiej odezwa jego z dnia 16 listopada 1917 (a więc już po wybuchu rewolucji bolszewickiej), która właśnie wypływa konsekwentnie z uchwał czerwcowego Zjazdu wojskowych Polaków w Petersburgu. Podaję tu dosłowny jej tekst (patrz przypisy Nr. 18). Jest to stanowisko, chcące wyodrębnienia się z armji rosyjskiej, oraz zorganizowanego wspólnego powrotu do kraju i oddania się pod rozkazy prawowitego, przez cały naród wybranego rządu polskiego.

Że N. P. K. W. wszystkich zadowolić nie mógł, świadczy najlepiej wiec w sprawie armji, urządzony dn. 9 grudnia 1917 r. w Kijowie, staraniem stronnictwa. Na wiecu tym złożono trzy zasadnicze deklaracje. Deklarację stronnictwa N. D., wygłoszoną przez J. Bartoszewicza, wzywającą całe społeczeństwo polskie bez względu na wiek i zdrowie do wstępowania w szeregi armji polskiej antyniemieckiej i po stronie koalicji stojącej.

Deklarację P. P. S., żądającą natychmiastowego usunięcia od władzy reakcyjnych komend i agentur N. P. K. W. i wewnętrznej demokracji istniejących już oddziałów, stanowczego nie tworzenia zaś nowych, które popiera jedynie burżuazja i koalicja. Głównem zadaniem jest bowiem natychmiastowy powszechny pokój. Rezolucję odczytał p. Kasperowski.

Deklaracja Polskiego Stronnictwa Demokratyczno-Niepodległościowego, podpisana przez Jana Ursyna-Zamarajewa, (prezesa), Karola Waligórskiego, Wacława Popielewskiego (vice-prezesa), dr. Józefa Flacha, Leona Chamca (skarbnik) i Tadeusza Garzdeckiego, żądała wobec zagrażającej całemu społeczeństwu polskiemu na emigracji anarchji, wytworzenia polskiej siły zbrojnej „o ile ona będzie podlegała ponadpartyjnemu Komitetowi Obro-

ny“, który nie będzie miał prawa podejmować jakiegokolwiek czynu zbrojnego, wbrew woli kraju w osobie Rady Regencyjnej i Polskiego gabinetu Ministrów.

W imieniu Zw. W. P. przemawiał prezes Smólski, powtarzający, że żołnierz pragnie przede wszystkim pokoju, powrotu do kraju i tylko rozkazów z kraju chce słuchać.

Jak widzimy więc, jedno wielkie błędne koło!...

Przedewszystkiem zaczęła się tworzyć polska siła zbrojna w Mińsku, pod dowództwem gen. Dowbora-Muśnickiego. Żołnierze ściągali dość wolno z różnych miejsc armji czynnej, gdyż rząd Kiereńskiego czynił najrozmaitsze trudności żołnierzom polskim, pragnącym opuścić pułki, w których znajdowali się dotychczas. Pierwszą scysją nowego korpusu polskiego z rosjanami był t. zw. zatarg bielgrodzki, wynikły na tle aresztowania oficerów polskiego pułku rezerwowego przez „Sztab Rewolucyjny Siódemki Zbawienia Rewolucji w Białogrodzie“, oskarżający ich o zamiary kontrrewolucyjne. Zdarzyło się to prawie jednocześnie z rewizją w N. P. K. W. w Petersburgu. W związku z tym faktem zarysowało się odrazu stanowisko Komitetu Głównego I-go Zjazdu Wojskowego lewicy, który potępił stanowczo zamiar gen. Muśnickiego, chcącego wysłać do Białogrodu ekspedycję karną na pomoc aresztowanym i zaznaczył swą solidarność z rewolucją rosyjską. Pułk bielgrodzki liczył wtedy 16,000 ludzi, a oficerów naszych aresztowała „Siódemka“ i za zgodą niektórych żołnierzy-polaków z tego pułku. Aresztowanymi byli: pułk. Szyszko, lekarz Załuska, pomocnik Guzinowski, chorąży ks. Gedroyć, chor. Kozakiewicz, chor. Kulczyński, chor. Langner i chor. Mackiewicz. Smutny był cały ten fakt, głównie ze względu na to, że i tu walka naszych stronnictw niepodległościowych z reakcyjnymi, odbijająca się w powodzi odezów, dezorientowała

żołnierza, wciągała go w szkodliwy wir walki partyjnej, oraz rozproszkowywała jeszcze więcej i tak już rozbitą emigrację naszą. A właściwie już wtedy rewizja w Petersburgu i aresztowania w Biełgrodzie były dziełem Rady delegatów żołn. i robotniczych bez porozumienia się z Rządem Tymczasowym. Autorytet Rządu Tymczasowego był już faktycznie zachwiany i wyraźnie zarysowywała się przewaga, bolszewizującej się coraz bardziej, Rady del. żołn. i robotn., tej drugiej, równoległej do Rządu Tymczasowego, władzy w Rosji.

Wszystko to działo się w związku ze sprawą gen. Kornilowa, ostatniego głównodowodzącego armją rosyjską, który w najenergiczniejszy sposób chciał zaprowadzić dyscyplinę wojskową w zdezorganizowanych szeregach. Akcja tego nawpół legendowego człowieka, pół Azjaty, pół Rosjanina, otoczonego wiecznie całym zastępem dzikich, uwielbiających go, jak psy przywiązane do swego pana, mahometan-Tekińców, wytoczyła całe potoki krwi. Historia dopiero pokaże, czy zamach generała Kornilowa był rzeczywiście zamachem na wolność rewolucyjną, czy też patriotycznym czynem rozpacz, chcącym za wszelką cenę ratować ginącą Ojczyznę. Opinia rosyjska podzieliła się na dwa wielkie obozy. Jeden uważał stanowczego gen. Kornilowa za kontrrewolucjonistę i uznał areszt jego za równoznaczny z uratowaniem rewolucji, drugi spoglądał na tekińskiego generała, jak na ofiarę przewrotnej polityki Kiereńskiego.— Zdaniem tych ostatnich cała akcja została obmyślona wspólnie przez Kiereńskiego i Kornilowa. Kornilów miał być wykonawcą. Gdy zaś, po powrocie do „stawki“, zabrał się do praktycznego wykonania planu, Kiereński, ulegając wpływowi nieprzyjaznych generałowi jednostek, ogłosił działalność jego za kontrrewolucyjną i wysłał rozkaz aresztowania. Był to dla Kiereńskiego czyn

wygodny, ponieważ oczyszczał go przed najbardziej skrajnemi sferami z zarzutu prowadzenia burżuazyjnej polityki. Nas interesuje w tej sprawie stanowisko polskie. W prasie rosyjskiej pojawiły się bowiem wiadomości, iż pułki polskie pośpieszyły na pomoc monarchicznie usposobionemu generałowi. Osypano Polaków gradem zarzutów, opierając się głównie na tem, że w pułkach naszych panuje bardzo ścisła dyscyplina, nie istnieją zaś komitety żołnierskie, któreby wspólnie z komendą decydowały o wszystkich sprawach. Chcę tu przytoczyć kilka dokumentów, oświetlających wyraźnie stanowisko pułków polskich, które przez cały czas trzymały się tylko ściśle 3-go punktu uchwał Zjazdu petersburskiego: „Polska siła zbrojna użyta być może jedynie na froncie i w żadnym razie nie może być użyta do jakiegokolwiek akcji wewnętrznej w Rosji.“

Że pułki polskie stały na tem stanowisku, stwierdzają to akty urzędowe, a więc: Telegramem z dnia 27 sierpnia wezwał gen. Kornilow piechotę polską z Bychowa do Mohylowa (czyli wtedy, gdy jeszcze nie było wiadomo, że przestał być głównodowodzącym). Na mocy tego rozkazu, d. 29 sierpnia, przybyły do Mohylowa o godz. 1-ej w nocy oddziały 3-go i 4-go pułków. Tego samego dnia przedstawiciele N. P. K. W. przy kwaterze wodza naczelnego, pułkownik Jasiński, przesłał do dowódcy 4-go pułku polskiego za Nr. 144, następujący list: „Pułkowniku! Zawezwanie przez gen. Kornilowa części 3-go i 4-go pułku polskiej dywizji do Mohylowa ma na celu utrzymanie porządku i obronę mieszkańców od ekscesów, jakie przy tak poważnym konflikcie mogą wyniknąć. Jako Polacy, nie mamy prawa mieszać się do spraw wewnętrznych państwa rosyjskiego, to też nikt z Polaków nie powinien brać żadnego udziału w obecnej walce dwóch prądów rosyjskiego społeczeństwa. Proszę być stale gotowym

do poskromienia w mieście kradzieży, rozbojów itp. wystąpień, zawsze obronie praw każdego obywatela, ale ani jednego kroku nie czynić tam, gdzie się wyłania polityczna strona tego, lub innego stronnictwa. W razie jakich poważnych zaburzeń, proszę wysłać na obronę agentów państw koalicyjnych, do hotelu Brussel, pół kompanji z kulomiotami Kolta. Ufam, że i w tak ciężkich warunkach, w jakich znajdujemy się obecnie w Mohylowie, znajdziemy w sobie zasób sił, żeby nie zaszkodzić naszej ogólnej i jedynie miarodajnej dla nas polskiej sprawie.—  
Pulkownik Jasiński.“

Na list powyższy dowódca 4-go pułku przesłał pulkownikowi Jasińskiemu dn. 29-go sierpnia za № 4856 odpowiedź tej treści: „W odpowiedzi na list pański z 28(9) r. b. śpieszę donieść, że wszelkie środki obrony agentów państw koalicyjnych, jak również obywateli miasta Mohylowa są przedsięwzięte i na pierwsze wezwanie powierzony mi pułk może być postawiony pod broń. Jestem przekonany, że moi żołnierze, stojąc na straży porządku i praw każdego obywatela, nie zrobią ani jednego kroku w celu podtrzymania tego lub innego stronnictwa politycznego. Podpułkownik Racięcki“.

Dopiero dnia 30-go sierpnia dowiedział się dowódca 1-go polskiego korpusu, generał-porucznik Dowbor-Muśnicki, o wezwaniu polskich pułków do Mohylowa i na tychmiast wysłał do dowództwa polskiego pułku ułanów, 4-go pułku strzelców, oraz wyższych władz rosyjskich następujący telegram: „Wobec kategorycznej rezolucji pierwszego Zjazdu Wojskowych Polaków w Petersburgu o nieużywaniu polskich wojsk w wewnętrznych sprawach rosyjskich, rozkazuję pułkowi ułanów natychmiast powrócić w okolice Starego Bychowa.“

Z powyższej korespondencji widać więc wyraźnie, iż pułki polskie były wezwane do Mohylowa depeszą gene-

rała Kornilowa, jako głównodowodzącego całą armią rosyjską, a pośpieszyły tam jedynie w celu bronienia spokojnych obywateli i przedstawiceli państw sprzymierzonych, na pierwszy zaś rozkaz gen. Dowbora-Muśnickiego wycofały się z udziału w t. zw. „Kornilowszczyźnie“. Gdy jednak w listopadzie 1917 upadł Rząd Tymczasowy i początkowy rokosz bolszewicki opanował całą armję rosyjską, rozpoczęło się żywiołowe dążenie żołnierzy polaków do Mińska (gen. Muśnicki), do powiatu Starokonstantynowskiego na Wołyniu (gen. Michelis) i w okolice Bender (gen. Leśniewski). Wszystkie Zw. W. P., szczególnie na froncie, stały się instytucjami, przez które żołnierzy-polak, wymykający się z topniejących szeregów rosyjskich, dostawał się do swoich.

Pamiętam doskonale, jak do biura Zw. W. P. w Łucku zgłaszały się nieraz całe partie i oddziały polaków. Dawano im dokładną marszrutę, starano się o wagony i wysyłano w drogę. Przebicie się jednak przez zalegające wszystkie drogi bandy bolszewickie zależało już od własnego sprytu i odwagi. Z iście polską fantazją zabierały nieraz owe oddziały ze sobą całe tabuny końskie, zapasy amunicji i broń, do lekkich armat włącznie, które walały się wszędzie porzucone w nieładzie przez opuszczającą gromadnie front armję rosyjską, i często po zaciętej walce docierały szczęśliwie do swoich korpusów. Ostatnimi wyjeżdżały do polskich szeregów Zarządy Zw. W. P., gdy przez ręce ich przeszedł już ostatni żołnierz, zdążający do Mińska, Antonin lub Bender. I tu Zw. W. P. wypełniły do końca swój obowiązek obywatelski i żołnierski.

Tymczasem w Mińsku ma miejsce krwawy napad bolszewików na ulanów polskich i zabójstwo pułkownika Żogłewskiego, a bolszewicki głównodowodzący, chorąży Krylenko, wydaje na imię korpusu polskiego dnia 27 listopada st. st. dwa następujące rozkazy: I. „Pierw-

szy korpus polski ma niezwłocznie przystąpić do wyborów komitetów pułków i korpusów według deklaracji rady komisarzy ludowych do spraw wojny i marynarki.“ II. „Główni dowódcy frontu sztabu i zarządu armji oraz zarządu wojenno-okręgowego powinni przestrzegać, iż rozporządzenia i rozkazy naczelnego komitetu polskiego nie powinny być spełniane przez armję rewolucyjną republiki rosyjskiej. Zostaje zniesiona komisja do spraw formowania polskich oddziałów wojskowych, której obecnie przewodniczy generał Osiński.“

Było to pierwsze wypowiedzenie wojny—później dopiero nastąpiły coraz to częstsze gwałty i aresztowania, zaczęła się prawdziwa wojna polsko-bolszewicka. Zw. W. P. ze wszystkich armji posyłały jedną depezę za drugą z wyrazami oburzenia i protestu do Krylenki (jako przykład przytaczam w przypiskach pod Nr. 19 depezę prezydum zjazdu Zw. W. P. z armji). Podczas, gdy na Białej Rusi zawiązywała się walka z Kryleką, polskie siły zbrojne na Ukrainie musiały politykować z Centralną Radą i Sekretarjatem Generalnym. Państwa koalicyjne okazywały formacjom polskim nie tylko sympatję, lecz zwracały się także z propozycjami realnej pomocy, żądając pewnych zobowiązań, na co znów nie mógł przystać N. P. K. W., nie będąc organizacją polityczną. Nieszczęsny pułk biełgrodzki, o którym mówiliśmy wyżej, odmówiwszy ostatecznie bolszewikom pomocy w wyprawie na Charków, został rozbity, rozbrojeny i uwięziony. Część tylko uratowała się ucieczką. Jeden zaś ze sprawców rozdwojenia i zatargu, dowódca pułku Jaśkiewicz, został podczas starcia zabity. Do I-go korpusu polskiego przybywało tak wiele oficerów polaków, iż wobec braku miejsc oficerskich postanowiono stworzyć legion oficerski, do którego przyjmowani być mieli chorążowie i podporucznicy—jako szeregowcy, porucznicy—

jako podoficerowie zastępowi i plutonowi, a kapitanowie— w charakterze młodszych oficerów. Jedną z najpiękniejszych stron całego tego ruchu po za pracami o charakterze ściśle wojskowym była wspaniale wprost postawiona akcja kulturalno-oświatowa. Główne fundusze na nią zebrały się z groszowych niemal składek z biednych żołnierskich kieszeni. Bardzo wiele uczyniło również związane niedawno w Kijowie Towarzystwo Przyjaciół Żołnierza Polskiego.

Tak wygląda w krótkości historia Zw. W. P. i polskich sił zbrojnych za frontem rosyjskim do chwili zawarcia pokoju z Rosją i Ukrainą przez państwa centralne. Opowiedziałem ją tak, jak ją przeżywałem sam, znajdując się przez cały ten czas na Ukrainie i biorąc sam żywy i czynny udział w tej akcji. Prawdopodobnie brakuje tu wielu faktów jeszcze. Praca ta też nie rości sobie żadnych pretensji do opartej na wszystkich możliwych dokumentach rozprawy historycznej, lecz jest tylko kartą wydartą z pamiętnika—świadectwem przeżyć osobistych.

---

#### IV.

Życie polskie na emigracji, a więc i na Rusi zmieniło się w okresie rewolucyjnym pod tym względem, że gdy dawniej emigracja stanowiła oderwany od kraju konglomerat, usiłujący ze wszystkich sił utworzyć jakąś, że się tak wyrażę, iluzję Polski na obczyźnie, jakiś nowy całości kształt życia polskiego, któryby później, po ukończeniu wojny, przeniesiono całkowicie do Ojczyzny, to obecnie w owym przedrewolucyjnym, napozór jednolitym modus vivendi porobiły się szczyrby i pękaciny. Wszystkie oczy z wyteżeniem wpatrywały się w kraj, usiłując przedziwnym wysiłkiem woli przebić gruby mur kordonowy. Nawiązały się, tężejące z dnia na dzień, nici duchowe z Ojczyzną, ciągnące (zaczęło się to wyraźnie od dnia 5 listopada 1916 r.) z początku jednostki, a potem grupy wychodźcze, w kierunku Warszawy, aż do chwili, w której ostatecznie cała emigracja stanęła pod sztandarem powrotu do kraju.

Bo czemuż były ostatecznie te wszystkie „potępieńcze swary“, te nieustanne a wznowione ścierania się partji i stronnictw politycznych i t. p. jeżeli nie przejawem silnej woli uporządkowania wszystkich tych przeżyć wewnętrznych, te potoki odezw, rezolucji, artykułów polemicznych i t. p. jeżeli nie przejawem silnej woli do uporządkowania wszystkich tych przeżyć wewnętrznych, wywo-

lanych tułaczką przed jakąś zbliżającą się przełomową chwilą. Chwilą tą był zbliżający się powrót do kraju. Nie tylko człowiek poszczególny, ale i cała grupa lub tłum, opuszczający miejsca, na których przebywał długo, pragnie być ze sobą w porządku, ogarnąć całość swoich działań i nie pozostawić po sobie chaosu. Zwykle jednak czynności te odrywają się gorączkowo, namiętności wyrastają wtedy do niebywałych rozmiarów i mimo wszystkich usiłowań i postanowień powstaje to, czego się najbardziej obawiano, czego najbardziej nie chciano, a mianowicie chaos.

Jak i z czem wrócimy do kraju?

O jakimś jednolitem emigranckim „credo“ mowy nawet być nie może. Można sobie tylko zdać sprawę z kilku najważniejszych kwestji, które głęboko nurtowały we wzburzonej masie wygnańczej i sformowały się jasno. One to właściwie stanowią poszczególne, gdy już o jednolitem mówić nie można, wyznania wiary emigracji w Rosji.

Jest ich stosunkowo niewiele! A są niemi: kwestja sojuszu z państwami centralnemi, czy też z koalicją, kwestja zachowania zupełnej neutralności i kwestja armji eksterytorjalnej.

O dwóch pierwszych kwestjach, nie będąc politykiem z zawodu, a podając tutaj jedynie przeżycia i wrażenia osobiste na tle widzianych wydarzeń emigracyjnych, mówić nie będę, a ostatnią, związaną dostatecznie ściśle z poprzedniemi, potrąciłem dość obszernie w rozdziale, omawiającym związki wojskowych polaków i polską siłę zbrojną w Rosji. Oprócz tego przez cały okres rewolucyjny znajdowałem się na Ukrainie, a więc przeżycia moje, pomimo, że jako człowiek myślący starałem się ogarnąć całość, muszą być zabarwione kolorytem barwy

lkalnym — ukraińskim. Z tego zdaję sobie dokładnie sprawę.

Dlatego też w niniejszym rozdziale nie będę się silił na jakieś omówienia całości, lecz wysnuwszy swoje osobiste wnioski, co do wychodźstwa, na odlocie przejdę odrazu do prostego wyliczenia tych zdań, które mi najbardziej utkwily w pamięci. Będzie to garść faktów, wyjątek z niekompletnego raptularza wygnańca, pisanego dorywczo mniej więcej od września aż do końca grudnia 1917 roku.

---

### Wrzesień.

1) Rosyjski minister spraw zagranicznych zapewnił uroczyście prezesa Lednickiego, iż akt Rządu Tymczasowego w sprawie polskiej nie może ulegz żadnym zmianom. Rosja będzie usilnie dążyć do zrealizowania tego aktu. Na najbliższej konferencji sojuszników musi nastąpić wspólne ogłoszenie aktu o tem, iż sprawa polska jest jednym z celów wojny i warunków zawarcia pokoju. — (patrz przyp. № 24)

2) Polski komitet demokratyczny, powołując się na to, że pierwszy i ostatni zjazd odbył się aż cztery miesiące temu, bo 26 kwietnia, i stwierdzając fakt, iż od tego czasu wzrosła ogromnie liczba polskich zrzeszeń demokratycznych, zwołuje wraz z Polską Centralą Demokratyczną na Ukrainie i Polskim Związkiem radykalno-demokratycznym na Litwie i Białej Rusi na dzień 6-go października drugi Zjazd do Petersburga. Głównie omawianem ma być „usiłowanie części emigracji rozpoczęcia w imieniu ogółu emigracyjnego akcji politycznej i wojskowej, sprzeczej ze stanowiskiem i taktyką kraju, a mianowicie stworzenia rządu i armji narodowej po za krajem, które to usiłowania w obozie demokratycznym, nie uwa-

żającym za możliwe współdziałanie z nimi, winny znaleźć przeciwwagę“.

3) Na Rusi odbywa się I Zjazd polski, którego wszystkie uchwały zostały przez „Dziennik Kijowski“ utrwalone, jako dokument polityczny. Są to uchwały polityczne, uchwały w sprawie rolnej, wnioski wydziału finansowego i wnioski oświatowe (mówiliśmy o nich w rozdziale o pracy kulturalno-oświatowej). Zjazd polski w swoich rezolucjach politycznych wezwał wszystkich Polaków do zaprzestania waśni, wyraził sympatię Rządowi Tymczasowemu, uznanie Radzie Stanu i Kołu Międzypartyjnemu w Warszawie, oraz oświadczył, że „przyłącza się do głosu Polskiego Koła Sejmowego w Krakowie.“

4) Rząd Tymczasowy powołał do życia Radę przy prezesie Komisji Likwidacyjnej, nie stwarzając dla niej żadnych nowych kompetencji. Chodziło tylko o stworzenie instytucji, któraby podzieliła z prezesem pracę i odpowiedzialność. Rząd Tymczasowy pozostawił Lednickiemu zupełną swobodę w wyborze członków Rady i do nominacji się nie wtrącał. Tymczasem Seweryn Czetwertyński, Władysław Grabski, Jan Mrozowski i Jerzy Żdziechowski ogłosili dn. 20 września w „Dzienniku Polskim“ list otwarty do Lednickiego, w którym oświadczają, iż składali swe mandaty do Komisji Likwidacyjnej, zaznaczając z największym oburzeniem, iż zgodę Lednickiego na utworzenie rady uważają za czyn w najwyższym stopniu szkodliwy i za spaczenie pojęcia o przedstawicielstwie opinii polskiej, wobec rządów obcych. Zatarg ten powstał głównie na tem tle, że prezes Lednicki, zgadzając się na utworzenie Rady, nie zdażył się porozumieć z podpisanymi na liście otwartym. List ów jest dowodem, jakie rozmiary, nie liczące się z powagą chwili, zaczęła przybierać walka partyjna na bruku moskiewskim i petersburskim (patrz przyp. № 25, 28).

### Październik.

5) 3 października 1917 r. powstaje w Petersburgu Stronnictwo narodowo-zachowawcze. Stronnictwo to postanawia z ufnością wspierać Rosję, licząc na jej współdziałanie dla uzyskania niezależności polskiej. A nie decyduje się na przejście do instytucji, do których Rząd Tymczasowy w dobrej wierze powoła Polaków i na popieranie jednostek bojowych z Polaków, dobrowolnie z armji rosyjskiej wydzielonych pod naczelnem dowództwem rosyjskich władz wojskowych, bez przyznawania takim jednostkom charakteru politycznego. Na pierwszej odezwie stronnictwa narodowo-zachowawczego podpisali się: A. Meysztowicz, St. Łopaciński, Bolesł. Jałowicki, Maciej Radziwiłł, Julian Tołłoczko, Maksymiljan Maliński, Adolf Bielski, Wojciech Falewicz, Jan Niemojewski, Stanisław Radziwiłł, Stan. Kętrzyński, Józef Kiersnowski, Alfred Tyszkiewicz, Mieczysław Jałowicki, Roman Poznański, Władysław Meysztowicz i Władysław Milejko. Prawie jednocześnie wystąpił Julian Tołłoczko ze stronnictwa Polityki Realnej (patrz przyp. Nr. 26).

6) W Petersburgu odbywa się II zjazd demokratyczny pod przewodnictwem Eugenjusza Starczewskiego. P. Jan Dąbrowski wygłosił referat p. t. „Stosunek państw walczących do sprawy polskiej“, następnie zabierali głos dr. Kramsztyk, Kaz. Keller w imieniu zrzeszenia demokratycznego na Inflantach, Stypułajtys (z Mohylowa), Kapuściński (z Mińska), Piotr Zubowicz, Mroczkowski, Aleksander Babiański (złożył z ramienia prezydium krótki referat o udziale Polaków w wyborach do konstytuanty), Aleksander Więckowski, przypominający, iż nie można zapominać o realnych zdobyczach, jakie idea państwa polska poczyniła pod rządami okupantów, Roman Knoll, Stefan Mickiewicz i Konstanty Gordziałkowski. (patrz przyp. Nr. 27).

W tymże czasie t. j. około 8-go października ma miejsce konferencja stronnictw polskich, w której biorą udział II-gi Zjazd Demokracji polskiej, ludowcy, stronnictwo zachowawczo-narodowe, Polskie T-wo patriotyczne, Polskie stronnictwo radykalne i Związek radykalno-demokratyczny na Litwie i Białej Rusi. W konferencji wziął również udział prezes Komisji Likwidacyjnej Al. Lednicki, (przemawiał 1½ godziny, zdając sprawę z działalności komisji likwidacyjnej). P. Marjan Jaroszyński zaś w imieniu bloku „Jedności narodowej“ zaproponował uchwalenie formuły o hołdzie dla Rady Regencyjnej. Rezolucję przyjęli wszyscy powstając z miejsc.

7) W Petersburgu powstaje stronnictwo radykałów polskich, składające się z następujących członków organizatorów: Feliks Mazurkiewicz (prezes), Franc. Skępski i Bron. Zakrzewski (wiceprezesi), St. Radwan (sekretarz), oraz Piłsudski, Kramszytk, J. Rackman, R. Sobański, Bitner, Rutowski, Minkiewicz, Dzierzbicki, Tarankiewicz, Szczerbo-Rawicz, Korsak, Tołłoczko, Barchwic, Br. Barylski, Baziński, Żenczykiewicz, Łukasiewicz, R. Świętochowski.

8) Dnia 19 października Stronnictwo Pracy Narodowej na Rusi opublikowało w pismach kijowskich cały szereg dokumentów, a mianowicie z 26 sierpnia 1917 r. (podpisany przez prezesa Fr. Puławskiego i P. Gutowskiego), z 14 września 1917 r. (podpisany przez St. Jezierskiego i J. Kożuchowskiego), z 21 września 1917 r. (podpisany przez Janusza Rodziwiłła i P. Gutowskiego), z 29 września 1917 r. (podpisany przez St. Wojciechowskiego i J. Kożuchowskiego) i z 3 października 1917 r. (podpisany przez St. Horwatta i Marjana Jaroszyńskiego). W dokumentach tych S.P.N. określa swój stosunek do Polskiej Rady Zjednoczenia Międzypartyjnego i polemizuje z nim co do stosunku z państwami koalicji i co do poglądu na polską siłę

zbrojną w Rosji, a w rezultacie po przeprowadzeniu wyczerpującej polemiki widzi się zmuszonym do wycofania swych przedstawicieli z Rady Polskiej Zjednoczenia Międzypartyjnego, uważając je za organizację, nadającą sobie cechy reprezentacji ogólnonarodowej.

9) 21 października Polski Komitet Wykonawczy na Rusi ogłasza protest, podpisany przez Joachima Bartoszewicza i Zygmunta Berezowskiego w tem przekonaniu, że protest ów jest wyrazem woli całego narodu polskiego. Protest przeciwko manifestowi z dn. 5/18 października komitetu sztokholmskiego, organizującego socjalistyczną konferencję pokojową i instrukcje o zawarciu pokoju, jakie od Centr. Komitetu Wykonawczego i Rad Delegatów Robotniczych i Żołnierskich otrzymał delegat Skobielew na konferencję pokojową sprzymierzeńców w Paryżu.

10) 29 listopada odbył się w Kijowie olbrzymi wiec narodów. Publiczność składała się przeważnie z żołnierzy drużyn ochotniczych, które w ciągu wojny na terytorjum rosyjskiem powstały. Wiec zagaił J. Bartoszewicz, przemawiając w czterech językach: polskim, rosyjskim, ukraińskim i francuskim. Przewodniczył prof. Maska (czech), referat wygłosił prof. Masasyk i przedstawiciel polskiej siły zbrojnej, p. Jakowicz. Wiec podkreślił swe sympatje dla koalicji. Podczas wiecu miało miejsce bardzo burzliwe zajście pomiędzy socjalistami polskimi, którzy protestowali przeciwko przemówieniu Jakowicza, a częścią żołnierzy polskich.

W listopadzie odbywała się również w społeczeństwie polskim gorączkowa praca nad przygotowaniem się do konstytuanty rosyjskiej. Wybuch powstania bolszewickiego udaremnił i rozwiął to wszystko, jak mgłę.

### **Grudzień.**

11) Po ogłoszeniu niepodległości Rzeczypospolitej Ukraińskiej z sekretarjatem generalnym (patrz przyp. №

29) i Radą Centralną na czele, wyłoniła się przede wszystkim kwestia wyborów do konstytuandy już nie rosyjskiej a Ukraińskiej. Utworzył się zaraz Polski Centralny Komitet Wyborczy, który ułożył kompromisowe listy wyborcze (patrz przyp. № 30). Rezultatu wyborów nie doczekałem się, ponieważ sprawa wyborów przewlekała się dzięki zawierusze bolszewickiej, a w pierwszych dniach lutego opuściłem terytorjum rosyjskie.

12) 20 grudnia powstała na terytorjum nieokupowanym Rada Polska Ziemi Wileńskiej (na powiaty wileński, oszmiański i dyśnieński). Głównym zadaniem Rady była obrona interesów polskich. Komitet wykonawczy składał się: z W. Kopia, M. Chełchowskiego, M. Bohdanowicza, Cz. Skindera, R. Wołodkiewicza, J. Borowskiego, H. Gieczewicza i J. Klotta.

---

Tak wyglądają te zapiski z mojego raptularza wygnańczego, które ocalały w drodze z Ukrainy do Warszawy. Jest to właściwie tylko niezupełny szereg zanotowanych pośpiesznie kłótni partyjnych. Przeważnie polegały one na tem, że chcą reprezentować całe społeczeństwo polskie. Na temat ów spierano się zapalczywie aż do znudzenia, wylewając całe morze atramentowych frazesów. Brało człowieka często takie obrzydzenie, że nawet gazety wziąć się do ręki nie chciało. Jedno zarysowuje się przecież, nawet najmniej uważnemu czytelnikowi, wyraźnie ze wszystkich przytoczonych tu przezemnie faktów, a mianowicie brak wszelkich dokładnych i nieopóźnionych wiadomości z Królestwa i Galicji, który tak tragicznie odbił się na problematycznych działaniach emigracji w Rosji, mogących zaważyć na szalach całego społeczeństwa polskiego.

Jako uzupełnienie wyjątków z raptularza podam tu

jeszcze szereg najważniejszych dat z życia emigracji — rodzaj małego kalendarzyka historycznego w czasie rewolucji.

Pierwszem potrąceniem o sprawę polską była nieoficjalna odezwa Rady delegatów żołnierskich i robotniczych do proletariatu polskiego głosząca, iż Polska ma prawo do niepodległości.

16 marca wszyscy posłowie do izb państwowych udali się do ks. Lwowa i wręczyli mu memorjał, którego głównymi punktami było natychmiastowe proklamowanie aktu niepodległości Polski.

17 marca Rząd Tymczasowy ogłosił odezwę do Polaków, podpisaną przez wszystkich ministrów: „Naród rosyjski uznaje bratni naród polski za posiadający całą pełnię prawa do stanowienia o swych losach własną wolą“.

Odezwę z dn. 17 marca poprzedziło zatwierdzenie uchwał Komisji Likwidacyjnej do spraw Królestwa Polskiego i mianowanie przewodniczącym Aleksandra Lednickiego. Zadaniem Komisji Likwidacyjnej było: 1) ustalenie gdzie i w jakim stanie znajduje się majątek Królestwa, 2) sposób przekazania tego majątku Państwu Polskiemu, 3) określenie stanowiska osób zobowiązanych do pełnienia służby wojskowej i jeńców wojennych Polaków.

21 marca wychodzi dekret, znoszący wszelkie ograniczenia narodowościowe w Rosji, a więc i ograniczenia krępujące Polaków.

26 lipca dekret „O zmianie obowiązujących praw dotyczących rzymsko-katolickiego kościoła w Rosji“.

28 lipca zniesienie rozporządzenia Rady ministrów z dn. 17 marca 1915 roku o wprowadzeniu w Królestwie Polskiem ustawy miejskiej z dnia 11 czerwca 1892 roku.

16 września powołanie rady przy prezesie Komisji Likwidacyjnej, mającej opracować przedwstępne sprawy i zarządzenia wnoszone pod obrady komisji przez jej prezesa.

2 października, podczas obchodu Kościuszkowskiego w Petersburgu, minister spraw zagranicznych, Tereszczenko, oświadcza, że koalicja przyłącza się do odezwy rosyjskiej z dnia 17 marca, stwierdzającej, że niepodległość Polski jest głównym warunkiem trwałego pokoju. Przemówienie Tereszczenki potwierdzili ambasadorowie Anglii, Francji, Włoch i Stanów Zjednoczonych.

Po przewrocie bolszewickim, Polski Naczelny Komitet Wojskowy powołał d. 12 listopada wszystkich wojskowych Polaków do wystąpienia z szeregów armji rosyjskiej i do łączenia się w jednostki bojowe polskie. Odezwa P. N. K. W. została poparta przez odezwę Polskiego Komitetu Wojskowego na Rusi.

17 listopada Rada Komisarzy Ludowych, niedowierzając narodowościowemu ruchowi w armji, wydała jednak dekret zezwalający na tworzenie sił polskich zbrojnych, czyniąc przytem wiele zastrzeżeń. Z zastrzeżeniami tem nikt jednak się nie liczył i musiały one naturalnie doprowadzić później do konfliktu polsko-bolszewickiego.

W grudniu Rada Komisarzy Ludowych mianowała komisarzem do spraw narodowościowych polskich (likwidacja, wygnańcy i t. p.) J. Leszczyńskiego, a pomocnikiem H. Cichockiego. Komisarjat zorganizowano na zasadzie porozumienia się pomiędzy komisarzem Leszczyńskim, a poszczególnymi socjalistycznymi partjami polskimi i organizacjami robotniczymi i żołnierskimi. Skład komisariatu był następujący: 3 przedstawiciele S. D., 3 — Lewicy P. P. S., 2 — od Komitetu Głównego Związku Wojskowych Polaków, 2 od „Porozumienia“, 2 — od Centrali klubów rewolucyjnych i 2 — od Związku ewakuowanych kolejarzy.

Dekretem zaś z dn. 10 grudnia skasowano urząd prezesa Komisji Likwidacyjnej, która przeszła w zawiadywanie komisarza do spraw narodowościowych polskich. De-

kret ten został podpisany przez Lenina, Długoszwillego, Boncz-Brujewicza i Garbunowa.

Oto więc suche fakty polityczne od wybuchu rewolucji w Rosji, aż do 1 stycznia 1918 r.—fakty, które najgoręcej poruszyły emigrację naszą i były przyczyną setek narad, odezów i wieców.

---

Rok 1917 był jeszcze ważny tem, iż w październiku, w setną rocznicę zgonu Tadeusza Kościuszki, odbyły się w każdym zakątku Rosji wielkie obchody. Pierwszy to raz w Rosji mogła się odbyć spokojnie polska uroczystość narodowa... Jeszcze rok temu nikomu na emigracji cień nawet myśli o czemś podobnem nie przyszedłby do głowy. Obchody Kościuszkowskie w Rosji miały dla wychodźstwa tę jeszcze wartość duchową, że stały się niejako komunją narodową, którą emigracja przyjmowała wspólnie z całą Polską w jednym i tym samym czasie. Serca polskie na całej ziemi zestrzeliły się w jeden uroczysty akt, w jedno pełne ufnej nadziei spojrzenie całego narodu w mglistą przyszłość. I temu skoncentrowanemu patrzeniu w nieznanne dale, uchylające na błyskawicznie krótki moment rąbek tajemniczego czasu, nie zdołały przeszkodzić ani podwójne rzędy drutów kolczastych, ani okopy najeżone maszynowymi karabinami. Dusze polskie mimo wszystko komunikowały się ze sobą i były chwile, że wyszła na jaw cała nicość przewagi fizycznej i brutalnej nad królem-Duchem Narodu.

Uroczystości Kościuszkowskie obchodziłem w Kijowie, a następnie na froncie. Opiszę tylko pierwsze...

Jeszcze we wrześniu zorganizowały się przy polskim Komitecie Wykonawczym sekcje organizacyjne obchodu. A więc: Sekcja odczytowa (Ignacy Grabowski), sekcja prowincjonalna (Kazimierz Dunin Karwicki i Jan

Kamiński), sekcja kijowska (W. Józefski i ks. Maliszewski), sekcja wydawnicza (Leon Radziejowski i Marjan Szmulakowski), sekcja skarbowa (J. Kuszell i Jan Daniełak). Kierownicy sekcji kijowskiej zorganizowali jednocześnie i wystawę pamiątek po Tad. Kościuszcze, rozesławszy przedtem odpowiednie odezwy.

2 października 1917 r. odbyła się w klubie „Ogniwo“ akademja w hołdzie Tadeuszowi Kościuszcze. Parlatorjum ozdobił artysta malarz Brunon Lechowski. Odpowiednie wiersze wygłosili: Kornel Makuszyński, Marja Grossek i poeta francuski, Roquigniy. — Przemawiali: Józef Weyssenhoff, Wojciech Dąbrowski, Ludwik Janowski, Edward Paszkowski i Ignacy Grabowski. Gospodarzami na sali byli: Wład. Günther i N. Łoziński.

12 października odbyły się dopiero uroczystości. Rozpoczęto obchód od mszy żałobnej za duszę Naczelnika w kościele św. Aleksandra. Około wspaniale przybranego katafalku stanęli przedstawiciele Anglii, Francji, Ameryki, Szwecji, Rumunii, Belgii i Serbji oraz władz krajowych i miejscowych wojskowych i cywilnych, a oprócz tego delegacje organizacji polskich z P. K. W. na czele. O godz. 12 wniesiono do kościoła w asyście honorowej dwa historyczne sztandary, jeden Kościuszkowski, drugi z 31-go roku. Jeden z nich niośł por. Liebich, drugi porucznik J. Marcińczyk, wnuk generała Kruka (Heidenreicha), dowódcy powstańców z 1683 roku. Mszę celebrował Biskup Łucko-Żytomierski, ks. Ignacy Dubowski. Straż honorową pełnili delegaci korpusu polskiego. W czasie nabożeństwa śpiewał solo Tadeusz Leliwa. O godzinie 4 popołudniu odbyło się w sali klubu „Ogniwo“ nadzwyczajne posiedzenie Polskiego Komitetu Wykonawczego, na którym przemawiali: J. Bartoszewicz, Z. Berezowski, St. Zieliński, Wł. Dzieduszycki. W rezultacie uchwalono wniosek o stworzenie funduszu kulturalno-oświatowego im. Ta-

deusza Kościuszki (szkoły, wydawnictwa, stypendja i zapomogi).

Wieczorem w „Teatrze Pol.“ w obecności członków misji wojskowych państw sprzymierzonych odegrano scenę przysięgi na rynku krakowskim (z Anczyca „Kościuszką pod Raławicami“). Kościuszkę grał Michał Tarasiewicz, prezydenta m. Krakowa Stefan Jaracz, Bolesławski deklamował „Raławice“ Lenartowicza, a Stanisława Wysocka-Stanisławska „Pogrzeb Kościuszki“ Ujejskiego. W końcu przemawiał p. Wład. Günther.

Z okazji rocznicy Kościuszkowskiej ukazało się w Kijowie bardzo wiele wydawnictw okolicznościowych t. np. „Portret Naczelnika“ (według Grassieg'o) — „Naczelnik Narodu T. Kościuszką“ — broszura K. Rosinkiewicza, — „Kim był Tadeusz Kościuszką“ Jerzego Bandrowskiego, — „Bitwa Raławicka“ Lenartowicza, — „Album pamiątkowe“ z ilustracjami Zyg. Ajdukiewicza, — „Tadeusz Kościuszką“ kompilacja Tad. Uhmy i inne.

Oprócz Kijowa, obchody odbyły się jeszcze uroczystości w każdym miejscu olbrzymiej Rosji, gdzie tylko znajdowała się najmniejsza garstka emigrantów, nie mówiąc już o takim Żytomierzu, Winnicy, Białej Cerkwi, Równem i Łucku. Najbardziej wzruszającymi były skromne uroczystości w armji czynnej, urządzone przez Związki Wojskowych Polaków. Szczególnie zaś szerokiem echem rozbrzmiały uroczystości w Bychowie, w siedzibie I-ej dywizji strzelców polskich, gdzie wszystko odbyło się według, dawne dobre czasy przypominających, tradycji żołnierskich. Komitet organizacyjny w Bychowie składał się: z Jeśmiana, S. Perzyńskiego, A. Liebicha, T. Śliwińskiego, Kruka i Marcińczyka.

Wielkie również znaczenie polityczne miały uroczystości Kościuszkowskie w Petersburgu.

Nie przypuszczano wtedy jeszcze, iż krwawe widmo rewolucji bolszewickiej stoi już u wrót Petersburga.

Na szarem tle odwiecznych emigracyjnych sporów, uroczystości Kościuszkowskie są słonecznem, jasnym pasmem, są jedną z tych rzadkich a drogocennych chwil zjednoczenia się w rozpamiętywaniu wielkich chwil przeszłości, wiecznie niezgodnego i rozprzężonego rozterkami politycznemi społeczeństwa wychodźczego. Dlatego poświęciłem im tyle miejsca.

Przyznać się jednak muszę, że o wiele milsze i droższe sercu memu były te skromne, małe obchody żołnierskie, omal że nie w samych okopach urządzone, gdzie sklepienia białych sal zastępował jasny jeszcze, choć przytłumiony ciepłą jesienią strop nieba, na tle którego furczał aeroplan nieprzyjacielski; mównicą był kawałek płótna żaglowego, rozpięty na czterech lancach, a marmurowy biust Naczelnka—niepokaźna pocztówka w wieńcu liljowych wrzosów. Nie miały te ciche uroczystości wielkiego znaczenia politycznego, lecz miały głęboką wartość chwili, w której srebrny, czysty ptak świadomości Narodowej dotyka promiennem skrzydłem, drzemiących w tępoście, czoł polskich chłopów, odzianych przemocą w sołdackie szynele.

---

## V.

Ileż to pięknych, podniosłych, oraz wesołych momentów zawdzięcza emigracja polska w Rosji swoim teatrom, które, jak wierni towarzysze, powędrowały za nią na wygnanie! Były one przybytkami, które pielęgnowały kult słowa i pieśni polskiej. Ileż to razy, pamiętam, gdy człowiekowi powracającemu z frontu, gdzie długi czas pozbawiony wszystkiego, co jest kulturą, po przyjeździe do miasta proponowano, aby poszedł na operę lub operetkę, ten odpowiadał: „o nie, tyle czasu nie słyszałem naszej mowy, nie pójdę do moskiewskiego teatru. Może on i lepszy, ale tam po polsku nie mówią“. I szedł do którego z emigracyjnych teatrów i poił stęsknioną duszę ukochanymi dźwiękami. Za czasów carskich teatry polskie na emigracji, były może jedynem publicznem miejscem, gdzie słowo polskie miało największą swobodę — w okresie rewolucji brzmiały stamtąd, wzywające do czynu i do wielkiego zbiorowego wysiłku, zdania poetów naszych. Ileż to płomiennych mów spływało w emigracyjny tłum z tych niewielkich ramp polskich w czasie obchodów narodowych. Jak kojąco działały te niewielkie zwykle sale na polaka, gdy wszedł w nie z ulicy, gdzie rżała, różnamiętiona nieskończonymi mityngami, obca nam zupełnie dzicz półazjatycka, każde piękno depcząca, cuchnącymi dziegciem butami. Wchodzi do takiej sali i nagle inny świat... Wszyscy tu swoi, nie czai się

żaden podstęp ani zdrada, nie ma tych błyszczących od nienawiści oczu... Dziwna solidarność łączy tu widza z pierwszego rzędu krzesel z najskromniejszym wyrobnikiem, siedzącym gdzieś w kąciku na galerji. Wszyscy tu „swoi“ i swój ten aktor, który smuci nas lub każe się śmiać.

Prawdziwie emigracyjnymi, mającymi wszystkie cechy czasowości, teatrami były teatry polskie w Moskwie. Najpoważniejszym był teatr dramatyczny, wspomagany pieniężnymi zasiłkami Komitetu Polskiego, działający pod dyrekcją Szczurkiewicza, a później Szyfmana. Nie należy jednak zapominać, że emigracja moskiewska była właściwie emigracją warszawską i zupełnie warszawskości swej nie zatraciła. „Choć bieda, ale hoc!“—przedewszystkiem bawić się za wszelką cenę. Rzeczy poważne są dobre, ale... Prędko odnaleźli się artyści operetki z „Nowości“ i w Sali „Bazaru Słowiańskiego“ zaczęli występować dawni ulubieńcy: Messalówna, Marjewska, Bielska, Niewiarowska, Horbowska, Jagielski, Szczawiński, Rapacki i Domostławski. Poważnem źródłem dochodu dla naszych aktorów-wygnańców był kinematograf. Na filmach często ujrzeć można było: Brydzińskiego, Czapelskiego, Lenczewskiego i Zielińskiego. Dom Polski, miejsce spotkań całej inteligencji emigracyjnej, przy załuku Milutyńskim, miał również i małą scenkę, na której do ostatnich czasów występowali: Brydziński, Kopczewska, Elsnerówna, Horwato-wa, Sobiszewski, Zieliński, Jagielski, Lechowski i Lenczewski.

Scena polska w Kijowie, w którym życie artystyczne niezbyt przyśpieszonym było dawniej tętnem, przeszła w czasie wojny ogromnie korzystną ewolucję. Głównymi przyczynami tego było dążenie do stacjonowności teatru (teatr polski na większą skalę nie mógł tu być czemś tak przejściowem, jak w Moskwie, ponieważ Kijów był sercem

tak ogromnego społeczeństwa, jakim są Polacy na Ukrainie) a następnie skupieniami też wychodźstwa polskiego z Galicji oraz Królestwa i nadzwyczajne wprost podniesienie się świadomości narodowej w związku z tak jaskrawymi i silnymi wypadkami politycznymi, jakie daje wojna i rewolucja. Szególnie ta ostatnia rozszerzyła program sceny polskiej w Kijowie, krępowanej dawniej policyjnymi przepisami rządu carskiego. Sztuki poważne o treści głębokiej, narodowej coraz to częściej wysadzały z siodła swe bardziej lekkomyślne siostrzyce.

Teatr Polski na Meryngowskiej ulicy był pierwszą większą sceną polską w Kijowie. Przeniósł go tam z malej salki w Klubie „Ogniwo“ Franciszek Rychłowski. Skład teatru do 1 stycznia 1918 r. był następujący: Dyrektor—Rychłowski, kierownik artystyczno-literacki—Wład. Günther (przedtem przez długi czas Kornel Makuszyński), kierownik artystyczno-dekor. — Drabik. Artystki: Bolesławska, Koyalowicz, Rostkowska, Gellówna, Daniłowiczówna, Hartmanowa, Morozowiczowa, Omecka, Plecińska, Sokołowska, Tęczyńska, Turońska, Zawilło, Kociecka, Osterwina. Artyści: Lochman, Zabielski, Bolesławski, Haberski, Daczyński, Jaracz, Kołakowski, Łuszczewski, Zborowski, Brydziński, Osterwa, Szymański, Bogusławski, Cernobis. Osterwa grywał teraz z zamiłowaniem poważne role—świetnym był wprost jako Kordjan, a niepospolite zdolności reżyserskie wykazał, wystawiając „Kordjana“, „Sulkowskiego“, „Noc listopadową“ i „Fircyka w zalotach“. Stefan Jaracz, najlepszy artysta dramatyczny na emigracji, był wprost niezrównany w rolach charakterystycznych. Talent jego pogłębił się ogromnie od czasu tułaczki. Częstoymi a hucznie oklaskiwanymi gośćmi na scenie teatru Polskiego byli: Fertner i M. Tarasiewicz. Szczególnie ten ostatni dał bardzo ciekawą kreację („Księcia Niezłomnego“, „Bolesława śmiałego“, „Kościuszkę pod Racław-

wicami“ i Chłopskiego w „Warszawiance“). Innymi ulubieńcami publiczności kijowskiej byli: Maria Gellówna ze Lwowa, której przypadły w udziale wszystkie prawie role naiwno-liryczne, subtelna Osterwina i poważna a pełna ognia tragiczka Bronisława Koyalłowiczowa. Wielkie nadzieje rokują dwie nowe młode a niezwykle zdolne artystki Sokołowska i Raciccka. Program ostatniego sezonu zimowego był następujący: „Miód kasztelański“, „Okrężne“, „Majster i czeladnik“, „Siostra Helena“ (Engla), „Mąż o dwóch żonach“, „Lecą liści z drzewa“, „Osiołek“ (Caillavet'a i Fleurs'a), „Kordjan“, „Dom warjatorów“ (Laufsa), „Dudek“ (Feydeau), „Szaławiła“ (Glińskiego), „Polka w Ameryce“ (Kozłowskiego), „Kościuszko pod Raclawicami“, „Przed ślubem“ (Zalewskiego), „Grube ryby“, „Tamtę“ (Zapolskiej), „Konfederaci Barscy“, „Oj młody, młody!“, „Pomysł panny Franciszki“ (Gavault), „Dzień zaduszny“ (Heyermansa), „Żołnierz królowej Madagaskaru“ (Dobrzański), „Noc listopadowa“, „Wesele“, „Kłątwa“, „Bolesław Śmiały“, „Warszawianka“, „Sędziowie“, „Dziady“, „Cyganeria warszawska“, „Mąż z grzeczności“ Abrahamicza), „Lilje polne“ (Markiewicz), „Gwiazda Syberji“ (Starzeńskiego), „Lekkomyślna siostra“ (Perzyńskiego), „Tajemniczy Dżem“, „Dobrze skrojony frak“, „Betleem Polskie“ (Rydla), „Hiszpańska mucha“ (Bacha), „Hajduczek“ (Popławskiego).

**Teatr „Studia“**, jedno z najciekawszych zjawisk teatralnych na emigracji, a najbardziej nowożytny teatr w Polsce, założony przez panią S. Wysocką. Znana nasza artystka dramatyczna, stwarzając „Studia“, dokonała może jednego z najśmielszych eksperymentów teatralnych, celem którego było założenie podwalin pod nowy teatr przyszłości. Pani Wysocka, skupiwszy koło siebie grono najmłodszych adeptów sztuki, nieznanymi prawie nikomu, postawiła ich odrazu przed publicznością. Młody aktor lub aktorka

uczył się i grał jednocześnie. „Studja“ są teatrem i szkołą. Jedną i tę samą sztukę wystawiano nieraz przez miesiąc z rządu w coraz to nowej obsadzie. Nie zapomnę nigdy tej małej scenki z craigowskiemi dekoracjami oraz niewielkiej na 200 zaledwie osób obliczonej widowni, urządzonej z najwyższym smakiem. Wieczory w teatrze przy ul. Kraglej-Uniwersyteckiej były prawdziwemi ucztami estetycznemi. Gra uczniów pani Wysockiej nie mogła być oczywiście ostatnim wyrazem sztuki, trzeba jednak było podziwiać dyscyplinę sceniczną, połączoną z pozostawieniem zupełnej swobody i indywidualności młodego aktora. Pani Wysocka wychowywała zaś nietylko aktora lecz i publiczność. Oprócz samej inicjatorki świetne kreacje dali tu Nuna Młodziejowska i Szczurkiewicz. Młodymi aktorami, których grę najczęściej podziwiałem, byli: panie Newlin, Rzewuska, E. Bogacka, J. Dąbrowska, M. Jasińska, H. Perzyńska, Z. Rodowiczowa. — panowie: J. Krokowski, W. Jastrzębski (wiceminister polski z Rady Ukraińskiej), S. Słodkowski, J. Strachocki, M. Szpakiewicz, W. Wybranowski. Grano zaś następujące sztuki: „Ślepców“, „Intruz“ i „Siostrę Beatryx“ (Maeterlincka), „Balladynę“, „Cyda“ (w przekładzie Wyspiańskiego), „Cioteczkę“ (Fredry), „Rozmersholm“ oraz „Uczone białogłowy“ (Moliera, przekład Boya). Szczególnie zajmujące były przedstawienia Molierowskie. Oto, co mówi o nich Jerzy Bandrowski w „Dzienniku Kijowskim“: „Jak Moliera w „Studjach“ wystawiono? — Z ujmującą pieczołowitością. Ze szacunkiem i niewątpliwym gustem, co się tyczy wyposażenia scenicznego. Z wielkim wkładem pracy uczciwej, przebijającej się z najmniejszego ruchu artystów, z każdego akcentu bezwarunkowo przemyślanego, czasem aż zanadto. Z zapalem, o którym najwyraźniej świadczy wiara i śmiałość z jaką artyści już na próbie atakowali długie i trudne tyrady, wreszcie z wielkiem poszanowaniem dla poety

i jego dzieła, w które starano się wniknąć i które chcia-  
no podać i oddać jaknajwierniej, nie ważąc się na żadne  
skróty i ułatwienia. Krótko mówiąc: rzecz traktowano  
uczciwie i sumiennie, poważnie i z pietyzmem“.

Miejscem zaś najweselszem w Kijowie, gdzie nasi  
emigranci płakali, ale tylko ze śmiechu, był „Teatr Nowo-  
ści“, otwarty dnia 21 września 1917 r. w sali klubu pol-  
skiego „Ogniwo“ przez Wincentego Rapackiego. Grano:  
„Żonę o trzech mężach“, „Poskromienie teściowej“, „Noc  
poślubną“ (operetkę Ofenbacha), „Rywala“, „Ach te ko-  
bietki“, „Życie paryskie“, „Żonaty kawaler“, „Parys ze sta-  
rego miasta“, „Krakowskie zuchy“, a w rocznicę Kościusz-  
kowską wystawiono: „Pod swoją strzechę“ (Rapac-  
kiego), cały zaś zespół artystów odśpiewał „Marsz po-  
wrotu do kraju“, a pani Józefina Bielska „Zmartwych-  
wstał polski kraj“, dwie nieprodukowane dotąd nigdzie  
pieśni W. Rapackiego. — Grali w „Teatrze Nowości“:  
Józefina Bielska, Bożemsa, Iza Glińska-Jeyde, L. Kar-  
ska, Helena Sikorska, Jan Bernakiewicz, Marjan Brochow-  
ski, L. Dybizbański, Michalski, L. Morozowicz, Silvini,  
Falkowski, Woliński. Głównym reżyserem był Michał  
Tatrzański, dekoratorem art. malarz Brunon Lehowski.

Krytyki literackie pisywali: Kornel Makuszyński,  
Władysław Günther, Kazimierz Dunin-Markiewicz, Jerzy  
Bandrowski, Stanisław Pucikowski (szczególnie dużo ar-  
tykułów o „Studjach“) i dr. Józef Flach ze Lwowa.

Wielu aktorów i śpiewaków polskich występowa-  
ło z powodzeniem na scenie rosyjskiej. Tak np. w wiel-  
kiej operze moskiewskiej śpiewali: Dygas i Dobrowol-  
ska, w operetce: Szczawiński, Niewiarowska, Messalów-  
na i Kawecka; Lenartowicz grał po rosyjsku w farsie  
moskiewskiej; Szyfman został reżyserem moskiewskiego  
Teatru Dramatycznego. W modnej miejscowości kąpie-  
lowej, Kisłowodzku, reżyserował operetki rosyjskie Do-

mosławski, a Kazimierz Wysocki z małą trupą aktorską podróżował po prowincji. Na koncertach moskiewskich występowali często Stanisław Bogucki, tenor Kozłowski, Józef Śliwiński i Waclaw Kochański.

Jak widzimy więc, polskie życie artystyczne na emigracji nie przygasło — przeciwnie sztuce polskiej przybyła niejedna wybitnie zdolna siła. Tęsknota za krajem pogłębiała ogromnie talenty, wyszlachetniała dusze, zwiawając ów spotykany tak często u artystów, a szczególnie u aktorów pyłek pozornej obojętności na sprawy narodowe.

Charakterystycznym przedewszystkiem rysem dla pulsującego gorąco życia umysłowego na emigracji jest ogromna ilość wygłoszonych, szczególnie w okresie rewolucyjnym, odczytów oraz wzrastająca z dnia na dzień ilość stowarzyszeń polskich.

Oprócz wymienionych w rozdziale stowarzyszeń i towarzystw, notowaliśmy z Kijowa: 2 związki farmaceutów polskich, Stowarzyszenie młodzieży postępowej, Stowarzyszenie techników polaków, Towarzystwo gimnastyczne „Sokół“, Związek młodzieży demokratycznej, Towarzystwo krajoznawcze, Związek polaków pracowników kolejowych, Zjednoczenie polskiej młodzieży szkolnej, Związek inżynierów, Towarz. popierania Teatru „Studja“, Towarzystwo wzajemnej pomocy pracowników polskich, Towarzystwo opieki nad zabytkami polskimi, Stowarzyszenie młodzieży narodowej „Polonja“, Klub przemysłowo-techniczny, Związek oficjalistów rolnych, Koło literatów, Stowarzyszenie robotników „Jedność“, Akademickie stowarzyszenie śpiewacze „Echo“, Towarzystwo Oświatowe im. B. Limanowskiego, Polskie stowarzyszenie sztuki graficznej „Spójnia“, Polskie towarzystwo naukowe na Rusi, Polskie Towarzystwo Lekarzy, Federacja pracy i inne.

Akcję odczytową zorganizowało najpoważniej Koło Literatów, którego prelegentami byli: Wojciech Dąbrowski, prof. Emil Dunikowski, Władysław Günther, prof. Ludwik Janowski, Kornel Makuszyński, Tadeusz Mieliński, Edward Paszkowski, prof. Bohdan Szyszkowski, Mieczysław Treter, prof. Henryk Ułaszyn, Józef Weysenhoff i Hanna Zahorska (Savitri). --- Często miewali również odczyty w salach różnych stowarzyszeń: znana kijowska prelegentka Marja Grossek (O literaturze francuskiej), Antonina Sokolicz (O Cyprjanie Norwidzie), Ignacy Grabowski (historyczne), Eugenia Żmijewska, Jarosław Iwaszkiewicz (O Ibsenie) i Dr. Józef Flach (O Wypiańskim).

Dotychczas, znajdujący się licznie na emigracji i stale osiedli w Kijowie rzeźbiarze i malarze polscy, wystawiali przeważnie na wystawach rosyjskich. Sporadycznie tylko urządzano wystawy polskie (np. kiedyś w Moskwie, dzięki inicjatywie panny Lednickiej, córki Aleksandra). Dopiero w maju 1917 r., założony w Kijowie na Kreszczytaku pod № 25, w pasażu, „Salon d'art“ zaczął gromadzić u siebie porzucane dotychczas po różnych zakątkach Rosji prace malarzy naszych na tułactwie. Pierwszy ów polski vernissage odznaczał się z początku wielkimi brakami. Dopuszczano na wystawę np., obok dzieł o wysokiej wartości artystycznej, rzeczy nie tylko że zupełnie niedociągnięte, lecz nawet i dyletanckie. Rozwieszanie obrazów bywało często zupełnie nieprawidłowe, pozwalano czasem sobie na śmieszne wprost segregacje, np. według rozmiaru ram lub rzekomej treści płótna, np. główki do główek, martwe natury do martwych natur i t. p. Z każdą jednak zmianą wystawy, coraz to mniej było błędów, tak iż nareszcie „Salon d'art“ stał się prawdziwym salo-  
nem sztuki. Kijowski „Salon d'art“ dał około 8-miu wystaw. Oglądałem na nim bardzo śmiało pejzaże malarza Bujnow-

skiego, wykwintne pod względem kolorystycznym rzeczy Szawryna (Chrzest Rusi, Nimfa, Bal na prowincji), chorobliwe nieco T. Czerniawskiego, banalne Bakowskiego i przepojone słońcem J. Potraka, (obaj ostatni malarze przebywali w Charkowie). Bardzo ciekawe były utwory Bradego, mieszkającego od dłuższego czasu w Mandżurji. Do silnych płócien należały: „Elegja“ i „Morze“ F. Wygrywalskiego z Rostowa. Sporo wystawiono też obrazów zmarłego malarza ukraińskiego Wrzeszcza. Bardzo bogato, bo aż 20 pracami, był reprezentowany W. Nałęcz (Warszawa-Kijów) — przeważnie pejzażami (studja, notatki i refleksje) — również i W. Korycki z Warszawy dawał często pejzaże z Kijowszczyzny, a wielkim popytem cieszyły się dość przeciętne, choć szczerą miłość przyrody znamionujące, obrazy K. Przyszychowskiego. Z innych wystawiali jeszcze: Anastazjewski, Bychowski, Wiśniewski, Roman Dubiński, Krassowski, Lewandowski, Bruno Lechowski, Malik (grafika), Z. Stankiewiczówna (grafika), Hollak, prof. Pięćkowski (stałe przebywający w Jałcie), Pstrak, Wieligłowski, T. Marczewski, Piotrowski, W. Kowalski i Sarnowicz.

Na zakończenie niniejszego ustępu zaznaczyć muszę, że w październiku 1917 roku wyszły przepiękne wycinanki pomysłu pani E. Świętochowskiej — artystycznie wystylizowane dzwonki, bławaty, rumianki i osty. Wydano je sposobem litograficznym (ślicznie wykonał to J. Bencianowski) na pocztówkach w 6 odmianach. Było to jedyne tego rodzaju wydawnictwo w czasie emigracji.

W ścisłym związku ze sztukami plastycznymi stojącym, a pierwszym prawdziwie artystycznym pismem na emigracji było „Muzeum Polskie“. Miałem w rękę tylko pierwszy tom wydawnictwa tego, w wykwintnej, zupełnie przedwojennej szacie, a o ile się nie mylę anarchja bol-

szewicka, która w tak niesłychany sposób zniszczyła Kijów, przeszkodziła wyjściu następnych. Redaktorem głównym jest Zdzisław hr. Grocholski, kierownikiem artystycznym dr. Mieczysław Treter. „Muzeum Polskie“, szczególnie z tego względu, iż jest wyrazicielem szczerego umiłowania zabytków przeszłości pewnej grupy ludzi na emigracji, o wysokim poziomie kulturalnym i artystycznym, zasługuje na to, aby w zawartości jego rozejrzeć się dokładnie. Mamy tam następujące artykuły: 1) J. Tokarzewski-Karasiiewicz „Ochrona zabytków przeszłości“ 2) pracę muzeologiczną dr. M. Tretera, „Muzea współczesne“ 3) bardzo ważne dane z Centralnego Archiwum Kijowskiego dr. L. Białkowskiego 4) J. Karlicka „W sprawie organizacji pracy naukowej“ 5) bardzo szczegółowy opis zniszczenia, jakiemu uległy w czasie obecnej wojny cenne zbiory nasze w Tarnopolu. p. t. „Zbiory Muzeum Podolskiego“ dr. M. Nałęcz-Dobrowolskiego 6) Zniszczenie klasztoru i kościoła o. o. Dominikanów w Podkaminieniu“ hr. L. Grocholskiego. Oprócz tych, bardzo cennych artykułów, posiadamy tam szczegółową bibliografię prasy polskiej M. Winnickiego, wiele ciekawego materiału, dotyczącego ratownictwa naszych kulturalnych i artystycznych pomników, sprawozdania Komisji Likwidacyjnej o rewindykacji Biblioteki Żałuskich, oraz sprawozdania ze Zjazdów Zabytkowych i poszczególnych organizacji opieki nad zabytkami w Smoleńsku, Samarze, Niżnim Nowgorodzie, Piotrogradzie, Moskwie, Mińsku, Mohylowie, Kazaniu i Kijowie.

Osiem jednak oddzielnych, świetnie wydanych plansz fotograficznych nadaje pierwszemu tomowi „Muzeum“ nieocenioną niemal wartość. Są to t. zw. „Głowy Wawelskie“ z zamku królewskiego w Krakowie. Znajdują się one w Rumiancowskim Muzeum w Moskwie, gdzie dopiero w czasie wojny zostały po raz pierwszy sfotogra-

fowane przez Wydział Moskiewski, a obecnie opublikowane w Muzeum. Rumiancowskie Muzeum otaczało je taką niedostępnością, że nawet większości historyków sztuki polskiej nie były znane. Jeżeli „Muzeum Polskiemu“ uda się przetrwać tak ciężkie czasy obecne, to roczniki jego staną się naprawdę kapitalnymi przyczynkami do polskiej historii sztuki.

O pismach polskich, wychodzących na emigracji, mówiłem już w pierwszej części niniejszej książki, wyliczając je dokładnie. Wszystkie one wychodziły i nadal w okresie rewolucyjnym. Charakter ich uległ jednak zmianie—stały się, dzięki zdjęciu kagańca cenzury politycznej, bardzo wyrazistymi, a niektóre nawet jaskrawymi. — Można też było pisać o wszystkim, rąbiąc bez pardonu na prawo i lewo. Sypały się więc, jak z rogu obfitości, programy polityczne, plany państwowe, rezolucje, listy otwarte i t. p. Rzecz zresztą bardzo naturalna w czasie takiego przewrotu politycznego. Z nowych pism ukazały się: „Dziennik Narodowy“ (Kijów—organ endecji), „Gazeta Narodowa“ (Kijów—organ Centrali demokratycznej, który jeszcze w listopadzie uległ zwinięciu z powodu braku środków), „Polskie Siły Zbrojne“ (tygodnik, wychodzący w Petersburgu — organ urzędowy Naczelnego Polskiego Komitetu Wojskowego, zamieszczający wszystkie uchwały, odezwy, i wiadomości z życia polskich organizacji wojskowych), wymienionych już w rozdziale o pracy kulturalno-oświatowej „Polski Przewodnik Oświatowy“, „Przewodnik kółek rolniczych i spółek na Rusi“ (Kijów — redaktor ks. W. Kalinowski — pismo poświęcone sprawom prawnokościelnym), „Tygodnik kresowy“ (pismo bezpartyjne, wychodzące w Żytomierzu pod redakcją Kaz. Rosinkiewicza), „Nasz Świat“ (Kijów — pismo dla młodzieży), „Polski miesięcznik lekarski“ i „Robotnik polski“.

W Kijowie również została utworzona w 1916 roku

instytucja bibliograficzna „Skarbiec druków polskich“, na czele której stali: A. Drogoszewski, L. hr. Grocholski, L. Janowski, St. Kalinowski, J. Kamiński, E. Paszkowski, Fr. hr. Potocki, L. Radziejowski, ks. F. Sznarbachowski i J. Wierzejski. Zadaniem „Skarbca“ jest zbieranie wszystkich wydawnictw książkowych i druków ulotnych polskich i obcych, które ukazały się po za wschodnim frontem. Drugie i trzecie egzemplarze będą wyjęte ze „Skarbca“ i przeznaczone dla Biblioteki Jagiellońskiej i Ossolineum we Lwowie.

Z wydawnictw książkowych w 1917 r. nieliczne tylko utkwily mi w pamięci, spis ich podaję w przypiskach pod № 17.

Bardzo pięknym, iście sielskim i słowiańskim, jest nowy zbiór poezji Bronisławy Ostrowskiej p. t. „Z raptularza“ — większość wierszy w nim jest pisana doskonałemi sekstynami i oktawami, których ostatnie dwuwiersze mają na ostatnie stopy trzygłoskowe. W książce tej odbiła się cała nędza i tęsknota tułaczki na wygnaniu.

Polskie Koło naukowe w Moskwie wydało „Analizę“ prof. Wacława Sierpińskiego i rozprawy prof. B. Dybowskiego, dr. Leśniewskiego, K. Jantzena.

Jerzy Bandrowski wydał nakładem własnym u Wł. Karpińskiego w Kijowie książkę p. t. „Biały lew“. — Książka ta opowiada o dziejach narodu czeskiego w obecnej wojnie, a głównie o tworzących się ciągle nowych pułkach czeskich w armji rosyjskiej. Jest to pierwsza książka polska na emigracji, wnikająca głęboko w psychikę i historję narodu czeskiego.

Młody poeta kijowski Eugienjusz Popoif wydał mały poemat p. t. „Jaskółki“. Rzecz, napisana dobrym dźwięcznym wierszem, przedstawia historję polskich dzieci wygnańczych, które chcą umieścić w klasztorze prawosławnym. Dziećmi opiekuje się ksiądz, który broni swych

wychowawców ze wszystkich sił. Wszyscy wymawiają mu mieszkania, tak że dzieci pozostają bez przytułku i powoli umierają. Dopiero, gdy dziesięć trumienek odprowadza ksiądz na cmentarz, budzi się litość w sercach rosjan-sąsiadów. Litość jednak nie może już wrócić do życia małych zmarłych tułaczy. Poemat jest osnuty na prawdziwym zdarzeniu.

Leopold Staff i w 1917 r. wydał zbiór poezji u L. Idzikowskiego p. t., „Tęcza łez i krwi“, o której jednak nie mogę nic powiedzieć, gdyż, wysłana do mnie na front, zaginęła po drodze. Prawdopodobnie przydała się towarzyszom-bolszewikom na papierosy.

W roku 1917 powstała nowa firma księgarska Wł. Karpińskiego. Najwięcej drukowano podręczników i książek dla młodzieży.

---

## VI.

Rewolucja rosyjska wyzwoliła emigrację oraz polaków stale żyjących w Rosji z ciężkich oków caratu i dała nam nareszcie swobodę ruchów. Olbrzymią ekspansję twórczą narodu naszego nie spowodowała jednak, jak to sobie ogólnie tłumaczono, jakaś przychylność rewolucyjna dla nas. Bynajmniej... W oczach socjalistów-rewolucionistów, dzierżących, choć słabo, ster państwa w dłoni, byliśmy zawsze „zacofańcami“, zuchwałą kropelką w morzu rewolucyjnym, myślącą i działającą więcej dla swojej Polski, niż dla odrodzenia całej ludzkości, którą rewolucja rosyjska zbawić dopiero miała. Czynnikiem, który na nieskrępowaną działalność naszą wpłynął tak dodatnio, był raczej chaos wszechrosyjski. Gdzie już nie dwóch, a miliony się kłóca, tam chyba emigracja może skorzystać. Wszystkie rewolucyjne, a przeciwko nam skierowane postanowienia, były papierowemi — wykonać ich nie było komu.

Swoboda, wywołana tym stanem rzeczy, wpłynęła przede wszystkim na prasę kulturalno-oświatową. Wszystkie jej, warzone dotąd mrozem caratu, gałęzie wypuściły obecnie przebogate w kwiat pędy, pnące się z dniem każdym coraz to silniej do słońca. O gdybyśmy byli mogli tyle uczynić na wszystkich innych polach pracy narodowej, ileśmy uczynili na niwie oświaty! A można było...

„Gdzie się dwóch w imię moje zgromadzi, tam ja

jestem z wami“ — powiada Ewangelja. Można było to zastosować i do pracy kulturalno-oświatowej w okresie Wielkiej Emigracji. Gdzie tylko na olbrzymich przestrzeniach Rosji zebrała się garstka polaków, tam przynajmniej szkółka i czytelnia powstać musiały. Ofiarność była wprost zadziwiająca. Jako skromny przykład przytoczę kilka cyfr kijowskich. W roku 1916 składki miesięczne Tow. Pomocy Ofiarom wojny wynosiły 27000 rb. Dla Dzieci Narodu Polskiego w ciągu lat dwóch zebrano 90000 rb. Kapitał szkolny od lipca 1916 r. do września 1917 r. dorósł do 130000 rb. Macierz Szkolna na Rusi zebrała od lipca do września 1917 r. 84000 rb.

Organizacje kulturalno-oświatowe w głębi Rosji, (mniej w Petersburgu i Moskwie) pomimo prędkiego rozwoju, mają charakter przeważnie efemeryczny. Tworzyli je wygnańcy a, tworząc wzrok tęskny, mieli go zwrócony w stronę kraju. Wszyscy powrócą, a praca ich mało na miejscu pozostawi śladów, choć do skarbnicy naszej przybędzie jeden jeszcze dokument dzielności i sprężystości. Inaczej rzecz się ma na Rusi — w Mińszczyźnie i na Ukrainie. Tam dawniejsze korytarze podziemne, którymi kroczyć musieliśmy za caratu, zamieniły się w rozległe placówki ducha polskiego, które, pomimo że przeszła nad nimi dzika burza bolszewizmu, nadal trwać będą. Staną się one silnemi twierdzami zagrożonej obecnie na Rusi, szczególnie na Ukrainie, polskości. Jak już niejednokrotnie na stronicach książki tej powtarzałem, tak i teraz powtórzyć muszę, iż tylko o życiu na Ukrainie, gdzie głównie przebywałem, mówić będę, z lekka tylko o pozostałe terytorja Wielkiej Emigracji potrącając.

Kijów, Żytomierz i Winnica były głównemi środowiskami naszemi. Tu odbywały się wszystkie nasze zebrania i zjazdy, stamtąd rozbiegały się na wieś odezwy, książki i czasopisma.

Kijów szczególnie robił często wrażenie miasta nawpół polskiego, choć był stolicą Ukrainy.

Niezapomniane będzie na wieki wieków dla każdego serca polskiego uroczyste otwarcie **Polskiego Kolegium Uniwersyteckiego** — najwyższej uczelni na kresach. Praca Czackiego nie poszła na marne — nawiązała się na nowo przerwana nić tradycji. Inauguracja odbyła się dn. 29 września 1917 r. o godz. 5-ej po poł. w gmachu na Rylskim zaułku № 10. Oto jak brzmi oryginalny tekst zaproszenia: „Collegii philosophici Polonosum Kijoviensio quod anno proximo conditum et instauratum, nunc autem in maius auctum, cum iuventutem educare et ad humanitatem informare, tum litteras atque artes ingenuas promovere et excolere in votis habet, Rector et Senatus per hasce litteras praesentes, Te, Domine Reverendissime vocant invitantque, ut die vicesima nona die septembris ad horam quartam in aula Collegii solemnia novi anni academici inchoandi una concelebrens scholisque incipiendis adsistere condigneris“. (tłumaczenie patrz przyp. № 14).

Cała inteligencja polska była obecną na uroczystości, a więc przedstawiciele organizacji oświatowych i społecznych, prasy, słuchaczy Kolegium, oraz prezes Polskiego Komitetu Wykonawczego na Rusi Joachim Bartoszewicz, prezes Wydziału Oświaty P. K. W. i Macierzy Polskiej Józefat Andrzejowski, przedstawiciele Tow. Popierania Polskiej Kultury i Nauki na Rusi: Antoni Czerwiński, Leon Pratkowski i Henryk Ułaszyn, wicesekretarz do spraw polskich Sekretarjatu generalnego Mickiewicz, przedstawiciel ukraińskiego Sekretarjatu generalnego do spraw oświaty Zejcew, przedstawiciele duchowieństwa: księża T. Skalski i S. Żukowski, naczelnik oddziału francuskiego przy sztabie kijowskim pułkownik Perlier, przedstawiciele Uniwersytetu św. Włodzimierza w Kijowie, profesorowie Bubnow, Spektorskij, Kuszakiewicz i Fomin.

Prezydowali profesorowie Kolegium z rektorem L. Janowskim i prorektorem B. Szyszkowskim na czele. Po mszy, która się odbyła w kościele św. Aleksandra, zagaił uroczystość przedstawiciel Towarzystwa Popierania Polskiej Kultury i Nauki na Rusi, Franciszek hr. Potocki, który w przemowie swej podkreślił szczególnie znaczenie Kolegium, jako fortecy kultury polskiej i zachodniej na kresach. — Po nim przemawiali prorektor prof. Bohdan Szyszkiewicz (sprawozdanie z działalności Kolegium), rektor prof. L. Jankowski — odczyt p. t. „O oświacie polskiej na Rusi po rozbiorach“, Zajcew, Bartoszewicz, J. Halikowski (przedstawiciel słuchaczy), prof. Talko-Hryncewicz — odczyt p. t. „Kijów i Kultura polska“. Panu Zajcewowi podziękowano na końcu za współudział po ukraińsku, a profesorom Uniwersytetu św. Włodzimierza — po rosyjsku.

Był to historyczny dzień, w dziejach kultury naszej na Rusi... A teraz trochę danych... Kolegium Uniwersyteckie powstało z Wyższych Kursów Naukowych otworzonych w r. 1916. Na pierwszym semestrze było 435 słuchaczy, w tem 76% z kursów. Na powszechnie wykłady uniwersyteckie, których odbyło się 34, uczęszczało 1998 osób. Profesorami byli: J. Bartoszewicz, Aureli Drogoszewski, (literatura) E. Dunikowski, (geologia) St. Grabski, W. Nowodworski, E. Piasecki, Wł. Szumowki i pani Wacława Peretjatkiewiczowa, która wystarała się u urzędu o pozwolenie na założenie tych kursów. Kursy popierała Rada Opiekuńcza, złożona z F. hr. Potockiego, R. hr. Buińskiego, St. Zielińskiego, P. Górskiego, J. Bartoszewicza i K. Wilkoszewskiego. Z profesorów przybyli w ciągu roku: J. Talko-Hryncewicz, L. Janowski, W. Klinger, (język grecki) Jakubanis, (filozofja) C. Białobrzeski, (matematyka) H. Ułaszyn, (jęz. starocerkiewny), J. Abramowiczówna, (fizyka) W. Bylina, dr. St. Nowaczek,

(medycyna) B. Szyszkowski (filozofja przyrody). — Habilitowali się, jako docenci, dr. M. Treter i dr. J. Wilczynski.

Kursy korzystały z subwencji Rady Okręgowej Kijowskiej, Wydziału dochodów niestałych C. K. O., Sekcji szkolnej P. T. P. O. W., Tow. Popierania Kultury i Nauki na Rusi oraz ze składek.

Drugim, równie doniosłym faktem w historii oświaty na kresach było otwarcie roku szkolnego w gimnazjach Towarzystwa popierania szkoły średniej w Kijowie. Towarzystwo to, którego krótka działalność już plon obfity przynieść zdołała, mieści się we własnym gmachu, zakupionym przez grono osób, które jako cel wytknęły sobie ułatwienia polskiej młodzieży na kresach nauki w języku ojczystym. Komitet organizacyjny składał się: z K. Krasickiej, Cecylji Niewiadomskiej i dr. Trzebińskiego — rada pedagogiczna: z Kopytowskiej, Trapszy i Wasilewskiego — konsorcjum właścicieli gmachu: z A. Bukowińskiego, K. Buszczyńskiego, W. Chojeckiego, A. Czerwińskiego, A. Dobrowolskiego, Wł. hr. Dzieduszyńskiego, O. Sobańskiego, hr. Tyszkiewiczowej i Załęskiego.

W Kijowie funkcjonowało 5 szkół średnich: 3 żeńskie, 1 męska i 1 koedukacyjna, a wszystkie cieszyły się wielką frekwencją. Oprócz tych szkół istniały jeszcze kursa gimnazjalne przygotowawcze.

Również i po większych miastach prowincji zakładano w czasie rewolucji jedne za drugimi polskie szkoły średnie. Tak np. 2 września 1917 r. odbyło się w Winnicy otwarcie gimnazjum polskiego. Głównymi inicjatorami byli tam: Zdzisław hr. Grocholski, Dyakowska, ks. Jarosiewicz, ks. Lewiński, J. Ołtarzewski, St. Thomas i Franciszkowa Jaroszyńska.

Żytomierz nie pozostał w tyle po za innymi miastami,

pod względem szkolnictwa polskiego. W Białej Cerkwi i w Antoninach otworzono nowe gimnazja filologiczne — w Berdyczowie tak samo.

Nauczycielstwo organizowało się. Mieliśmy w Kijowie: „Zrzeszenia Nauczycielstwa polskiego“, „Związek nauczycieli szkół średnich“ i „Związek nauczycieli ludowych“. Nie było dnia, aby w jednym z tych stowarzyszeń nie odbył się odczyt. Organizowano lotne kursa, koła samokształcenia, a nawet nauczycielskie kooperatywy żywnościowe.

Charakterystycznym jest fakt, że gdy kijowska rada miejska postanowiła otworzyć szkoły i dla polaków, to okazało się, że w Kijowie nie ma prawie dzieci polskich, któreby nie chodziły do szkoły. Silne rozbudzenie świadomości narodowej w czasie wojny dokonało o wiele więcej, niż najlepiej zorganizowany przymus szkolny. Pęd do nauki polskiej tkwił półświadomie w prześladowanem społeczeństwie naszym na tułaczce.

Nie brakło również szkół fachowych. Tak np. powstały we wrześniu 1917 r., z inicjatywy pedagoga handlowego p. A. Majewskiego, Polskie Kursy Handlowe w Kijowie. Fundusze na otwarcie tej nowej uczelni średniej dał związek zawodowy pracowników biurowych; opiekowała się nią również Macierz Szkolna.

Trudno nie wspomnieć o założeniu nowej uczelni, która ukoronowała poniekąd i uzupełniła całokształt założonych dotychczas na kresach instytucji kulturalno-oświatowych. Jest nią przedsięwzięcie nowe zupełnie w tych stronach, a mianowicie Polska Szkoła Sztuk Pięknych na Rusi. Nareszcie, rozproszone po rosyjskich pracowniach talenty nasze, znalazły polską ostoję. Malarstwo i rzeźbę w nowej szkole prowadzą: W. Galimski, K. Krzyżanowski, L. Kowalski, Z. Stankiewiczówna, W. Drabik, K. Dunin-Markiewicz i T. Marczewski. —Sztuki graficz-

ne wyklada Z. Stankiewiczówna, dekorację i perspektywę W. Drabik, historję sztuki M. Treter, ilustrację i kompozycję T. Marczewski.

Najszerzej rozwinęła się oczywiście ta instytucja, której przypadło w udziale zająć się pracą u podstaw i stworzyć nie istniejące dotychczas zupełnie, szczególnie na wsi, gdzie pędziły tylko swój korsarski żywot rusyfikatorskie szkoły ziemskie i cerkiewne, szkolnictwo elementarne. Instytucją tą stała się Polska Macierz Szkolna na Ruśi, żyjąca aż do wybuchu rewolucji w zatajeniu pod nazwą „Sekcji Szkolnej“. W krótkim przeciągu czasu nie było większego skupienia ludności polskiej, gdzieby jaka filja Macierzy nie działała.

W samym Kijowie utrzymywała Macierz Szkolna następujące instytucje: 1) Żłobek, w którym znajduje się 40 dzieci do lat 5-ciu. 2) Ochrona na Bogoubowskiej—ślusarstwo, introligatorstwo, szewstwo. 3) Ochrona zamiejska „Arkadja“—ogrodnictwo i warsztaty krawieckie, w których pracuje 50 chłopców. 4) Ochrona na Meryngowskiej (dla dziewcząt) — kamasznictwo i introligatorstwo. 5) Ochrona dla dziewcząt na Zjeździe Andrzejewskim, gdzie dziewczęta zarabiają szyciem na własne utrzymanie. 6) To samo na ul. Diechturowskiej — haft i koronkarstwo. 7) Szkoła początkowa na Sołomiencie. 8) na Demijówce. 10) Szpital dziecięcy i infirmerja. — We wszystkich ochronach oprócz rzemiosł prowadzi się po południu nauka przygotowawcza do szkół średnich. Oprócz tego utrzymuje Macierz Kijowska kursa dla nauczycieli z internatami, a ostatnio założyła przy współdziałaniu Związku technicznego, Związku zawodowego pracowników biurowych, handlowych i przemysłowych i Związku robotniczego „Jedność“ podsekcję przemysłowo-techniczną, która natychmiast zainicjowała kursy wieczorne dla robotników metalistów i dla monterów maszyn i narzędzi rolni-

czych. Wreszcie postanowiono założyć kilka innych przemysłowo-technicznych szkół.

To samo, choć na mniejszą skalę, działo się i na prowincji. Działa Macierz szkolna na Podolu z siedzibą w Winnicy, oraz na Wołyniu z siedzibą w Żytomierzu (prezes Biskup Godlewski — sekretarz Weyszenhoff) — patrz przypisek № 15. Ramy książki tej, która nie zajmuje się wszakże wyłącznie szkolnictwem, są zbyt szczupłe, abym przytoczył wszystkie wsie, w których Macierz Szkolna działała. Na chybił trafił przerzucam kilkanaście czasopism, które z za frontu rosyjskiego przewiozłem i oto co wynotowuję: Kurniki — w powiecie winnickim, jedna z pierwszych szkół, Bar na uroczystem otwarciu szkoły miejscowej, dwie jeszcze otworzyć postanowiono. Z Winogródka — otwarcie gimnazjum koedukacyjnego, czterooddziałowej szkoły elementarnej, kursy dla dorosłych i biblioteka. Nowa Uszyca—4-ro klas. szkoła początkowa. Czernichów — dnia 24 września zawiązuje się Macierz Szkolna Czernichowska (patrz przypisek № 15). — Łuck—3-oddziałowa szkoła ludowa i gimnazjum ze wstępną i pierwszą klasą; w szkole ludowej 170 uczni. Równe — szkoła ludowa na 140 dzieci, gimnazjum i Dom Polski. Gniewań—biblioteka i szkoła 4-ro oddziałowa, do której uczęszcza około 300 dzieci. Labyczów, dwie klasy gimnazjalne. Sądzę, że przykłady te wystarczą najzupełniej, aby usprawiedliwić to, co się o gorączkowo prowadzonej akcji oświatowej powiedziało wyżej. —

Organem kierowniczym, możnaby rzec nawpół oficjalnem ministerstwem oświaty zarówno dla emigracji, jak i dla ludności stale na kresach osiadłej, był Wydział oświaty Polskiego Komitetu Wykonawczego na Rusi. Nie cieszył się on jednak popularnością, szczególnie wśród uchodźców z Królestwa, jako instytucja opanowana przez jedną partję polityczną, a mianowicie N. D. co nieraz do

silnych niestety starć doprowadzało. Na szczęście nie odbiło się to zbyt ujemnie na szkolnictwie, a przedewszystkiem nie powinno być terenem walk politycznych. Organem Wydziału Oświatowego był dwutygodnik p. t. „Przewodnik kulturalno-oświatowy“ pod red. p. Jana Korneckiego. Prezesem Wydz. Oświaty był p. Józefat Andrzejowski.

Dotychczas praca kulturalno-oświatowa na Ukrainie, w której główną dźwignią była przedewszystkiem inicjatywa prywatna, odbywała się dość chaotycznie, ponieważ nie miała ogólnoreprezentacyjnego organu ani w rządzie rosyjskim, ani ukraińskim. Młody rząd ukraiński był tak pochłonięty walką polityczną z rządem rosyjskim, a rząd rosyjski, chwając się stale na nogach rozpaczliwymi wysiłkami nad zachowaniem swego autorytetu i uratowaniem armji, że nie stawiał nam żadnych przeszkód w pracy kulturalno-oświatowej. Przeszkodami były dla nas tylko brak środków, oraz szerząca się coraz bardziej anarchja bolszewicka i rozruchy rolne na Ukrainie. Długi okres czasu upłynął na dość umiejętnem zresztą lawirowaniu pomiędzy dwoma rządami.—Wobec tego jednak, że sytuacja taka wieczną być nie mogła, że hegemonję na terytorjum, gdzie pracowaliśmy kulturalnie-oświatowo, musiał nareszcie ktoś osiągnąć i żądać od nas, jako od mniejszości narodowej, chociażby nawet zupełnie autonomicznej, zdania rachunku, coraz to bardziej pchały nas w tym kierunku stworzenia przedstawicielstwa swego. Próbą takiej reprezentacji był I Zjazd polski na Rusi, który ogłosił zaraz 43 uchwały w sprawach oświatowych. Z tego też Zjazdu wyłonił się Wydział Oświatowy. Zasadniczą treścią wspomnianych wyżej uchwał było: Stworzenie jaknajgęstszej sieci szkolnej, — ujednostajnienie wszystkich programów szkolnych — zorganizowanie nowych wydawnictw szkolnych — ujednostajnienie

pisowni — uzyskanie praw państwowych dla szkół polskich prywatnych — skoordynowanie czynności kółek Macierzy — oddanie, pomimo zachowania jaknajszerszej inicjatywy prywatnej, całej akcji kulturalno-oświatowej na Ukrainie w ręce Wydziału Oświaty. Bardzo ważnymi są trzy uchwały, które też przytaczam w całości i w dosłownem brzmieniu:

**Uchwała 15:** Zważywszy, że biblioteki i utensylja naukowe uniwersytetu Wileńskiego, liceum Krzemienieckiego i szeregu klasztorów oraz bibliotek z Galicji zostały przewiezione do uniwersytetu św. Włodzimierza w Kijowie, że uniwersytet Kijowski został założony i podtrzymywany przez królów polskich za czasów Rzeczypospolitej, wobec tego stanowi niezaprzeczoną własność narodu polskiego, iż księgozbiór ten składa się głównie z książek „polonica“, wydanych przed rozbiorem, z których prawie nie korzystają zupełnie siły rosyjskie i młodzież (nb. wiadomo, że książki te są w pokojach na strychu) przeważnie im obca, należy wrócić się do rządu, o zwrot tych bibliotek, zagarniętych nieprawnie narodowi polskiemu. —

**Uchwała 25:** Rozważyć sprawę stosunku do Ukraińców przy otwieraniu szkół elementarnych na wsi.

**Uchwała 26:** Rozważyć dla umożliwienia korzystnej i pożytecznej pracy na terenie ukraińskim sprawę wyłonienia z Tow. Macierzy stałej delegacji, złożonej z pięciu członków dla stałego porozumienia się z „Proświtą“ i Radą ukraińską w sprawach wspólnego zakładania szkół tam, gdzie warunki są temu sprzyjające i wogóle w sprawach ukraińskich, co do których mógłby zajść w przyszłości jakikolwiek konflikt. —

Okólnikiem za Nr. 24, podpisanym przez J. Bartoszewicza, Z. Berezowskiego i J. Andrzejewskiego, Polski Komitet Wykonawczy zawiadomił dnia 9 października 1917 r. wszystkie organizacje oświatowe, że opracowany został

tymczasowy program szkół początkowych na Rusi, instrukcja o zakładaniu szkół oraz regulamin dla rad szkolnych. W ten sposób zostały poczynione pierwsze kroki ku ujednostajnieniu pracy oświatowej.

Ostatecznie ustaliło się efemeryczne dotychczas stanowisko Rady Ukraińskiej. Postawiono na porządku dziennym likwidację dotychczasowego (rosyjskiego) okręgu naukowego... Wówczas to przedstawiciele mniejszości narodowych w Centralnej Radzie Szkolnej (ukraińskiej) złożyli oświadczenia do uchwały, których zasadniczą treścią było, że „sprawy, dotyczące poszczególnych szkół narodowościowych rozstrzygają się przez odpowiedniego komisarza w porozumieniu z Sekretarjatem danej narodowości“.

Szkoły, o których obecnie obszerniej mogę pomówić, ponieważ, jako inicjator i zarządzający, zajmowałem się nimi prawie rok, rozwinęły się bogato w warunkach zupełnie niezwykłych, jakie tylko wojna stworzyć była w stanie. Już sam fakt, iż owe szkoły (elementarne) znajdowały się w odległości 5—15 wiorst po za pierwszą linią okopów rosyjskich i pracowały bez przerwy prawie rok—z początku w sferze działań artylerji oraz ciągłych a dokuczliwych nalotów aeroplanowych, a później w dobie rewolucyjnej w otoczeniu zanarchizowanego rosyjskiego żołdactwa, świadczy o tem, iż sposób organizowania ich oraz ustrój wewnętrzny musiały się bardzo różnić od znanego powszechnie typu.

Zanim zajmiemy się samemi szkołami, musimy się zaznajomić z terenem, na którym były czynne, oraz z charakterem ludności, którą obsługiwały. Są to dwie zasadnicze rzeczy, bez których zorientowanie się byłoby niemożliwym.

Szkoły te znajdowały się w pasie frontowym Woły-

nia, a więc były rozrzucone na przestrzeni mniej więcej dwustowiorstowej. Jeśli się chce teren ów dokładnie sobie uprzytomnić, to należy wykreślić dwie linie. Pierwszą będzie linia okopów odcinka wołyńskiego, drugą linia łamana, którą przeprowadzimy, zaczynając od północy w sposób następujący: Maniewicze—Kołki—Rożyszcze—Łuck — Krzemieniec — Brody. Przestrzeń pomiędzy temi dwiema linjami jest właściwie tym pasem frontowym, o którym była wyżej mowa.

Pas ów od września 1915 r. do czerwca 1916 znajdował się w posiadaniu wojsk austriackich. Rosjanie część jednak tylko ludności zdołali uwieźć ze sobą, a gdy po brusiłowskiej ofensywie terytorjum to powtórnie wróciło do Rosjan, stosunki ludności okazały się zupełnie zmienionymi. Wyjechali mianowicie za wojskami austriackimi Niemcy-koloniści, a miejsce ich zajęła nowa ludność wygnańcza z promienia mniej więcej 20-to wiorstowego. A więc z chwilą rozpoczęcia się walk pozycyjnych w pomienionym pasie, znalazła się ludność stała plus ludność wygnańcza.

Ponieważ przez długi czas niosłem, jako zarządzający punktami żywnościowymi, pomoc tej ludności, więc z urzędu musiałem przeprowadzić dokładną statystykę, która wykazała, iż w pasie tym znajdowało się wtedy do 35% ludności polskiej. Rejon Kołki — Maniewicze 20 — 35%, rejon łucki 20 — 30%, rejon Krzemieniec — Brody 15 — 20%. Obliczenia moje wykazały również, iż każda rodzina polska ma przeciętnie czworo dzieci.

Stosunki żywnościowe i higieniczne były wprost oplakane. Wszystko zapchane wojskiem, trzy czwarte chat zburzonych, a w każdej, która ocalała, mieszkało jeszcze, oprócz 2—3 rodzin wygnańczych, 8—10 żołnierzy. Już same te dane pozwalają wyciągać odpowiednie wnioski, co do stanu moralnego zarówno osiadłej jak i wygnań-

czej ludności. Najsilniej odbiło się to na umysłach młodocianych.

Do chwili wybuchu wojny, szkoły polskie elementarne nie istniały w tych miejscach zupełnie. Rząd rosyjski uważał, że Polaków tam nie ma. Dość nieliczne szkoły ziemskie pracowały usilnie nad rusyfikacją. Zaledwie w niektórych miastach i dworach istniały szkółki tajne, z których ludność korzystała bardzo mało. W czasie wojny funkcjonowały tu t. zw. szkoły-ogniska (t. j. szkoły, dające, prócz nauki, utrzymanie i mieszkanie) dla dzieci ludności zrujnowanej wojną. Miały one z początku raczej charakter punktów żywnościowych, a jeśli ich wpływ rusyfikatorski był niewielki, to tylko dzięki niskiemu poziomowi kulturalnemu pseudonauczycielek, rekrutujących się przeważnie z sióstr miłosierdzia. Wszystkie te szkoły należały do Wszechrosyjskiego Związku Ziemstw i długi czas nosiły charakter lotny. Dopiero w 1916 r., gdy front się ustalił, otworzono przy zarządzie głównym pododdział pomocy dzieciom, gdzie pracowało już kolegium pedagogiczne. Potrzeb polskich nie uwzględniano, przynajmniej tu, na południowo-zachodnim froncie rosyjskim, zupełnie. Dopiero po wybuchu rewolucji, gdy słowa i uczynki polskie przestały być uważane za przestępstwo, zebrałem ludność polską na swoim punkcie żywnościowym i, objaśniwszy im sytuację, jaka się dla nas wytworzyła, nakłoniłem ich do tego, aby natychmiast zażądali od Wszechrosyjskiego Związku Ziemstw, jako od organizacji obsługującej ludność, która ucierpiała od działań wojennych, chociażby jednej szkoły-ogniska o charakterze wyłącznie polskim. Rezolucję, którąśmy z tego ad hoc zorganizowanego wiecu wynieśli, spisałem w formie podania i wniosłem na jedno z zebrań rejonowych Wszechros. Związku Ziemstw. Po długich a usilnych zabiegach pozwolono mi nareszcie zorganizować taką jedną szkołę-ognisko na kolonii Ludwi-

kwie, o sześć wiorst od pozycji. Później dopiero, gdy tę pierwszą szkołę puściłem w ruch i gdy ludność polska zaczęła sobie coraz to wyraźniej uświadamiać swoje prawa, przeforsowałem pozwolenie na otwarcie dwóch jeszcze szkół w Nieświeżu i w Skurem. Zaledwie ukończyliśmy urządzenie tych dwóch nowych szkół, gdy nastąpił, po klęsce tarnopolskiej—w drugiej połowie lipca 1917 r., rozkaz wyewakuowania z frontu wszystkich instytucji Wszechros. Związku Ziemstw, wobec spodziewanego odwrotu armji. Personel nauczycielski, żona ma, która cały czas pomagała mi w pracy, i ja postanowiliśmy pozostać na miejscu, a oddawszy szkołę pod opiekę ludności polskiej, która nie myślała nawet o ucieczce, pracować dalej na własne ryzyko. Tak też uczyniliśmy. Trzy tygodnie siedzieliśmy na miejscach, odcięci od naszego zarządu i kasy żywnościowej, pozbawieni koni, wozów oraz pieniędzy, gdyż wszystkim nie zdołano wypłacić pensji. Wtedy też doszedłem do wniosku, że szkoły owe mogą istnieć przy pomocy ludności samej, bez poparcia finansowego ze strony jakiegokolwiek organizacji — oczywiście bez karmienia dzieci i internatów, jako szkoły czysto wiejskiego typu. Wytrwałość nasza została jednak wynagrodzoną. Armja nie cofnęła się wtedy jeszcze, zarządy i magazyny powróciły, a nam w nagrodę za przetrwanie i ocalenie inwentarza organizacji pozwolono stawiać nowe szkoły według potrzeby. Oczywiście, że wybrany wtedy przez naszych nauczycieli na inspektora oraz inspektora szkół polskich frontu wołyńskiego, nie dałem sobie tego dwa razy powtarzać. W chwili więc, gdy po rocznej prawie działalności opuszczałem front, funkcjonowało tam 12 polskich szkół, utrzymywanych kosztem Wszechrosyjskiego Związku Ziemstw. A mianowicie: szkoła Torczyn-Ludwików 200 dzieci, Nieśwież 230, Skurcza 120, Budki Usickie 50, Hulanki 60, Bryszcze 160,

Marjanówka 150, Taraż 150, Gołdzica 150, Koszyszcze 180, Brody 150, Krzemieniec 200. Razem w 12-tu szkołach pobierało naukę 1,700, a dostawało obiady 1,510 dzieci. Nauczycieli i nauczycielek było 25. Projektowaliśmy jeszcze cztery nowe szkoły, dla których budżet był już ułożony.

Oczywiście, że szkoły owe pozostawiały bardzo wiele do życzenia, główną przyczyną tego była bezpośrednia bliskość frontu, i wielki brak bitnych oddziałów technicznych, spowodowany dezorganizacją armji, a co poza tem idzie niemożnością wprowadzenia najelementarniejszych ulepszeń. Kompletna szkoła-ognisko musiała mieć lokal, składający się z 2 klas, 2 pokoi na internat, 2 pokojków dla nauczycieli, 1 kuchni, 1 pokoiku lub ziemlanki dla służby, stajni dla jednej pary koni i obszernego magazynu na żywność i furaz ewent. małą stodołkę. O tem, aby wszystko to znajdowało się w jednym obejściu, marzyć nawet nie można było. Jedynie szkoła torczyńska odpowiadała tym warunkom. Dwie szkoły mieściły się na zniszczonych przez wojsko plebanjach, jedna w olbrzymiej kuźni, którą trzeba było nakryć dachem, a reszta po chałach. Gdy się pomyśli, że po każdy gwóźdź, po każdą deskę lub rolkę papy trzeba było jeździć po kilkadziesiąt wiorst, a użyć na wydostanie ich całego zasobu podstępu, chytrości i próśb, to łatwo sobie wyobrazić ile energii zużywało się na rzeczy nic wspólnego z pedagogiką nie mające. A prawie zawsze jednocześnie z budowaniem prowadziło się naukę i odżywianie. Jest więc jasnym, że tylko ludzie o silnych nerwach, dobrem zdrowiu i wielkiem zamiłowaniu do pracy nauczycielskiej i społecznej mogli pełnić w tych szkołach obowiązki wychowawców. Płaca wynosiła 225 rb. miesięcznie, mieszkanie i takie produkty, jak chleb, kasza i kartofle. Nauczycielek pracowało niewiele, przeważali jeńcy polacy (głów-

nie legjoniści), których udało się wyciągnąć z obozów i jako jeńców cywilnych na własną odpowiedzialność przemyścić na front.

Normy odżywiania dzieci, ustanowione przez ostatnie zebranie pedagogiczno-lekarskie Wszechros. Związku Ziemstw, były następujące. Jedno dziecko otrzymuje dziennie:  $1\frac{1}{2}$  f. chleba,  $\frac{1}{2}$  f. kartofli lub suszonych jarzyn,  $\frac{1}{8}$  f. kaszy,  $\frac{1}{8}$  f. tłuszczu (słonina, sadło lub olej słonecznikowy),  $\frac{1}{8}$  f. konserw mięsnych (2 razy na tydzień),  $\frac{1}{8}$  f. cukru,  $\frac{1}{4}$  f. herbaty (miesięcznie) z odpowiednią ilością mleka (w proszku). Jako dodatki mieliśmy mąkę białą, makaron, zupę grochową w konserwach, galety pszenne, suszone ryby, suszone grzyby — niezawsze jednak można je było dostać. Normy te tyczyły się tylko tych dzieci, które otrzymywały całodzienne utrzymanie (np. mieszkańcy internatów) — przeważnie zaś dostawały tylko obiad, na który przypadała 3-cia część wymienionej wyżej normy. Produkty dostarczały składy Wszechros. Związku Ziemstw i intendentura. Aprowizacja była bardzo utrudnioną z powodu złego stanu dróg i braku odpowiedniego transportu. Koniec końcem jednak udało mi się doprowadzić szkoły do tego stanu, że każda z nich była zaopatrzona stale w najbardziej podstawowe produkty na dwa miesiące naprzód.

Internaty istniały tylko przy czterech szkołach: w Torczynie, Nieświeżu, Koszyszczach i Marjanówce. Istnienie ich było koniecznością nie ze względu na nędzę, panującą wśród ludności, gdyż ludność polska cieszyła się na froncie względny dobrobytem, lecz ze względu na to, że szkoły nasze były zrzadka tylko rozsiane i dzieci przychodziły nieraz z odległości 6—12 wiorst. Takim więc trzeba było dać mieszkanie i zupełne utrzymanie. Z zasady nie utrzymywało się w tych internatach więcej nad 30 dzieci (15 chłopców i 15 dziewczynek) ze względu na

zupelną niemożebność dania dzieciom odpowiednich warunków higienicznych i z obawy przed chorobami, gdyż o utrzymanie stałego lekarza nie można się było doprosić. Dorażnej pomocy lekarskiej udzielał zwykle jakiś przygodny lekarz z sąsiadującego zazwyczaj sztabu, pułku, dywizji lub korpusu, a oprócz tego każda szkoła była zaopatrzona w niewielką apteczkę. Internaty były urządzone jaknajskromniej, oprócz 15 łózek w każdym pokoju, stolika i 3 umywalni nic więcej tam się nie znajdowało. Każde dziecko otrzymywało łóżko, siennik, koc lub kołdrę podszytą, prześcieradło, powłoczkę napchaną sianem i ręcznik. Bieliznę pościelową zmieniano się dwa razy na miesiąc. Porządki utrzymywały same dzieci przy pomocy dyżurnych, których również samodzielnie, co trzy dni wybierały. Wogóle dzieci obsługiwały same swoją szkołę, a więc rąbały drwa, paliły w piecach, zamiatały, szorowały podłogi i ławki oraz usługiwały sobie kolejno w czasie jedzenia. W kuchni znajdowało się stale kilka dziewczynek, które pomagały kucharkom i same przy tem uczyły się gotować.

Nauka elementarna odbywała się według planu zatwierdzonego przez Polską Macierz Szkolną na Rusi. Podział nauk był czterogrupowy, stosownie do postępów czynionych przez pewną grupę dzieci. Przeważnie mieliśmy 2 i 3 grupy. Nauka trwała cztery godziny dziennie od 8-mej do 12-tej przed poł., obiad trwał 1 godzinę, a dwie godziny od 2-ej do 4-ej poświęcano rzemiosłu i robotom ręcznym, śpiewom i gimnastyce. Wszystkich przedmiotów, prócz nauki czytania, pisania, gramatyki i arytmetyki, udzielano w formie pogadank. Zajęciami praktycznymi były: stolarstwo (udzielał go zwykle specjalnie wynajmowany majster), blacharstwo, koszykarstwo, haft i szycie. Dzieci młodsze od 7-miu do 10 lat zajmowano robotami freblowskimi, starając się przedewszystkiem

wpłynąć na rozwinięcie zmysłu dekoracyjnego. Książki, zeszyty, ołówki i t. p. materiały szkolne kupowało się również na rachunek Wszechros. Związku Ziemstw, a z jego składu pedagogicznego w Kijowie dostawaliśmy narzędzia rzemieślnicze, nici, igły, bawełnę, płótno i t. p. Każda szkoła miała swój oddzielny rachunek w centrali. Najwięcej kłopotu sprawiały książki — nigdy prawie nie można ich było nabyć w odpowiedniej ilości. Zapotrzebowanie było olbrzymie, a nakłady małe. Z Kijowa dostarczał książek szkolnych głównie Idzikowski i Gieryn, oprócz tego kupowaliśmy podręczniki wydane przez Radę Zjazdów. Oto mały spis używanych u nas najczęściej książek. Elementarz — Sochy, Zadania arytmetyczne — Sochy, Pierwsze i drugie czytanki — Cecylji Niewiadomskiej, Geografja — Nałkowskiej, Katechizm — księdza Naskręckiego. Resztę podręczników, szczególnie tych, które służyły za materiał do pogadanek, kompletowaliśmy dowolnie. Z ogromnemi trudnościami dostaliśmy papieru i zeszytów, których cena w styczniu 1917 roku doszła do 30 kop. (za 8-mio kartkowy), ani razu jednak nie zdarzyło się, aby dzieci nie miały na czem pisać. Każdy oddział szkolny, stanowiąc grupę 4 do 6 szkół, miał swą małą, lotną biblioteczkę dla młodzieży.

Ustrój szkół był następujący. Na czele każdej szkoły stała zarządzająca; zadaniem jej było prowadzenie całego gospodarstwa szkolnego, prowadzenie rachunków (sprawozdania, oprócz stale prowadzonych książek, zdawano co miesiąc)—na niej też ciążyła odpowiedzialność za cały inwentarz szkolny (książki, kuchnia, skład i stajnia). Zarządzająca szkołą musiała jednak być pedagogiem i uczyć przez jedną lub dwie godziny dziennie, narówni z innemi nauczycielkami. Nie należało do niej wszakże kierownictwo pedagogiczne — pod względem pedagogicznym nauczyciele lub nauczycielki zależały tylko od zarządzającej

go oddziałem szkolnym (4 do 6-ciu szkół), który był odpowiedzialny jako administrator i pedagog przed inspektorem szkolnym. Na zarządzającym oddziałem ciążył obowiązek zaopatrywania na czas ze składów lub przez odpowiednie zakupy całej grupy swych szkół, a oprócz tego musiał prowadzić stale jedną szkołę. Miał to być rodzaj szkoły wzorowej, w której każda przyjeżdżająca świeżo na front siła pedagogiczna powinna się była zatrzymać przez pewien czas, celem poznania pracy w tak odmiennych warunkach, jakimi różnił się front od tyłów. Zarządzający oddziałami musieli zdawać ze wszystkiego sprawę inspektorowi, który też był zarazem inspektorem pedagogicznym i członkiem kolegium pedagogicznego w oddziale pomocy dzieciom w Kijowie. Zarządzający oddziałami byli wybierani przez nauczycieli jednej grupy szkół, a inspektor przez wszystkich nauczycieli pracujących w szkołach frontowych. Inspektoraty, reprezentowany w Oddziale Pomocy Dzieciom, który zakładał ogniska dla dzieci rosyjskich, ukraińskich, polskich, a w ostatnich czasach i żydowskich, były narodowościowe. Do sposobu prowadzenia szkół i kierunku nie miał się prawa nikt wtrącać. — Szkoły elementarne polskie, utrzymywane na froncie przez Wszechros. Zw. Ziemstw, rządziły się więc zupełnie autonomicznie.

Z powodu ogromnego braku sił nauczycielskich, dalekimi były szkoły nasze od doskonałości. Już pierwszy zasadniczy warunek, że na 50 dzieci powinna być jedna siła, nigdy wypełnionym być nie mógł. Wszyscy byli przeciążeni pracą, tembardziej że szkoły te działały i przez lato. Ja sam, na przykład, będąc inspektorem frontu, byłem jednocześnie zarządzającym oddziałem szkół w powiecie, na posiedzenia kolegium pedagogicznego do Kijowa robiłem jakieś 300 wiorst końmi na tydzień, objeżdżając pojedyncze szkoły, szczególnie w czasie awantur bolszewic-

kich, gdy niemal każda szkoła wzywała mnie bez przerwy.

Szkoły te, choć rozrzucone tak rzadko, promieniowały na duże odległości, ludność polska przyjęła je bardzo życzliwie i wspierała wszystkimi siłami. Już to, że w miejscowościach, gdzie wskutek nader trudnych warunków wywołanych wojną, pracowały normalnie szkoły, stało się pobudką do próśb o nowe (nie było dnia szczególnie w lecie) żeby jaka polska wieś lub zaścianek nie przysyłały do mnie swych delegatów oraz do jaknajszerszej inicjatywy prywatnej. Mnóstwo szkół otworzyli i utrzymywali sami włościanie, prosząc tylko o pomoc w znalezieniu sił nauczycielskich i książek po możliwie tanich cenach. — Udzielaliśmy chętnie rady i pomocy, tembardziej że w każdej szkole odbywały się co niedziela zebrania włościańskie i żołnierzy ze Związków Wojskowych Polaków, przeplatane małymi odczytami. Tarć pomiędzy włościanami polskimi a nauczycielstwem nie było zupełnie, choć należało się tego spodziewać w miejscowościach, gdzie już od tylu lat żadna szkoła polska nie funkcjonowała. Przeciwnie, w czasie najgorętszych rozruchów bolszewickich, ludność opiekowała się nami troskliwie. Pracowaliśmy przytem w ścisłym kontakcie z polskimi organizacjami oświatowymi. Szkoły nasze były reprezentowane przez swych zarządzających lub inspektora w najbliższem na tyłach Kole Macierzy Szkolnej, która posyłała od czasu do czasu swych wizytatorów. W ten sposób podnieśliśmy jeszcze bardziej naszą niezawisłość autonomiczną i oddaliśmy się pod kontrolę własnego społeczeństwa.

Wiedząc, że, wobec wzrastającej anarchji, dni Wszechrosyjskiego Związku Ziemstw, który nam dawał środki, są policzone, wskazywały na to zresztą coraz to częstsze zaległości w wypłatach, założyło się przy każdej szkole

fundusz szkolny. A więc, pomimo, iż włościanie wiedzieli, że szkoła jest bezpłatna, płacili z całą świadomością na ręce wybranych przez siebie skarbników po 2-3 rb. miesięcznie od dziecka. W ten sposób uciulało się w każdej szkole trochę grosza, który powinien był wystarczyć na czas przejściowy, krytyczny, aż do chwili, gdy własne nasze społeczeństwo nie przyjdzie z pomocą.

W tym stanie pozostawiłem też szkoły, w które wkładałem wraz z gronem dzielnych, a oddanych sprawie ludzi cały swój zasób energii od chwili wybuchu rewolucji. Co się z niemi dzieje w chwili obecnej—nie wiem—mam jednak to mocne przekonanie, że praca nasza, aczkolwiek tak bardzo niedoskonała, nie może pójść na marne. Przy najmniej przez rok, 1.700 dzieci polskich w wieku od 7 do 17 lat, pobierało naukę i otrzymywało pożywienie. Serdeczne podziękowanie składam wszystkim swoim współpracownikom i współpracowniczkom, którzy tak dzielnie trwali na stanowisku, chociaż nieraz widmo śmierci w postaci rozjuszonego żołdactwa rosyjskiego zaglądało im w oczy.

Zakończając ten niniejszy rozdział, muszę dodać, że właśnie na emigracji okazało się wyraźnie, iż praca kulturalno-oświatowa jest tym terenem, na którym jednostki ze wszystkich partji politycznych spotkać się mogą. Cóż z tego, że Macierz Szkolna była opanowana całkowicie przez endecję, że nieraz na tle szkolnictwa powstawały zacięte spory, które potęgowało typowo emigracyjne rozgoryczenie. Włościanin do każdej szkoły byle polskiej i chrześcijańskiej posyłał swe dziecko, a świadomość narodowa rosła i promieniała pomimo wszelkich różnic w poglądach.

## VII.

Pamiętam zimę 1915-go roku — roku tułaczki pierwszego. Było to w Kurhanie, w tobolskiej gub. Mały, wymizerowany chłopak z polskiej szkółki wygnańczej zapytał mnie: „Proszę pana, gdzie to ta Polska?”

Pokazałem mu na południo-zachód...

Staął i patrzył. Kilkoro dzieciaków przyłączyło się doń i długo w milczeniu wpatrywali się w coś, choć roztaczał się tylko przed nami oślepiająco — biały step.

Jeszcze boleśniej wspominam jednak wyiskrzone gwiazdami letnie noce... Wychodzi się z dusznej chałupy i patrzy przed siebie — niewidzialna siła zmusza do spoglądania w jednym kierunku. — Siłą tą nie jest ani terkotanie karabinu maszynowego, ani krótkie iskry pękających od czasu czasu szrapneli, ani szeregi rakiet, wytryskujących nagle, jak biało świecące, pozbawione łożdyg, kwiaty. O nie, do tego przywykło się już oddawna — tego się więcej nie widzi. Tą siłą są trzy lata tułactwa, trzy lata poniewierki, trzy lata tęsknoty. Za plecami zionie przeraźliwą pustką barbarzyńska przestrzeń, a przed nami, hen, na zachodzie, wytęskniona i wymarżona w gorączce tułaczey, ziemia obiecana, Polska! — zmartwychwstająca, wolna i niepodległa. Polska, gdzie tysiące polskich pracowników znosi w pocie czoła cegłę za cegłą na fundament silnego, nowego państwa... I drży

serce, z bólu pięści zaciskają się bezsilnie, że jest się **tu**. Człowiek czuje się dezertorem Sprawy.

Tak myślała i tęskniła lwia część emigracji polskiej w Rosji. Tęsknotą nasycone było powietrze, którem oddychała emigracja. Ludzie naprawdę **umierali** z tęsknoty — znam dziesiątki takich faktów. Lecz nigdzie, nawet w najgłębszych zakątkach Sybiru, uczucie to nie było tak palące, jak w bezpośrednim sąsiedztwie frontu. Tyśiące projektów snuło się po głowie. Przecież to tak blisko, tuż... tuż...

Od chwili wybuchu rewolucji bolszewickiej, to jest od czasu, gdy armja rosyjska zaczęła masowo opuszczać pozycje, zaczął się instynktowny ruch polskich mas wyгнаńczych w stronę frontu. Wszyscy spodziewali się prędkiego końca tego, w najwyższym stopniu naprężonego ustroju, który zapanował z chwilą stopniowego zawieszania broni w najrozmaitszych punktach frontu, a zakończył się ogółem zawieszeniem broni i rozpoczęciem pertraktacji pokojowych w Brześciu.

Przypuszczano, że albo nastąpi zawarcie pokoju, albo też wojska państw centralnych wkroczą w głąb zanarchizowanego zupełnie kraju. Dziwiono się tylko, że ten ostatni fakt oddawna już nie nastąpił. Wszakże droga w głąb Rosji była wolną. Wojsk mocarstw centralnych oczekiwali wszyscy z upragnieniem. Zgodzonoby się na każdą, najsurowszą nawet władzę, byleby nareszcie zapanował porządek i stan, umożliwiający powrót do rzuconych na wolę Bożą warsztatów pracy.

Powoli zamierały wszelkie objawy normalnego życia. Poczta i telegraf przestawały działać. Prawidłowy ruch kolejowy ustał, a każdy inny sposób lokomocji był połączony z niebezpieczeństwem utraty życia, ze względu na panoszące się na wszystkich drogach bandy rozbójnicze.

A tu trzeba było pracować bez względu na to, co się dookoła działo, z najwyższem skupieniem i wyężeniem, ponieważ każdy nierozważny krok, każda mała pomyłka lub opóźnienie mogły pozbawić nauki 1,700 dzieci, a chleba liczny personel nauczycielski.

Należało lawirować pomiędzy komitetami ukraińskimi i bolszewickimi, a przytem nie spuszczać z oka wszystkich przemian, zachodzących w rozpadającej się machinie Wszechrosyjskiego Związku Ziemst, który dostarczał, jak to z poprzedniego rozdziału wiadomo, wszelkich środków i pomocy materjalnej naszym polskim szkołom elementarnym na froncie wołyńskim. Trzeba było chwytąć, co się da, i jednocześnie myśleć o zabezpieczeniu tych placówek na przyszłość, a na to był konieczny nietylko kontakt z odległem o 100 wiorst Równem, gdzie była siedziba pełnomocnika przy armiji oraz kasa, lecz i z Kijowem, gdzie znajdował się główny komitet Wszechrosyjskiego Związku Ziemstw i kolegjum pedagogiczne, w którego skład, jako naczelny inspektor polskich szkół frontowych, wchodziłem.

Do Równego należało jeździć sześć razy na miesiąc, a do Kijowa przynajmniej dwa. Każda zaś taka jazda była połączona nietylko z niesłychanemi niewygodami, lecz i z niebezpieczeństwem utraty życia.

Dla przykładu opiszę tylko jedną z ostatnich moich podróży, którą odbyłem w styczniu 1918 r.

Najbliższym punktem kolejowym była dla mnie stacja Łuck, odległa o 25 wiorst od miasteczka Torczyna — głównej kwatery mojej. W czasach normalnych jechało się z Łucka, bez przesiadania, przez Równe i Berdyczów, osobowym pociągiem do Kijowa około 12-tu godzin...

Wyjechałem tak wcześnie, że gwiazdy jeszcze świeciły, a ścięta mrozem powłoka błota pękała metalicznie pod naciskiem kół. Trzeba się było śpieszyć, bo mówio-

no mi, że chociaż pociąg odchodzi o jedenastej, o miejsca bardzo trudno. Przez słowo miejsce nie rozumiało się jednak możliwości dojechania do celu w pozycji siedzącej, albo leżącej, jak to może, przyzwyczajony do stosunków europejskich, pasażer wyobraża sobie... Broń Boże! Przez miejsce rozumiało się jedynie możliwość odjazdu. O tem, czy się będzie jechało wewnątrz, czy na zewnątrz wagonu, nie myślało się nawet... Byleby tylko ruszyć w drogę.

Po przybyciu do Łucka zrozumiałem zaraz, że odjazd z tej stacji jest absolutnie niemożliwy. Dworzec i okolica jego przypominały jakiś bezładny, chaotyczny obóz wojskowy. Kilkanaście tysięcy żołnierzy, którzy opuścili front, od kilku dni oczekiwało już tutaj na pociągi. Najszcześniejszymi byli ci, którym się udało ulokować na peronie i obok linii kolejowej, inni zajmowali budynki stacyjne, a jeszcze inni umieścili się na drogach okolicznych i w przylegających do stacji domach. Urządzono się tu, pomimo styczniowej, typowo wołyńskiej, wilgotnej pogody, jak gdyby na stałe. Wszędzie paliły się ogniska, a gdzieś tam porozbijano namioty. Żołnierze, skracając sobie nudy oczekiwania, a jednocześnie i z konieczności, robili wyprawy do miasta, przeważnie w nocy, i rozbijali sklepy żywnościowe. Nad wszystkim unosiło się tysiące ohydnych wykrzykników, zlewających się jakoby w jedno ogromne, plugawe przekleństwo, brzmiące bezustannie w powietrzu. Człowiek patrzył na człowieka, jak wilk, złemi, rozdrażnionemi oczami. Wszystko było przesyczone nienawiścią — jedno słowo wystarczało czasem do wywołania krwawej, kończącej się nieraz śmiercią, bójki. Już sama myśl o tem, że ktoś może wyjechać wcześniej lub, pomimo krótkiego wyczekiwania, obejść olbrzymią kolejkę i dostać się na upragniony peron, wywoływała zaciskanie pięści i zgrzytanie zębami.

Nie były to bowiem pułki, które po wspólnej nara-dzie uchwałyły, że uznają wojnę za skończoną i we względnym chociażby porządku, na skutek jakiegoś tam wezwania, opuszczały pozycję, zabierając ze sobą konie, wozy i broń oraz co cenniejszy inwentarz pułkowy, lecz olbrzymia zbieranina dezertarów z najrozmaitszych od-działów, którzy na własną rękę, nie porozumiewszy się z nikim, uciekali z frontu do domu, lub gdzie oczy ponio-są. Mieli w sobie mniej pewności i wewnętrznego poko-ju, a przez to samo byli bardziej rozdrażnieni, podejrzliwi i niebezpieczni.

Gdy tylko kłosa dymu ukazywała się w oddali nad to-rem kolejowym, cała ta masa zaczynała kipieć, jak mro-wisko, na które wylano ukrop. Gorączkowo chwymano za tobołki i wszyscy najbliżsi szyn rzucali się w stronę zbli-żającego się pociągu. Dławiono się, kopano i bito — nie-jednego rozmiażdżyły koła pociągu. Okaleczeni pozosta-wali na miejscu, nikt się o nich nie troszczył. Jakim spo-sobem wydostawali się z pociągu ci, którzy nim przy-jechali, trudno zrozumieć. Samemu udało mi się kiedyś taka sztuka — zapłaciłem za nią copperszarpem ubranie, lecz kości miałem całe.

Widząc, że o wyjeździe z Łucka koleją mowy nawet być nie może, postanowiłem w jakikolwiek sposób do-stać się do Równego, a stamtąd dalej do Kijowa, jak Bóg da. Na szczęście dowiedziałem się, że w południe odjeżd-ża do Równego automobil ciężarowy po benzynę. Poro-zumiewszy się z szoferem, stawilem się na umówione miejsce. Towarzyszami podróży było pięciu żołnierzy, stary chłop i dwie prostytutki — ładunku żadnego, prócz niewielkiego stosu płótna żaglowego.

„Czortopchajka“, jak tu powszechnie nazywają owe ogromne samochody, porwała się dość lekko z miejsca i, sycząc, trzeszcząc, rycząc oraz wypuszczając z siebie

kłęby dymu, pomknęła na wschód. Dojechaliśmy dość szczęśliwie aż do Klewania, siedząc na jakichś dwóch starych łózkach, które nakryto w poprzek deskami, podrzucani niemilosiernie i zwracając przedewszystkiem pilnie uwagę na to, aby język nie dostał się pomiędzy zęby, gdyż odrazu byłoby po nim. Stary tylko „diadko“, który pierwszy raz w życiu używał podobnego środka lokomocji, żegnał się, dziwił i przeklinał od czasu do czasu diabelski wynalazek, nacierając co miększe, a potłuczone części ciała, czem wywoływał huczne salwy śmiechu.

Może o dwie wiorsty za Klewaniem, szosa biegnie tuż nad długim jarem głębokości jakichś dziesięciu piątr. Była tam kiedyś balustrada z tęgich, dębowych kłoców, lecz chłopstwo i żołnierze rozebrali ją na opał. Szofer nasz trzymał się przeciwległego brzegu szosy, gdyż samochód, ślizgając się po pokrytych lodową skorupą kamieniach, zjeżdżał ciągle w bok tylnymi kołami. Posuwaliśmy się naprzód powoli i w milczeniu, tylko kobiety krzyczały od czasu do czasu ze strachu...

Nagle ujrzelśmy przed sobą kilka fur, naładowanych drwami. Stały spokojnie na miejscu, a żołnierze, siedzący na nich, zdawali się nie słyszeć nawet zbliżania się naszego samochodu, ani sygnałów syreny. Wyminać ich było niepodobna, gdyż groziłoby stanowczo stoczeniem się do jaru. Wozy powinny były zjechać w stronę i przepuścić nas, lecz jakoś nie zanosiło się na to...

Przystanęliśmy na chwilę... Szofer i żołnierze wymyślali woźnicom. Rzuciłem okiem na dno jaru i krew ścięła mi się w żyłach. Dwa potraskane, przewrócone do góry kołami, samochody leżały w głębi, a obok nich jakaś nieruchoma postać ludzka. Byli to prawdopodobnie nasi mniej szczęśliwi poprzednicy...

Szofer i jego towarzysze raz jeszcze zaklęli praw-

dziwie po rosyjsku, samochód cofnął się wstecz, a następnie całą siłą wjechał w pierwszą, zagradzającą nam przejazd, furę, która wraz z krzyczącym nieludzko woźnicą stoczyła się momentalnie w przepaść. Droga była wolna... Co się stało z innymi wozami, nie wiem, gdyż siła uderzenia była tak wielka, że zwaliliśmy się z naszych łóżek na dno samochodu.

Kilka kul przecięło, świszcząc, powietrze — samych wystrzałów jednak nie słyszałem. Automobil pędził z największą szybkością w stronę Równego.

Po kwadransie dopiero szalonej jazdy zrozumiałem z rozmów żołnierzy, iż dostałem się na samochód jakiegoś ukraińskiego komitetu, którego zadaniem było zmylić na innym samochodzie, inną drogą przejazd ukraińskiego komisarza, który miał powracać do Kijowa, a owe wozy na drodze były poprostu zasadzką, urządzoną przez bolszewików, korzystających sprytnie z niebezpiecznej w tym miejscu dla automobili gołoledzi. Samochody, leżące na dnie jaru, były ofiarami podobnej zasadki, urządzonej trzy dni temu.

Dalej jechaliśmy już szczęśliwie — raz tylko trzeba było zatrzymać się i oblewać wodą rozgrzany motor, oraz poprawić pogiętą zupełnie od uderzenia w wóz blachę, osłaniającą go.

Dopiero o pięć wiorst przed Równem z pod budy mijającego nas powoli samochodu sanitarnego posypał się grad kul karabinowych i rewolwerowych. Momentalnie wyciągnęli żołnierze karabiny, ukryte pod płótnem żaglowem i odpalili napastnikom, którzy wciąż strzelając pomknęli dalej.

Dawno już nie widziałem twarzy, wykrzywionych taką nienawiścią, jak u strzelających żołnierzy. Obie prośtutki krzyczały, jak zarzynane zwierzęta.

Był to rewanż za straconą furę... Towarzysze woź-

nicy zdążyli widocznie zatelefonować o naszym automobiliu do miasta i ekspedycja karna wyjechała naprzeciw. Ofiar nie było żadnych. Jeden tylko z żołnierzy został skaleczony w rękę, a drewnianą balustradę samochodu, o którą się opierałem, podziurawiło kilka kul.

Zadowolony z tego, że udało mi się ująć na sucho i ślubując sobie uroczyście, że nigdy więcej nie będę korzystał z okazji, siadając na nieznany automobil, wysiadłem zaraz na przedmieściu i udałem się już pieszo na dworzec kolejowy, mało co różniący się od dworca kolejowego w Łucku. Otaczały go również olbrzymie tłumy. Na dworcu w Równem czekałem siedem godzin, siedząc na jakiejś pacie. Od rana nie miałem nic w ustach, wyjść jednak z dworca obawiałem się, mógł bowiem nadejść oczekiwany przezemnie pociąg. Wszędzie widać było grupki wiecujących żołnierzy, a właściwie słuchających z tępym, zmęczonym wyrazem twarzy przemówienia jednego lub dwóch agitatorów. Pełne nienawiści słowa zdawały się, jak płomienne żmije, przecinać zygzakami atmosferę poczekalni. Niepojętem jest mi dzisiaj po prostu, czem się tam oddychało... Spory zaostrzały się nieraz, wygrażano sobie pięściami, a koło widzów i słuchaczy czekało ze źle ukrywaną radością na to, kiedy przeciwnicy chwycą się za grdyki.

Rozlega się świst parowozu... Fala ludzka rzuca się na dwór i cofa momentalnie... Pociąg, idący do Łucka, w stronę frontu, a więc pusty. — Nikt też i tutaj do niego nie wsiądzie — teraz wszystko ucieka tylko z frontu.

Odrązu zrodził się w głowie mojej chytry podstęp, który, jak się później okazało, był zupełnie do rzeczy i który natychmiast w czyn wprowadziłem. Wsiadłem do próżnego pociągu i pojechałem napowrót do Łucka. W Łucku nie wysiadałem jednak, tylko przeleżałem wraz ze znajomym żołnierzem pięć godzin na jedynej półce,

która ocalała w przedziale drugiej klasy i przepelnionym już zupełnie pociągiem (żołdactwo, jak rój pszczelny, oblepilo dachy i stopnie wagonu) ruszyłem znowu przez Równe do Kijowa. Cała ta podróż, którą w najgorszym razie odbywało się w ciągu czternastu godzin, trwała teraz trzy doby.

Tak działo się mniej więcej w całej Rosji. Jeśli żołnierze nie uciekali z frontu prawdziwego, to jeździli zbrojnemi gromadami na jakiś front wewnętrzny, naznaczając maszyniście samowolnie, pod grozą rozstrzału, kierunek podróży, lub też przewozili w pasażerskich wagonach ogromne wory z mąką z gubernji, w których ona była tańsza, do gubernji t. zw. głodnych. Była to bardzo korzystna spekulacja. Biletów nie kupowano zupełnie... Dziwię się tym kolejarzom, którzy wytrwali na swoich stanowiskach — obchodzono się z nimi wprost nieludzko i często zabijano. Tylko troska o chleb codzienny, lub jakieś ogromne zyski mogły usprawiedliwiać taką wytrwałość. Pomiedzy frontem a Kijowem rzadko kto z osób cywilnych odważył się jeździć w owym czasie i to tylko w możliwie brudnem i łachmianiastem przebraniu żołdackiem, w przeciwnym razie groziło mu jeśli nie zupełne obrabowanie, to przynajmniej zbeszczeszczenie czynne i urąganie ze strony zezwierzęcego tłumu, szczególnie, gdy odkryto, że dany osobnik należy do inteligencji.

Lokomotywy były w okropnym stanie, osie wagonów niesmarowane — często bardzo wynikały pożary. Niejednokrotnie zdarzało się, że kilka wagonów odczepiano gdzieś w szczerem polu i pozostawiano na łaskę losu, ponieważ pękały osie i resory, nie mogąc wytrzymać przeładowania. Szyb nie było — wytłuczono je gruntownie, albowiem ulubionym sposobem dostania się do przepelnionego wagonu było włożenie przez okno, które wybijano karabinem lub plecakiem. Obicia ścian i pokrycia

sukienne siedzeń w pierwszej i drugiej klasie należały do wspomnień z dalekiej przeszłości — żołnierze pozrywali je na odzież dla siebie lub na sprzedaż. Siatki na rzeczy przerwano, ponieważ używano je stale, jako trzecią kondygnację siedzeń, z której z rozbijającą naiwnością spluwano i sypano łupiny słonecznikowe na głowy znajdujących się niżej pasażerów. Potrzeby naturalne załatwiano wprost przez wybite okna, do czego zmuszone były nieraz i kobiety ku jaknajwiększej ucieście żołdactwa, jeśli jakaś nieszczęsna konieczność zmusiła je do jazdy pociągami. Wszystkie albowiem ubikacje tualetowe zamieniono na coupé, rozbiwszy i wyrzuciwszy z nich uprzednio lustra, umywalnie i resztę niezbędnego podczas dłuższych przejazdów fajansu.

Tak szanował i oszczędzał własność swoją lud rosyjski, zrzuciwszy z siebie jarzmo caratu. Jest to, zdaniem mojem, tylko krótki antrakt — oczekiwanie na nowe jarzmo i nową ulepszoną może nahajkę, której upragnienie i niezbędność prawdopodobnie pochodzi jeszcze z czasów tatarskich najazdów i tatarskiej niewoli. Jak elektryczność wyładowująca się po długim, a upalnym dniu, straszliwą piorunami i błyskawicami przetkana burzą, tak wyładował się, podczas owych pamiętnych dni w Rosji, gniew ludu. To co się działo i dzieje obecnie jest nie tyle, jak to sobie liczni wyobrażają, pochodem przeciwko burżuazji i kapitałowi, lecz żywiołowym wybuchem nienawiści ludu przeciwko inteligencji, nauce i kulturze. I chociaż sam i moi najbliżsi ucierpieli na tem, chociaż mi nieraz śmierć zaglądała w oczy, nie mogę się dziwić. Trudno było oczekiwać czego innego w kraju, gdzie prawa istniały tylko dla uprzywilejowanych, a w czasie wielkiej wojny europejskiej sieczono różgami obrońców ojczyzny, na drzwiach zaś niektórych petersburskich, moskiewskich

i kijowskich restauracji wywieszono napisy: „żołnierzom i psom wstęp wzbroniony“. A kto układał prawa? — inteligent. A kto umiał pisać? — inteligent. A kto kazał bić? — inteligent. Tak, a nie inaczej rozumuje ciemna jednostka. Trzeba wierzyć w Nemezys dziejową... Uczy nas tego historia byłego imperjum rosyjskiego.

Powrót mój z Kijowa odbył się w podobnych warunkach — pół drogi spędziłem na stopniu wagonu, podczas ulewnego deszczu, a drugie pół w centralnem ogrzewaniu na końcu korytarza, gdzie staliśmy w sześciu, ściśnięci jak śledzie w beczce. Spaliśmy stojąc. O wyjściu, choćby na chwilę na jakiej stacji mowy nawet być nie mogło, groziłoby to utratą miejsca i rzeczy.

Dwa przykre zajścia miały miejsce podczas tej powrotnej drogi. Pijani żołnierze w sąsiednim wagonie zgwałcili dwie piętnastoletnie dziewczyny, uczennice gimnazjalne. Pastwił się nad nimi cały wagon, tak że obie ofiary, umierające prawie, wyniesiono na którejś stacji, a raczej wyrzucono z wagonu.

Drugim, również wstrząsającym nerwami, zajściem było rozstrzelanie w czystym polu dwóch młodych oficerów. „Odkryto“ ich w jednym z wagonów, a ponieważ któryś z żołnierzy miał z ninj osobiste porachunki, więc urządzono natychmiast w tymże samym wagonie mityng i sąd jednocześnie, który doszedł do wniosku, że Rosję należy „oczyścić“ z inteligencji. Rezolucję natychmiast wprowadzono w czyn, czego dowodem było rozstrzelanie dwóch niewinnych ludzi. Miano obszukać wszystkie wagony i kto wie, czy pisałbym dziś te słowa, gdyby nie to, że kilku bardziej umiarkowanych „towarzyszy“ zaproponowało wstrzymać się z tem do końcowej stacji i skierowało wzburzone egzekucją umysły mityngujących na tory bardziej teoretyczne.

Tak wyglądały podróże po Rosji, które ciągle w in-

teresach szkół frontowych odbywać musiałem. Kilka nawet lat zupełnego wypoczynku i ciszy nie wróci i nie wynagrodzi tych wszystkich ciężkich chwil. Toż, wyjeżdżając, żegnałem się za każdym razem z żoną, jak na śmierć. Trudno mi wypowiedzieć jakie męki niepewności i strasznego niepokoju przechodziliśmy oboje podczas tych ciągłych, a koniecznych chwil rozłąki. Ledwie człowiek powrócił zdrow i cały, ledwie powiedział sobie z westchnieniem ulgi: „no jeszcze raz się udało“, a już w nową musiał się wybierać drogę. Ja wyjeżdżałem, a żona pozostawała z jednym tylko nauczycielem i księdzem w szkole, o dziesięć wiorst od pozycji, pośród rozbestwionego żołdactwa. Co noc podpalano jakąś chatę, nie było nocy, aby kogoś w okolicy nie zamordowano i zrabowano. Z jakąż straszną trwogą powracałem za każdym razem do domu — miałem wrażenie, że serce bije mi gdzieś aż w gardle. Nigdy nie wiedziałem czy szkoły nie zastaną spalonej, a żonę żywą. Gdy tylko w oddali ukazał się kościółek i dach plebanijki, zrywałem się na bryczce i już stojąc dojeżdżałem na miejsce — cała dusza wchodziła zdaje się wtedy w oczy. Był to stan nieustannej męki, do którego przywyknąć i na który zobojętnieć niepodobna. Nie spało się po nocach z ciągłej obawy napadu, a jeśli się spało, to jakimś wyczerpującym półsnem z ręką na karabinie. Biedna, moja kochana Irena — w ciemnych jej młodych włosach pokazały się wtedy pierwsze srebrne nitki.

W podobnym stanie ducha znajdował się prawie cały personel nauczycielski powierzonych mi szkół. Czuję wielki szacunek dla tych dzielnych ludzi, którzy, pomimo wszystko, pracowali wytrwale i pozostali bez szemrania na tych, najbardziej zagrożonych, opuszczonych przez wszystkich, szańcach polskiej kultury, które na niczyją pomoc liczyć nie mogły.

Porzucanie frontu przez armię odbywało się w naszych oczach. Zaczęło się od tego, że niektóre oddziały cofnęły się o kilka wiorst, a nieraz i dalej wstecz, nie opuszczając jednak pasu frontowego, który stał się, dzięki ich obecności, istnem piekłem. Wszelka dyscyplina zanikła zupełnie — dowództwo było obieralne. Pułkownikami zostali analfabeci, a oficerom kazano wozić kuchnie polowe i czyścić konie (uciekali przeważnie za Don, do generała Aleksiejewa). W jednym wielkim lazarecie polowym zdegradowano np. starszego lekarza na sanitariusza, a jeden z felczerów zajął jego miejsce. Pensje otrzymywali już tylko żołnierze i to nieregularnie. Amunicja, broń, telefoniczne aparaty, wozy i automobile wałały się, rzucane w nieładzie na polach. Inwentarz wojskowy, wartości kilkunastu miliardów w samej tylko „osobój armii“, w której obrębie znajdowaliśmy się, marniał bezużytecznie. Np., niedojeżdżając do Łucka, obok szosy, widziałem porzucone dwie nowiutkie baterje, świeżo sprowadzone z Anglii. Całe stosy miedzianych drutów zasypywał śnieg na pustkowiach. Każdy mógł wziąć, co mu się żywnie podobało, zaczynając od karabinu, a kończąc na armacie. Wszyscy chłopci byli uzbrojeni i zaopatrzeni w amunicję — nawet małe dzieciaki bawiły się bronią palną (wypadków było, oczywiście, bez liku). Żołnierze, powracający do domów, również nie oddawali broni, ponieważ komitety bolszewickie wydały dekret, że broń jest własnością każdego żołnierza.

Całą „osobą armję“ ogarnęła jakaś dzika, mająca wszelkie cechy hysterji, choroba, polegająca na manji strzelania na postrach. Strzelano w powietrze, strzelano też prosto przed siebie, nie bacząc na nic i na nikogo. Było to coś podobnego do t. zw. „straszenia się“, które ma zwykle miejsce na pozycjach, podczas nocy, kiedy żołnierz posterunkowy, zdenerwowany czemś, wystrzeli,

a następnie wszyscy, bez żadnej poważnej przyczyny, pomimo gniewnych napominań oficerów, zaczynają strzelać. Tu działo się to samo, tylko w daleko większym stopniu, we dnie i w nocy.

Przez dwa tygodnie cała okolica drżała od ustawicznych wystrzałów. Zaczynało się od dwóch, trzech wystrzałów — ze wszystkich chałup i z ziemlanek wylatywali wtedy żołnierze i strzelali raz po raz z szybkością przechodzącą wprost w jakiś szal — do tego przyłączały się karabiny maszynowe, terkoczące bezustannie, aż wreszcie i pojedyncze armaty zaczynały ryczeć w rozmaitych punktach przez kilkanaście godzin. Żołnierze trzymali się pojedynczemi grupkami, z których każda patrzyła na drugą podejrzliwie z pode łba. Ciągłe spodziewano się jakiejś prowokacji. Bolszewicy oczekiwali napadu Ukraińców i vice versa.

Wszędzie świstało tyle zbłąkanych kul, że poprostu nosa trudno było wychylić z domu. Żona moja i niektóre inne nauczycielki nie opuszczały przeszło miesiąc mieszkania. Szczególnie w nocy ciężkie wrażenie robiła taka panika i burza wystrzałów, budząca nagle z głębokiego snu. Że strzelano, nieraz naumyślnie, pod samemi oknami, to było jeszcze pół biedy, często robili to przez życzliwość kwaterujący u nas żołnierze, dla odstraszenia, jak mówili, rabusiów; gorszem było jednak strzelanie „na światło“. Robiono to, ot tak sobie... dla żartu. Właściciel karabinu ujrzał np. w nocy palące się gdzieś o wiorstę lub dwie światło i celował doń z najzimniejszą krwią. Zwłaszcza, podczas ostatnich świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku nie przestano strzelać a n i n a c h w i l ę. W tymże samym czasie rozpoczął się już ostateczny odwrót armji rosyjskiej z pozycji. Dzień i noc ciągnęły na tyły całe kolumny w bezładzie idącej piechoty i sznury obozów oraz artylerji. Wszystkie drogi były zawaio-

ne najrozmaitszymi przedmiotami i trupami końskimi. Ponieważ podwóz furazu, z powodu zniszczenia kolei żelaznych, ustał zupełnie, więc tylko nieliczne konie, dla których zaoszczędzono dawne zapasy, były w stanie ciągnąć. Resztę pozostawiano na łaskę Opatrzności. Dziwnie smutny był to widok, gdy na ogromnych, bezludnych przestrzeniach snuły się całe gromady wybiedzonych szkieletów końskich, rżących głucho i boleśnie, a szukających zeschniętej trawy pod śniegiem. Nieraz, nad padłym świeżo koniem, stało już bez ruchu, chwiejąc się na nogach, po 5 lub 6 biednych zwierząt, oczekujących tego samego losu. Konia można było kupić w tych czasach za paczkę machorki, ale mało kto, prócz nielicznych spekulantów, troszczył się o to, gdyż nie było co dać do zjedzenia. W okolicach samych Rożyszcz tylko (na półn. zachód od Łucka) padło około 4,000 koni.

Nareszcie pozostały na froncie same tylko niedobitki — pojedyncze bandy, niby to patrole, a niby jakaś milicja polowa, utrzymująca, że zadaniem jej jest przypilnowanie, aby nie naruszono zawieszenia broni. Były to jednak właściwie szajki rozbójnicze, plądrujące okolicznych chłopów i handlujące rumem, nabywanym przez wymianę na mydło, chleb i słoninę u żołnierzy austriackich...

Kryli się oni po najrozmaitszych dziurach około pozycji, która miała teraz wygląd okolicy, nawiedzonej przez silne trzęsienie ziemi. Okopy zapadły się — zagrody z drutu kolczastego były poprzerywane, a ładne nieraz, bardzo starannie budowane ziemlanki, rozebrano na opał. W miejscach, ożywionych dawniej mrowiem żołnierskim, w lasach, gdzie znajdowały się jeszcze dwa miesiące temu liczne kuźnie, warsztaty i obozy, panowała obecnie przeraźliwie martwa cisza. Zwiedzałem te miejsca często, jeżdżąc, przebrany, ze względu na bezpie-

czeństwo, w obszarpane ubranie „towariszcza“, na pozycję przeciwległą, aby się dowiedzieć, czy pozwolą nam nareszcie powrócić do kraju. Powiedziano mi w okopach niemieckich, że wygnańców, powracających do Królestwa, a szczególnie kobiet nie przyjmują i radzono czekać na zawarcie pokoju (było to na jakie dwa tygodnie przed zawarciem pokoju z Ukrainą). Nareszcie, po uporczywych naleganiach, polecono mi napisać prośbę do władz wojskowych niemieckich, zawierającą nasze curriculum vitae, miejsce urodzenia, zamieszkania, przyczyny, skłaniające do powrotu, oraz adres osoby mogącej poręczyć za to, iż mamy wystarczające środki do życia i nie będziemy nikomu ciężarem. Po dziesięciu dniach obiecywano nam dać odpowiedź.

Czekaliśmy więc upragnionej chwili z bijącym sercem. Wkoło srożyła się coraz to większa anarchja. Wyznaczyłem na swoje miejsce zastępcę i starałem się zlikwidować interesa, co, ze względu na trudności komunikacyjne, było rzeczą prawie niewykonalną. Nigdy tęsknota za krajem, za innym, lepszym życiem nie była tak palącą, jak podczas owych długich, męczących dni oczekiwania.

„Nic to“, mówiliśmy sobie. Sam widok tyle lat niewidzianej Ojczyzny wynagrodzi nam wszystko. O, Ty, Matko nasza ukochana, najcięższe, najmarniejsze posługi spełniać Ci będziemy, byle tylko oglądać Twe niebo, Twych ludzi i stopą drogiej dotykać ziemi. Tam, za tą przegrodą rowów strzeleckich i kolczastych drutów, znajdowała się pociecha i wybawienie ze wszystkiego zła.

Jak dzieci, cieszyliśmy się na to, że nie ujrzymy więcej w Warszawie moskiewskich napisów, że znajdziemy się nareszcie pod skrzydłami własnego rządu, że będziemy mieli polskie dokumenty, że nareszcie będziemy mieli

do czynienia ze swoimi tylko urzędnikami, że staniemy się obywatelami Polski, a nie jakimiś, jak dotąd, poddanymi. Śmiała się do nas wolność i wyzwolenie. Och, ujrzeć i zetknąć się nareszcie z tem, o czem tylko marzyć wolno było na obczyźnie.

5-go lutego 1918 r. pojechałem znowu na pozycję, aby się dowiedzieć o rezultacie podania. Zostałem jednak przyłapany w pasie neutralnym przez czterech członków ukraińsko-bolszewickiego komitetu z Chorochorynia (wieś w powiecie łuckim). Oskarżyli mnie o zdradę stanu i zażądali, abym natychmiast udał się z nimi do wsi na sąd. Równało się to wyrokowi śmierci. Najwięcej utkwiała mi w pamięci twarz mego woźnicy, blała, jak płótno.

Oficer niemiecki, który był świadkiem tej sceny, zaproponował mi, abym natychmiast przeszedł do niemieckich okopów. Było to jednak niemożliwe ze względu na to, iż komitet wywarłby całą zemstę na żonie, która w odległym o 10 wiorst Torczynie zarządzała szkołą polską. Postanowiłem więc za wszelką cenę udać się do domu i w nocy dopiero, w innym miejscu, przejść front. Po długich pertraktacjach udało mi się skłonić bolszewików do tego, iż tylko jeden z nich (uzbrojony w siekiere, zbiegły marynarz) pojedzie ze mną do komitetu. Odetchnąłem — zaraz w pierwszym lesie, za pozycją, postanowiłem sobie zastrzelić swego dozorcę i zinykać dalej. Musiał to jednak przeczuc, gdyż po 10-ciu minutach jazdy zeskoczył z bryczki i, zapowiedziawszy, że o 8-ej rano przyjdą do mnie „na sąd“, wrócił do swoich. Pędząc wyciągniętym klusem po rozmaitych polach, przybyliśmy nareszcie do szkoły.

Zlikwidowanie interesów, napisanie listów i spakowanie najniezbędniejszych rzeczy zajęło zaledwie kilka godzin. Straszna to była noc — lada chwila oczekiwaliś-

my zapowiedzianej wizyty... Konie stały zaprzężone w stajni i cieszyły się niezwykle, jak na czas wojny, porcją obroku.

O 4-ej nad ranem wymknęliśmy się pocichu z domu. Dwie wiorsty dzieliły nas tylko od pozycji, gdy z pobliskiego rowu wyskoczyło trzech milicjantów rosyjskich, pytając dokąd jedziemy. Wymieniłem na chybił trafił dom znajomego włościanina; niezręczne kłamstwo moje zadowoliło jednak zupełnie panów bolszewików. Puszczono nas i po 20-tu minutach jazdy byliśmy już przy niemieckim drucie kolczastym. Posterunki, uprzedzone na przestrzeni kilkunastu wiorst o naszej ucieczce, przepuściły nas natychmiast. Oficerowie, oglądający z ciekawością ofiary bolszewizmu, dali nam przytułek. Zaopiekowano się nami bardzo życzliwie i z prawdziwą gościnnością, otaczając wszelkimi możliwymi na pozycjach wygodami. Po raz pierwszy od trzech miesięcy spaliśmy spokojnie, bez niezbędnego karabinu przy łóżku. Śniła się Polska, Warszawa — Zamek królewski...

Następnego dnia wysłano nas dalej. Nastąpił okres kwarantanny, niezbędnych formalności, sprawdzania i wystawiania koniecznych dokumentów, oraz gorączkowa nuda oczekiwania... Nareszcie, po trzech tygodniach, wsiedliśmy do wagonu. Całą noc nie spaliśmy, chcąc ujrzeć, po tylu latach wygnania, naszą wytęsknioną polską wieś, nasze polskie brzozy płaczące. A noc była cicha i księżycowa... Pierwsze promienie wschodzącego słońca oświetliły ukochaną naszą Wisłę — pociąg sunął zwolna przez most, łzy cisnęły się do oczu...

Jesteśmy w domu!

Pociąg staje. Rozlega się wołanie konduktora: „Warschau, Zentralbahnhof!“

. . . . .

Żeśmy myśleli, iż na Twoim brzegu  
kwiatów nie dusi więcej ciężar śniegu,  
żeśmy o Tobie myśleli inaczej,  
to winą naszej tęsknoty tułaczey.

Hen, w stepie głuchym, za śnieżnym Uralem,  
przez łąz otęcze wyciśnięte żalem,  
złotą od łąnów, a obcą niedoli,  
widać krainę, gdzie już nic nie boli —

Jeszcześmy, Wisło, w Twojej szarej fali  
pyłu cudzego z siebie nie splukali,  
jeszcze nas gorzko łąy wygnania pieką,  
a już się nowe cisną pod powieką.

Jak marnotrawne, pełne skruchy, syny,  
(przebacz nam, rzeko, bo któż jest bez winy!)  
wracamy do Cię z wędrówki tułaczey

i ślubujemy w sercach uroczyście,  
czynem i słowem święcić nasze przyjście,  
choć na Twych brzegach inaczej... inaczej..



## PRZYPISY.

### Nr. 1.

Subsydja rządowe, wydawane C. K. O. na cele ratownicze, w miarę wzmagającej się reakcji i nietolerancji politycznej, która na 1—2 lat przed rewolucją dosięgła swego apogeum, obcinano z miesiąca na miesiąc. Do lipca 1916 r. budżet Komitetu Polskiego w Moskwie wynosił 400.000 rb. miesięcznie, którymi nie wszystkie rozchody pokryć był w stanie, wobec zaś zupełnie niedwuznacznych zapowiedzi ograniczeń środków, postanowiono w tym czasie: 1) zamknąć 8, z istniejących dotychczas 24 wydziałów; 2) pozostawić nietkniętymi instytucje opieki nad dziećmi; 3) urządzić tanie kuchnie i zakłady przemysłowo-wytwórcze tak, aby się same mogły opłacać; 4) ewakuować częściowo z Moskwy wygnańców, mieszkających w schroniskach P. K. i pobierających stawnie.

### Nr. 2.

Dnia 2 kwietnia 1917 r. odbyła się narada Wszechrosyjskiego Związku Ziemst i Miast, na której przedstawiciele K. P. i Rady Zjazdów P. T. P. O. W. wystosowali wprost pod adresem organizacji rosyjskich uchwałę, orzekającą, że konieczną jest rzeczą, iżby opiekę nad dziećmi bezdomnymi sprawowały specjalne organizacje tych narodowości, do których dane dzieci należą z pochodzenia; w szczególności zaś dzieci polskie, znajdujące się dotąd w przytuliskach i schroniskach innych organizacji, powinny być bez przeszkód oddane organizacjom polskim. Jest rzeczą bardzo charakterystyczną, iż Zjazd, składający się wszakże z Rosjan liberalów i lewicowców, wniosku do uchwał swoich nie wcielił.

Nr. 3.

Skład oddziału kijowskiego P. T. P. O. W. w 1916 r. był następujący: prezes Roman hr. Bniński, wice-prezes S. Horwatt, skarbnik Więckowski, Jenirski, Kimajer, K. Rzaśnicki i Pratkowski.

Nr. 4.

Organizacja Wewnętrzna C. K. O. w 1916 roku. Członków 31. Zarząd główny (ciało kierownicze) stanowili: Pełnomocnik główny Władysław Grabski; zastępca pełnomocnika Stan. Leśniowski, bar. Leop. Kronenberg, Eustachy Dubiecki, Franciszek Nowodworski, Stan. Glezmer i pełnomocnicy szczególni: Marjan Lutostawski, poseł Jerzy Gościcki, bar. Józef Dangel, Adolf Świda, Joachim Geller, Stan. Wojciechowski, Paweł Górski, Władysław Gutowski, ks. Czetwertyński, Wacław Paszkowski i poseł Jan Harusewicz. Zarząd Główny zbierał się stale dwa razy na tydzień. Przedstawicielami interesów Komitetu w Naradzie Szczególnej do spraw wygnańców przy ministrze spraw wewnętrznych byli: Grabski, ks. Czetwertyński, Leśniowski, Paszkowski. W Komitecie księżniczki Tatjany Mikołajówny ś. p. Stan Glezmer i hr. Wład. Wielopolski. Zarząd Główny rozesłał do grudnia 1916 r. 108 okólników. Działalność C. K. O. rozciągała się na całą Rosję Europejską i część Azjatyckiej i miała, jako organa wykonawcze, 7 zarządów rejonowych. Na czele zarządów rejonowych stało 53 pełnomocników i ich zastępców oraz 455 instruktorów i 2205 przewodników. W biurach oddziałów C. K. O. pracowało 368 osób. Pracowników honorowych było 125. W pierwszej połowie 1916 r. skończyła się praca organizacyjna C. K. O., a w dniu 4 października skasowano zarządy rejonowe i cała odpowiedzialność spadła na pełnomocników okręgowych. Kierownikami i stałymi członkami, wydelegowanymi do Piotrogradu, byli: M. Lutostawski — kierownik Wydziału Oświaty, bar. Józef Dangel — Wydziału Kontroli i Rachunkowości, Wład. Gutowski — Wydziału Statystyczno-Sprawozdawczego. Zmarli: H. Świącicki, S. Glezmer i Wł. Żukowski.

Nr. 5.

Dn. 3 sierpnia 1916 r. redakcja „Dziennika Kijowskiego” otrzymała od dwóch żołnierzy rosyjskich bardzo charakterystyczny list. Oto

dokładny przekład: „Prosimy o łaskawe umieszczenie na łamach szanownego Waszego pisma następujący epizod z życia spokojnych mieszkańców, pozostałych na pozycjach czołowych. Biorąc udział w ostatniej bitwie w m. Rądziwiłłowie, byliśmy mimowolnymi widzami obrazu, który poruszył do głębi nas zwyczajnych, wszystkich okropności wojny. Przedostając się z jednego końca miasteczka na drugi, w jednym z zaulków na linii ognia zobaczyliśmy dwie kobiety, które, jak się okazało, pozostały na miejscu strzedz swego mienia, podczas, gdy reszta mieszkańców z lamentem i krzykiem rozpaczy uciekała. W morzu płomieni, wzniesionych przez pociski i przerzucających wicherem na plac miasteczka, wśród pękających szrapneli, świstu kul i jęku rannych — dwie bohaterki, które postanowiły umrzeć lub ratować swoje gniazdo, ratowały je ze spokojem, rzadkim nawet u mężczyzn. Była to istna walka pigmejów z olbrzymem. Jedna z kobiet, narażając się co chwila na śmierć od kul lub pękających pocisków, obchodziła dom dookoła, oblewając go wodą, którą trzeba było czerpać ze studni obok płonącego budynku, mimo silnego żaru płomieni i niebezpieczeństwa, wobec walących się ścian. Wkrótce studnię zawaliły padające belki i po wodę trzeba było biegać o wiele dalej. Mimo to nieustraszona kobieta nosiła dalej wodę i podawała ją swojej chorej siostrze, która była na dachu. Żołnierze, widząc usiłowania dzielnych kobiet, przyszli im z pomocą i gniazdo ich ocalało, podczas gdy inne domy stały się pastwą płomieni. Pozostał się domek, podziurawiony kulami i przerzedzony sad przy nim. Mężne kobiety wyszły bez szwanku, jedna z nich została tylko kontuzjowana, skutkiem wybuchu sześciocalowego pocisku. Na namowy porzucenia domu i wycofania się z linii ognia odpowiadały stale: „Póki nasz dom, wspomnienie naszego dzieciństwa, stoi cały, póty go nie rzucimy“. I do dziś dnia czuwają tam, nad swoim gniazdem. Mimo wszystkich okropności wojny współczesnej, których byliśmy świadkami, nie spotkaliśmy nigdzie tak wzruszającej a zarazem mężnej walki kobiet z jej klęską. Bohaterstwo ich jest godne podziwu, jako wynik ich świadomości i mocy ducha. Polacy — mówili nam te dzielne kobiety — którzy potracili swoje stare gniazda, zburzone przez wrogów, powinni starać się wszelkimi siłami o zachowanie ich wszędzie, gdzie pozostały. I one — jako polki — spełniły swoją powinność. Niechże za pośrednictwem Waszego szanownego pisma dowiedzą się kobiety polskie o nieznanych cichych bohaterstwach ich rodaczek na pozycjach bojowych. Towarzysze boju — artylerzyści: A. Leno i L. Szyszkín.

W projekcie B. Stürmera mowa tylko o autonomji „ziemskiej“ i nie jest przewidywane wprowadzenie instytucji prawodawczych w Królestwie Polskiem. Według naszych informacji, bardziej zadawalający jest projekt S. Sazonowa, w którym ustanawiane są te same podstawy autonomji polskiej, które charakteryzują znany projekt, zredagowany przez partję „k.-d.“ Nie wiemy czy ten ostatni projekt miał na myśli informator „Russkiego Słowa“, mówiąc o projekcie „moskiewskim“. Jeżeli jest to ten sam projekt, wówczas nie można zaznaczyć różnic pomiędzy „skrajnymi granicami“ owego projektu i ogólnymi zasadami projektu S. Sazonowa. Oczywiście, wśród zasad tego ostatniego nie należy spodziewać się powszechnego prawa wyborczego i systemu jednoizbowego dla Królestwa Polskiego. Ale i w projekcie „k.-d.“ decyzja w kwestji prawa wyborczego przekazywana jest w przyszłości samym instytucjom Królestwa Polskiego.... Ta ostatnia okoliczność ma tę właściwość dodatnią, że pozwala na przedwstępne publiczne rozważania szczegółów autonomji. Dla takiego rozważania w chwili obecnej już jest pewien materiał. Milukow, w relacji swej, złożonej Dumie Państwowej o wyrikach podróży delegacji parlamentarnej, oznajmił już, iż posiada odpowiedź znanego działacza polskiego Erazma Piltza na projekt „k.-d.“ w całości i kwestji całego szeregu szczegółów takowego. W ten sposób już dziś sądzić można o poglądzie na projekt ten umiarkowanych prądów społeczeństwa polskiego, reprezentowanych w tym Komitecie, którego prezesem jest Piltz. Zaznaczamy, że Komitet reprezentuje niejedną tylko Polskę rosyjską, lecz i pozostałe zabory i że sama odpowiedź jest wynikiem rozpraw na konferencji, w której brali udział i obaj delegaci polacy: hr. Wielopolski i poseł do Dumy, Rączkowski. Mówiąc o tem wszystkim, bynajmniej nie chcemy powiedzieć, iż w wyniku wspomnianych rokowań nastąpiło jakieś porozumienie. Przeciwnie, zasadniczy punkt widzenia Polaków w dalszym ciągu różni się od zasady, na której oparty jest projekt, zaś poszczególne różnice zdań dotyczą części projektu dość wielkiej wagi. Powiedzieć możemy to tylko, że przed opracowywaniem projektu rządowego są już gotowe materiały, które wskazują i granice różnic zdań i metody porozumienia. Rzeczą ważną jest jedno, by istniejące dziś różnice zdań nie powstrzymały opracowania projektu. Czas nagli, jak powiedział Milukow w swej relacji w Dumie Państwowej, kwestja znajduje się obecnie w stadium naprężenia. Poza tem opinja społeczna sprzymierzeńców naszych „oddawna już wy-

czekuje wykonania obietnic, wskazujących na rozstrzygnięcie kwestii polskiej w duchu ogólnego dążenia przez wojnę do wyzwolenia." Nie przypuszczamy, by dylemat postawiony w Dumie Państwowej przez posła Harusewicza, albo niezwłoczne lub międzynarodowe rozwiązanie sprawy miało wagę już w chwili obecnej. Ale w każdym razie uznać należy, iż bardzo wzmocnilibyśmy opinię społeczną sprzymierzeńców i zwiększylibyśmy naszą własną wagę moralną wśród żywiołów nam życzliwych".

Nr. 7.

Czasy Katarzyny II. Prawosławnych poczęli w Polsce uciskać jezuici, wówczas dano Polsce do zrozumienia, że dość tego (pora i częst' jej znat's)... Austriacy i Niemcy dawno chcieli podzielić Królestwo Polskie, ale wszyscy obawiali się Rosji, nie mogli zdecydować sprawy. I oto dwa silne mocarstwa zaczęły bronić Turków, wszyscy bali się naszej sławy, wojną grozić poczęli. Matka Caryca ustąpiła, trzeba było Polskę podzielić. Potem pośpieszyła pokój zawrzeć z sułtanem. Lecz my wrócimy do Polski, rozpatrzymy jej walkę, razem z nią zapłaczymy nad ciężkim losem. Sejm Lubelski był przyczyną zabicia kraju, władza królów stała się bezsilna; sejmowi dano wszelkie prawo. O Kościuszcze. Wnet Warszawa cała powstała, oddział tam rosyjski stał, straszna rzeź się rozpoczęła, oddział nasz padł prawie cały. I dyktatorem stał się zły generał Kościuszko, on oddawna krzywem okiem patrzył na Rosję. I rzucił nam zuchwałe wyzwanie. Wyniki z zwycięstwa Suworowa. Praga szybko była wzięta i Warszawa się poddała, Polska cała była zmięta i rozprawa się poczęła. Jak na kąsek bardzo dobry, rzucili się wrogowie, każdemu coś na ząb trafiło. Austriacy wzięli Kraków, główne miasto Prusacy, a coś nieco z resztek odpadło do nas i zginęło państwo. Kraj, Polska, umarł.— Winną temu jest szlachta, która żyła w kłótniach. O latach 1815—1830. Polska wszystko swoje miała: wojsko, szkoły i prawa. Szybko wzbogacała się i nadawała ton. Lecz Polacy zapomnieli się (zaznalis'), poczęli knować coś złego, przeciwko nam powstały lachy, poczęli praw swych doszukiwać się... Czartoryski, chytry Polak, zdradził Aleksandra, a Lelewel, utalentowany, obudził siły Polskę.. Warszawa szybko padła. Oddział polski zbiegł do Prus. Los surowo Polskę ukarał. Car dał rozkazy surowe... Jednocześnie unicy straszną walkę toczyli i mnichy i magnaci wiedli ich do stryczka. Do swej

wiary przeciągali, z Polską wciąż się złać chcieli i pracą uciskali, ciężko biednym było żyć... Duchowny, mądry Siemaszko, kwestję tę bolesną rozstrzygnął. Ułożył świętny projekt i przedstawił go cesarzowi... Dokonano wielkiego aktu, unicy do nas weszli. Przyjął ich Synod, dwie cerkwie połączyły się. Rok 1863. Aleksander II-gi, humanitarny, wiele Polsce wybaczył. Gorczakow, namiestnik znakomity, wiele ulg dla nich wydostał. Lecz wrogo usposobieni Polacy nie cenili tych trosk. Złe i harde były lachy, burzyć zaczęły lud. Oficerów w Polsce zaczęli bezlitośnie zaczepiać, nastąpiły trwożne dni. Rosjan zaczęto znieważać... Zdławiono bunt ludowy. Polska cała już we łzach. Znikł jej zadzierzysty duch, strach oświadczył narodem. Polska straciła poprzednie ulgi, wprowadzono ustrój gubernjalny, we wszystkim Polska złała się z nami, wzięto w rachubę i sprawę szkolną. I do ludu zastosowano prawo wszystkich włóścian rosyjskich. Wszystkich obdarzyli ziemią — wykupili ich od szlachty. Murawjew, rozsądny władca, cały kraj zachodni podniósł i rozstrzygnął sprawę trudną, wszystkim rozdał ziemię równo. Nie zapomniano o losie kraju Chełmskiego. Znikła unja, zła ostatni korney. Złazy się cerkwie w jedno bractwo. Car Milutina chwalił!

Nr. 8.

Utworzone zostaje zjednoczone Królestwo Polskie (Korolestwo Polskoje) z sejmem własnym.

Kwestje natury ogólnopństwowej, dotyczące interesów wszystkich poddanych Monarchy rosyjskiego, a w tej liczbie i Polaków, rozstrzygane są przez ogólnopństwowe instytucje prawodawcze — Dumę Państwową i Radę Państwa.

Wszystkie sprawy natury miejscowej rozstrzyga sejm.

Polityka zagraniczna, armja, moneta, poczta, cła i koleje żelazne (magistralne i strategiczne) są ogólnopństwowe.

Język polski jest językiem państwowym Królestwa. Sądownictwo i szkoły — polskie. W szkołach wszakże język rosyjski, historia Rosji i geografia wykładane są w języku rosyjskim.

W stolicy Polski rezyduje namiestnik Jego Cesarskiej Mości.

Królestwo posiada własny swój skarb, który jednak w wypadkach charakteru ogólnopństwowego — przy zawieraniu pożyczek zagranicznych i t. d. — otrzymuje dyrektywy od skarbu ogólnopństwowego i podlega kontroli ogólnopństwowej.

Królestwo posiada prawo wprowadzania akcyz i monopolów za zgodą instytucji prawodawczych ogólnopństwowych.

Sytuację prawną narodowych grup mniejszości, mieszkających w obecnym Królestwie Polskiem, reguluje prawodawstwo Królestwa przyszłego.

W miarę zajmowania przez wojska rosyjskie poszczególnych części obecnego Królestwa, ewakuowane stąd w swoim czasie rosyjskie władze cywilne nie będą tu ponownie sprowadzone. Wymieniony kraj przez czas trwania działań wojennych będzie podlegał władzom wojskowym.

Projekt autonomii Polski będzie przeznaczony do rozważania rosyjskim izbom prawodawczym.

Nr. 9.

(List do Milukowa):

Wielce Szanowny Piotrze Mikołajewiczu!

Z listu otwartego p. Piltza i artykułu, pomieszczonego w „Nowym Kurjerze“, my, Polacy, dowiadujemy się, że partja wolności ludu pragnie nas obdarzyć opracowanym przez nią projektem autonomii Polski.

Biurokratyczne pojmowanie rzeczy nie powinno być cechą tak liberalnej partji, jak kadecka, i dziwię się, że Szan. Pan nie zastanowił się, że właśnie cechą biurokratyczną jest narzucanie innym swoich poglądów i okazywania braku zaufania — cechą zaś prawdziwego liberalizmu zaufanie dla innych. My, Polacy, mamy za sobą zbyt długą historję i dosyć tradycji ofiarnej pracy społecznej, byśmy nie byli w stanie opracować sami formę, odpowiednią dla siebie rządu — formę, jaka potrafi zaspokoić nasze kulturalne, ekonomiczne i narodowe potrzeby.

My, Polacy, pragniemy jednego: dajcie nam swobodę działania i wolności a potrafimy urządzić się u siebie — to nasze słuszne życzenie.

Wszelkie urządzenie Polski bez udziału Polaków i ich zgody jest aktem przemocy.

Przyjm Sz. Panie wyrazy szacunku i poważania

**Henryk Dymśa.**

b. członek II-ej Dumy.

Nr. 10.

Dane centralnych instytucji Ministerstwa spraw wewnętrznych co do likwidacji osadnictwa niemieckiego z dn. 2 lutego i 13 grudnia 1915 i 16 roku:

W 15-tu gubernjach Rosji Europejskiej grunty niemieckie wynoszą 2,995,533 dziesięcin; na Kaukazie 160,760 dzies., w gubernjach zajętych przez nieprzyjaciela 78,847 dzies. Ogólna ilość gruntów, podlegających likwidacji, wynosi 3, 256,330 dzies. Do wychodźców z państw, pozostających z Rosją na stopie wojennej, należy 2,950,862 dzies., do poddanych niemieckich 186,458 dzies., austriackich 77,318 dzies. i innych 714,050 dzies. Najwięcej tych gruntów znajduje się w powiatach: akermańskim (29,87 proc.), symferopolskim, berdiańskim, eupatoryjskim, perekopskim, besarabskiej gubernji. W gubernji taurydzkiej (22,32 — 20,34 — 20,67 — 34,31 procent), w odesskim i ty-raspolskim powiatach. W gubernji chersońskiej (50,52 i 28,12 procent).

Nr. 11.

Według danych zarządu specjalnej narady żywnościowej, stan zasiewów między 15 sierpnia a 1 lipca 1916 r.; urodzaj oziminy przedstawiał się średnio — według klasyfikacji pięciostopowej oceniono go na 3,6. — Pszenica ozima — 3,6, jara — 2,6, owies — 3,2, jęczmień — 2,3, hreczka — 3,2, proso — 2,2, kukurydza — 2,8, ziemniaki — 3,5. Najlepiej oziminy zapowiadały się nad Kamą w gub. środkowych; półn.-zach. i połudn.-zach., gdzie urodzaj oceniał się na 3,9 i nawet na 4,1; w innych gub. od 2,9 do 3,4 stopni. Jarzyna zapowiadała się od 3,3 do 3,7 stopni.

Nr. 12.

„Ogłosić, zażądawszy zobowiązań na piśmie, właścicielom, znajdujących się w powierzonej mi gubernji, księgarni, że na terenie działań wojennych rozpowszechnienie bez pozwolenia cenzury wojennej wydawnictw nieperjodycznych, wychodzących po za terenem wymienionym, zakazane jest pod karą przewidzianą w art. 72 ustawy tymczasowej cenzury wojennej. Zawiadamiam o tem naczelników policji dla należytego wykonania. Oryginał zaopatrzony w podpisy odpowiednie. Zgodne z oryginałem. Referent (podpis) Nr. 3771. 13

czerwca 1916. Odpis powyższy wydany został rewirowemu policji cyrkułu pierwszego dla wykonania i dostarczenia mi zobowiązań na piśmie. 1916 r., czerwca 16. Sprawnik powiatowy: M. Konasiewicz“.

Nr. 13.

Nr. 14.

„Rektor i Senat Polskiego Kollegjum filozoficznego w Kijowie, w ubiegłym roku ufundowanego i założonego, obecnie zaś znacznie powiększonego, by młodzież wychowywać i kształcić, tudzież nauki i sztuki wyzwolone dźwigać i doskonalić — pismem niniejszem Ciębie, Wielce czcigodny Panie, usilnie zapraszają, byś w dniu dwudziestym dziewiątym września o godzinie czwartej w auli Kollegjum raczył wziąć udział w wspólnej uroczystości otwarcia nowego roku akademickiego i uczestniczyć w rozpoczęciu wykładów.“

Nr. 15.

Do Rady Głównej Macierzy Szkolnej na Wołyniu zostali wybrani: Biskup Sufragan M. Godlewski, prof. Jan Gwałbert Pawlikowski, J. Roguska, A. Grudzińska, C. Lachowski, M. Eberhard, ks. S. Brawer, Z. Boguszowa, K. Dzierdziejewska, K. Wierczak, J. Kuszell, M. Mańkowska, A. hr. Komorowski -Sufczyński, W. Trap szo, ks. A. Zagórski, ks. A. Fedukowicz, M. br. Weyssenhoffowa, W. br. Weyssenhoff, M. Brzostowska, M. Czerwińska, M. Zwolińska, Janusz ks. Radziwiłł, Z. Endrukajtis, St. Rostkowski, przeł. gimn. Justyna Kruszewska, ks. A. Mioduszewski, A. hr. Tyszkiewiczowa, A. Przybytkowska, J. Olech, A. Szajdecki, A. Zaykowska, ks. A. Słotwiński, A. Zalewski.

Nr. 16.

Komisję organizacyjną Macierzy Polskiej w Czernihowie stanowili: ks. M. Giżyński, Halina Okolska, K. Żyliński, J. Sroczyńska i K. Appel.

**Wydawnictwa L. Idzikowskiego w Kijowie:** T. Uhma „Tadeusz Kościuszko“ (kompilacja z różnych źródeł), Zofja Grzymałowska „Tadeusz Kościuszko, polski rycerz bez skazy“, Jadwiga Zaborowska „Z pamiętnika tułaczki“, Kazimierz Rosinkiewicz „Stary Wyga Ćwirk“ (powieść), Helena Doliwianka „Tęsknota“—powieść, Emilja Bagieńska „Szkice i notatki“

Książki szkolne: St. Socha „Elementarz“, Zbiór zadań i przykładów arytmetycznych“ (3 części), „Krótka teoria arytmetyki“; Cecylja Niewiadomska „Czytanki“ (3 cz.) i krótka gramatyka (2 cz.); A. Nałkowska „Krótka nauka geografji“ (2cz.); ks. Lech, ks. Naskręcki i ks. Kalinowski (cały szereg katechizmów, historii świętej i apologetyka); St. Thomas „Jak uczyć arytmetyki“ i „Zbiorek zadań arytmetycznych.“

Skarbnica prozy i poezji polskiej“ (redakcja C. Niewiadomskiej i Drogoszewskiego); Korzeniowskiego „Spekulant“ i Nowela polska.

**Nakładem Narcyza Gieryna w Kijowie.** Wydawnictwa gwiazdkowe dla dzieci i młodzieży: M. Poraska (ilustracje St. Pawłowskiej) „O odważnym Tadziku i ciekawej Zosi“ — Nasza książeczka“ (wierszyki) — „Gwiazdka“ — „Giewontowi rycerze“ — „Ludzie północy“ — „Przez Fjordy na Nordkap“ — „Zaginiona w Alpach“ — „Stach ze Słupi“; T. Pudłowskiej (ilustr. J. Bójarskiej) „Ojczyznę wróc nam, Panie“ — A. Świdarska „Spuścizna Ojcowska“ — J. Chociński „Książeczka o Kościuszcze“ — St. Studnicka „Pierwsza książeczka“ — Bełza „Historja Polski“ — Z. Rodowiczowa „Dzieciom polskim“ (zbiór wierszyków o wojnie.

**Wydawnictwa Władysława Karpińskiego w Kijowie:** Jerzy Bandrowski „Kim był Tadeusz Kościuszko“ — Lenartowicz „Bitwa racławicka“ — Album Tadeusza Kościuszki (12 ilustr.) Zygmunta Ajdukiewicza — „Pamiętnik Murawjewa-Wieszatiela“.

**Nakładem Polsk. Komit. Narod. w Petersburgu:** B. Wasiutyński „Siły ekonomiczne Polski“ i „Zjednoczenie jako warunek niepodległości politycznej i ekonomicznej“ — Dr. B. Winiarski „Międzynarodowość sprawy polskiej (Dokumenta urzędowe dotyczące stanowiska mocarstw do sprawy polskiej w czasie wojny 1914 r. do 1917 r.

**Nakładem Tow. „Świt“ w Moskwie:** Kornel Ujejski „Trzy struny.“

**Nakładem Tow. Popierania Szkoły polsk. w Kijowie:** T. M. Lewicki „Początki nauki języka łacińskiego“ (z preparacją i słownikiem).

Nakładem „Dziennika Kijowskiego“: Ign. Grabowski „Credo“ (Studjum psychologiczno polityczne) — Joachim Wołoszyński „Jutro“ (wiechy nowych szlaków).

Nr. 18.

„Polacy Wojskowi! Na I-ym Wszechrosyjskim Zjeździe Wojskowych Polaków jasno i mocno wyraziliście wolę Waszą skupienia się w szeregach oddzielnej Polskiej Siły Zbrojonej i dla wykonania tej Waszej woli wyłomiliście nas — Naczelnym Polskim Komitetem Wojskowym.

Wola Wasza, Wola Obywateli Niepodległej Polski, którzy tylko na skutek przemocy i gwałtu dziejowego byli rozproszeni w szeregach obcych, powinna być uszanowana przez całą demokratyczną Rosję, która przez uznanie niepodległości Polski uznała Wasze prawo stanowienia o sobie. Wola Wasza winna być wszystkimi siłami poparta przez każdego Polaka, który Niepodległości swej Ojczyzny pragnął.

Dziś, gdy wypadki chwili zagrażają Wam, pozostającym w szeregach rosyjskich, rozlewem tak cennej dla sprawy polskiej krwi Waszej w walce, jaka w łonie Demokracji Rosyjskiej wybuchła, gdy bliski już, być może, koniec wojny europejskiej zwiastuje Wam powrót do ognisk rodzimych, gdy ciemne żywioły w zamęcie Rewolucji rozpoczęły pogromy i gwałty, stojące się groźnymi dla braci Waszych, — N. P. K. W. musi z wytężoną energią wszystkich sił swoich przystąpić do zwalczania przeszkód, jakie na drodze swej przy wykonaniu woli Waszej napotkał.

Wojskowi Polacy! Czując się Obywatelami Niepodległej Polski, nie możecie się wtrącać do spraw wewnętrznych w Rosji, co Zjazd w punkcie 3-im swych uchwał wyraźnie podkreślił. Żądając poszanowania własnej niezależności, musicie szanować wyłącznie prawo stanowienia o sobie narodów innych i nakazać milczenie Waszym sympantom partyjnym, które Was ku tej lub innej stronie walczącej ze sobą Demokracji Rosyjskiej pociągnąby mogły. Ponieważ jednak w wirze tej walki podniosła głowę hydra pogromów i gwałtów, kierowanych zbrodniczą ręką ciemnych sił, musicie, stojąc zdala od samej walki, być zawsze gotowi do obrony życia i bezpieczeństwa spokojnych obywateli, otaczając w pierwszym rzędzie opieką Waszych rodaków, zarówno tych, którzy się tu, wypędzeni pożogą wojny

z kraju ojczystego, znaleźli, jak i tych, co od wieków na kresach dawnej Rzpl. Polskiej osiedli.

Wojskowi-Polacy! Dopóki trwa wojna, podlegacie władzy zwierzchniego dowództwa rosyjskiego, lecz w chwili, gdy zniknie ogniem ziejąca linja bojowa, która Was od Ojczyzny oddziela, gdy władze Niepodległej Polski będą mogły objąć kierownictwo polskich sił zbrojnych, musicie być gotowi, aby się rozkazom tych władz poddać, jako karne i zorganizowane wojsko, zdolne niepodległości Swej Ojczyzny bronić!

Tu nie macie domu, do którego może wrócić żołnierz rosyjski, wychodząc z szeregów. Musicie stworzyć ognisko, które Wam dom ten częściowo zastąpi. Polskie siły zbrojne, w których panuje polski ład wojskowy i polski obyczaj narodowy, są tym obozem, który nietylko żołnierza Polaka przygarnie, lecz i wszystkich Polaków w Rosji od zagrażających im nieszczęść uchroni.

Pewni poparcia całego społeczeństwa, wzywamy Was do polskich sił zbrojnych!

Polacy-Wojskowi! Jeśli nie chcecie w bezładzie, nieświadomości drogi, bez opieki, o głodzie i chłodzie długie dni do domu wędrować, jeśli nie chcecie zawieść nadziei, pokładanych w Was przez Wasze bezbronne żony, matki i dzieci, braci i siostry, bo tu na Was tylko oni polegać mogą, jeśli chcecie, by Was Polska witała, jako wiernych swych synów, którzy przez długie lata rozłąki jej tylko dobro mieli na celu — natychmiast śpieszcie do szeregów polskich sił zbrojnych!

Armja czynna, 29 (16) listopada 1917 r.

Naczelny Polski Komitet Wojskowy.

#### Nr. 19.

Pański Nr. 8728 mógłby zadziwić nas, gdybyście wy, władza rosyjska, nie oduczuli nas oburzania się postępkami waszymi. Od początku rewolucji, wy, nie przestajecie twierdzić, że stoicie na gruncie samookreślenia narodów, lecz gdy którykolwiek naród, mający nieszczęście współżycia z wami, zaczyna przejawiać najmniejszą skłonność do samookreślenia i urzeczywistniać swoje prawa — natychmiast krzyczoicie, że to jest kontrrewolucja, że to są zachcianki burżuazji. Jakiem prawem dzielicie polaków na burżuazję i proletariat, jeśli, wy, po swojemu, w myśl swej osobistej kultury, rozumiecie

wyrazy „wolność, burżuazja i proletarijat“. Zawdzięczając waszym zbrodniom z przed lat 125, my, Polacy, w przeciągu trzech lat zmuszeni byliśmy mordować brat brata, będąc w wrogich sobie armiach, w roku zaś 1915, zawdzięczając waszej nahażce i kolbie, trakt od Wisły do Smoleńska cały usiany polskimi grobami i gdy my obecnie zaczynamy organizować się, by naprawić skutki waszych zbrodni i wybawić niedobitki wygnańców „bieżeńców“, jak wy ich nazywacie—nietylko nie poczuwacie się do obowiązku zagładzenia win, ale wszelkimi sposobami i pod wszelkimi pozorami, świadomie czy też nieświadomie, chcecie odnawiać zbrodnie. Obecnie, przy zbliżających się petraktacjach o warunkach pokoju, powiedźcie nam sumiennie, czy macie chęć i możliwość bronienia interesów narodu polskiego?

A więc nie przeszkadzajcie nam w samoobronie, w obronie naszej Polski ludowej. Pamiętajcie, iż obecne gwałty niełatwo dadzą się wytłumaczyć, gdyż obecnie zbrodnie są związane nie z imieniem carskiem, lecz z imieniem całego narodu rosyjskiego. Precz z rękami obryzganymi krwią, od naszych spraw wewnętrznych! Pozostawcie nam samym tworzenie naszych spraw narodowych i pamiętajcie, iż wasze gwałty nie tylko nie powstrzymają nas, lecz przeciwnie podwoją nasze siły i naszą energię.

Prezes związku wojskowych Polaków 2-ej armji:

Szprengielski.

Sekretarz: Zieliński.

Nr. 20.

**Skład narady, wyjaśniony dnia 18 września 1917 roku:** delegatów od rad robotn. i żołnierskich — 230, od rad delegatów włościańskich—230, od miast—300, ziemstw i gub. komit. wykon.—200, organizacji w armji—83, od komisarzy—22, kozaków—35, sekcji w armji i włościańskich — 18, oficerów — 4, rannych żołnierzy — 6, przedstawicieli floty — 15, związków zawodowych — 100, urzędników poczt i telegrafów — 12, nauczycieli — 15, służących w przedsiębiorstwach handlowo-przemysłowych — 30, kooperatyw centralnych — 120, kooperatyw robotniczych — 38, grup ekonomicznych — 35, prasy — 1, organizacji żywnościowych — 17, komitetów gruntowych—20, związku duchowieństwa prawosławnego i osób świeckich — 1, związków włościańskich — 10, felczerów — 5, rady ukraińskiej — 15, rady muzułmańskiej — 10, rady narodowościowych grup socja-

listycznych — 10, żydów — 1, polaków — 2, gruziński związek międzypartyjny — 5. Wśród socjalistów rewolucjonistów 532 (boronców 34, internacjonalistów 71, centrowców 404, S.-D. 439, 172 mieńszewików, oboronców 38, internacjonalistów 56, bolszewików 134, bundowców 15, ukraińskich socj.-demokr. 13, socjal-rewolucjonistów 23. Członków partji socjal. narodowościowych 23, narodowościowo-demokratycznych 7, „trudowików”—socjal-ludow. 55, socjalistów bezpartyjnych 17, kadetów 4, demokr. radykalnych 1, bezpartyjnych 113.

Nr. 21.

Swieżna—folwark Jadwigi Lippoman i dzierżawcy Białobrzyckiego (straty 70,000 rb.). Udryjowa Starorypińskich i Orłowskich, Horodyska i Mędryglowy Starorypińskiej, Tomaszówka Szwedy, Skotyniany T. Tołkacza, Skotyniany Zawadzkiej, Piaseczna Krukowskiego, Maryłówka K. Tołkacza, Kujawy i Frampol Giżyckiego, Kujawy A. Tołkacza, Smotrycz A. hr. Potockiego, Kierniczany Domańskiego, Podleśny F. Tołkacza, Łoszkowce J. hr. Grochołskiego (straty 350.000 rb.), Sawińce Benkendorfa, Tynna Hulanickiego, Pieńkówka A. Sobańskiego, Markowce Lidersa, Kopytyńce Kołaczewskiego, Hreczyńce Mierzwińskiego, Popowce Markowa, Kozaczki (folwark) Soluńskiego i Szpirkana, Monastyrek Kallusa, Krasnosiółki Nebelskiego, Manikowce M. Kosielskiego, Maźniki i Ihnatowce St. Skibniewskiego, Jaśkowce Bernatowiczów, Plejskowce Tyszkiewicza, Malejowce K. Orłowskiego (zniszczona biblioteka), Łomaczyńce Brzozowskiego; w Płoskirowskiem: Wodyczki B. Zalewskiego, Andrejkowce Wacława Skibniewskiego, Niemierzyńce B. Czuwasza, Słobódka i Hołodryńce następców A. Orzechowskiej, Chmielówka J. Modzelewskiego, Moskałówka B. Korsaka, Bałamutówka Ancyferowa.—W gminie Felsztyńskiej nie ma ani jednego całego folwarku. — W Winnickiem: Aleksiejówka J. Rokickiego, Działów Stamerowa, Kudijowce Dłuskiego, Krzywoszyńce Skowrońskiej, Leśkowce i Czabanówka Jana Tokarzewskiego-Karadzewicza, Olszanka (w pow. olhopolskim), Dobra Satanowskie Klementyny hr. Tyszkiewiczowej, składające się z 7-miu folwarków (wycięto szkółki leśne i sady), Józefówka Rudzkiego, Tymków B. Rusanowskich (zamordowano starszego brata Gandalg'ego, a zwłoki sprofanowano. Wszyscy oficjaliści zrabowani doszczętnie), Bębówka Jodki w Płoskirowskiem (zniszczone doszczętnie — me-

ble z pałacu Wiśniowieckich, jątągany wysadzone kamieniami, pistolety Kuchenrajtera, rząd turecki z pod Wiednia, indyjskie i saskie wazy), Michałówka Makowieckich w pow. uszyckim (pałac z poł. XVIII wieku spalony), Sapinka J. Mańkowskiego, Widna i Kumanowce Gdowskiego (dwór, biblioteka, ochrona i szpital — straty wynoszą około 400.000 rb.), Perepełczyńce Lubomirskiej (oficjaliści zrabowani), Popieluchy T. Brzozowskiego, Horodyszczce, Dmitraszkówka, Kukuly (własność osławionego „działacza“ chełmskiego, Wołżyna), Trojanka Rudnickiego, Dobra Pilawieckie (100,000 rubli strat).

Wołyń: Dymitrówka Miłowiczów w pow. krzemienieckim (zginęło wiele starych mebli), Dubienka, Peremyśl, Uta, Maraczówka i Januszówka (klucz sławucki), Iwankowce Kazimierza Jukowskiego (pogromu dokonał 6-ty estlandzki pułk huzarów z miejscowymi właścianami), Stawek — Wołk-Korazowskich, Znamierówka — Kornicza, Lipno — Brodnickiego, Lipno — Stefanowiczowej, Chołniewieże — pani Hlern, Kośków — Mazarakięgo, Szybenna — Teofila Knolla, Szybenna — Kumanowskich, Ilkowce — Pruszyńskich, Walczyńce — Lipskich, Wandzulów — Obnińskich i Wańskich, Ohryszkowce — Buelowów, Kośkowce — Steckich, Skurcze — Popielów, Ławrów — ks. Lubomirskiej, Lipny — Brudnickich, Jałowice — Rusieckich (wszystko zrównane z ziemią), Anielówka — Zofji Wyddźżyny, Postójna — Omicińskich.

Kijowszczyzna: Kniaże — Bazylego Okulicza, Lewandów — Lewandowskich.

Mińszczyzna: Wołma — L. Wańkowicza, Ratyńce — W. Burzyńskiego, Teklipol — K. Nowickiego, Tatary — Z. Łęskiego, Osadowszczyzna — Z. Żywicy, Joachimowo — Stan. Wołodkowicza, Janowo — L. Wańkowicza, Linie — Węclawowiczowej, Węrtniki — Arciszewskiego, Karuki — Huszczyńskiego, Horki — dr. Łazowskiego, Suła — Koralkiewicza, Ciszkwowszczyzna — Wielickowej, Miedwiedziowszczyzna — Andruszewiczów, Zujwody — St. Wołodkowicza, Antonowo — Ahremowicza, Butrymowszczyzna — Wielicki, Halaburdy — Bohdanowicza, Kotłowo — Sopoćkowej, Skirmuntowo — Czajczyńskiej, Moskałewszczyzna — Konarzewskiego, Dżakowszczyzna i Zalesie — B. Plewaki, Bobrowszczyzna — Chackiewicza, Berezówka — K. Niezabytowskiego, Suła — M. Łęskiego, Antopol — W. Łęskiego, Kowszów — J. Chełchowskiej, Duszkowo — E. Bułhaka, Wychonicze — B. Hruszwickiego, Jekateryndal (folwark) — Kollątaja, Andryjaski (folwark) — Buraka.

Litwa (powiat wilejski): Gajzew — Wańkowiczów (spalony zupełnie), Hermaniszki — Kruszwickich, Chmarzyski — Chelchowskiej, Nowikowszczyzna — Wilkických, Lyhory i Raćkowszczyzna — Gnatowskich, Raków — K. Żdziechowskiego, Dekszmianny — Wołodkowicza, Łomżyn — Rauttowej, Łomżyn — Tomaszewskiego (młody, niedawno przybyły z Królestwa obywatel, umarł na aneuryzm serca w czasie rabunku).

M o h y ł o w s z c z y z n a: Korowczyn — Ręgów, Ugły, Bobrowo, Timochówka — Downarowiczów, Stolbce — Kalinowskiej, Truchanowicze — Komorowskich, Skrzydlew—Krasickiej, Dudary—Janowskich, Chohniewicz — Spindlerów, Kurmanów — Mszczerskich, Kadzin — Hołyńskiego, Hlimiszcze — Suszczewskich, Czerniawka — Mackiewiczów, Kareby — Dziewońskich, Tupczyn—Ciechanowicza, Feliksberg — Swądkowskich, Trylesin — Chłudzińskich, Brakowice — Hołyńskiego, Hliniszcze — Suszczewskich, Adolfowo—Sawinicza, Marcjanowo — Gorczyńskiego, Babczyn — Cyrowicza, Czarnorućze, Hawryłówka, Janów, Druck, Raj, Skoków, Zańkowszczyzna, Popielówka, Piaseczna, Buhatyń — Szczyttów, Hura — Poczobuta, Kucynów, Sulejki, Mierzów — hr. Łubieńskich, Czyrczyno i Czarnowice — Ignatjewa, Hołoszew — Czundziewickiego.

Nr. 22.

„Wysłuchawszy oświadczenia Sekretariatu Generalnego i powtórnie podkreślając jedność federacyjnej republiki rosyjskiej, Mała Rada, uznając, że wola narodów na Ukrainie do samodzielnego stanowienia o sobie może być wyrażona tylko za pośrednictwem konstytuandy Ukraińskiej i że w ten sposób wyrażona wola narodów Ukrainy będzie zgodna z wolą wszystkich narodów, zamieszkujących Rosję, wyrażoną za pośrednictwem konstytuandy wszechrosyjskiej, i wyrażając mocną pewność, że prawa narodów Ukrainy będą w zupełności ubezpieczone na konstytuancie wszechrosyjskiej, przechodzi nad niem do porządku dziennego“.

Nr. 23.

1) Jan Lipkowski — inżynier — prezes wydziału gospodarstwa społecznego P. K. W. 2) Joachim Bartosiewicz — redaktor — prezes P. K. W. 3) Marjan Baraniecki, prezes ploskirowskiego Tow.

rolniczego, demokratyczny działacz społeczny. 4) ks. Feliks Szczerbachowski — znany kaznodzieja. 5) Stefan Smólski — prawnik — prezes Związku Wojskowych Polaków okręgu kijowskiego — członek P. K. W. 6) Ignacy Tyliczyński — rzemieślnik z Żytomierza — prezes chrześ.-demokrat. Związku pracowników polskich. 7) Trzeciak Leon — adwokat, demokratyczny działacz społeczny. 8) Stan. Zieliński — adwokat, sekretarz P. K. W. 9) Piotr Śniechowski — komisarz P. K. W. z Tarnopola pow. zwiahelskiego. 10) Franciszek Lipiński z powiatu winnickiego — działacz ludowy. 11) Wincenty Chojecki—ziemianin, wice-prezes P. K. W. z pow. skwirskiego. 12) ks. Kazimierz Nosalewski. 13) Zygmunt Starzyński, dr. fil., agronom. 14) Jan Horaj z pow. żytomierskiego gospodarz, drobny hodowca, działacz oświatowy.

Nr. 24.

**Wyjątek z mowy Tereszczeni:** „Ale wątpliwem jest, czy ustępstwa te (państw centralnych) mogą zadowolić Polaków, których Ojczyzna pozostaje rozczłonkowana. Rosja przeciwstawia polityce tej, ogłoszoną przez Rosję, zasadę samookreślenia narodów. Rząd Tymczasowy potwierdza niezachwiany zamiar dążenia do urzeczywistnienia zasady odezwy do Polaków z dn. 17 marca... Jednocześnie Rosja troszczy się, by przyszłemu niepodległemu, całkowitemu państwu polskiemu zabezpieczono warunki niezbędne dla jego ekonomicznego i finansowego odrodzenia. Przeto nie zostaje uchylona kwestja zwrotu Polsce strat, spowodowanych przez inwazję nieprzyjacielską.

Nr. 25.

**Dekret Rządu Tymczasowego:**

„Uzupełniając prawo o Komisji Likwidacyjnej do spraw Królestwa Polskiego z dn. 15 marca 1917 r. oraz inne uchwały Rządu Tymczasowego o pomienionej Komisji Likwidacyjnej, postanowiono:

1) Utworzyć przy prezesie Kom. Likw. do spraw Król. Polsk. Radę dla przedwstępnego opracowywania spraw i zarządzeń wnieszonych pod jej obrady przez prezesa.

2) Rada przy prezesie Kom. Likw. składa się z członków mianowanych i uwalnianych na mocy dekretów Rządu Tymczasowego, na skutek odnośnych przedstawień prezesa Komisji Likwid.

3) Prezes Kom. Likw. przewodniczy na Radzie osobiście lub też powierza przewodniczenie członkowi Rady, stosownie do swego życzenia.

4) Prezesowi Kom. Likw. poleca się określić wewnętrzny tryb działalności Rady, oraz zapraszać do udziału w niej z głosem doradczym osoby, współdziałających których może być użytecznym ze względu na ich wiadomości fachowe."

Nr. 26.

Do J. W-go Zygmunta hr. Wielopolskiego, kierownika Stronnictwa Polityki Realnej.

Od chwili opuszczenia kraju — myśli i uczucia moje w stosunku do działalności Stronnictwa Polityki Realnej — są w ciągłej z sobą rozterce. Z jednej strony cenne i szanowne są mi węzły wspólnej politycznej ideologii, zadzierzgnięte od pierwszej chwili powstania Stronnictwa i niemniej drogiem mi jest uczucie niejednej osobistej przyjaźni, a z drugiej strony nie mogę w żaden sposób zgodzić się na porzucenie przez Stronnictwo podstaw własnej, niezależnej i rzeczywistej realnej polityki, a przejęcie zasad, podstaw i wierzeń drugiego stronnictwa, niejednokrotnie wręcz sprzecznych z tradycją naszej politycznej myśli.

Zasadnicza ta rozbieżność ujawniła się najjaskrawiej w stanowisku przyjętem przez Realistów, solidaryzującym się bez zastrzeżeń z odnośnymi uchwałami i rezolucjami Narodowo-Demokratycznego Zjazdu w Moskwie, na którym proklamowano pierwszeństwo polityki emigracyjnej nad twórczo-państwową pracą w kraju. Zapomniano smutne wspomnienia, doświadczenia i szkodę dawnej samowolnej polityki emigracyjnej minionych pokoleń, a w walce z politycznymi przeciwnikami przyjęto nawet formy najgorszych ówczesnych tradycji.

Opuszczając z głębokim bólem i ze szczerym żalem wasze szeregi, czynię to jednak z przekonaniem, że w ten sposób nie sprzeniewierzam się zasadniczemu myślowi politycznemu, które przyświecały ongi założeniu naszego stronnictwa i wierzę głęboko, że gdy wrócę do kraju, znajdę u naszych kolegów i przodowników dla mego dzisiejszego wystąpienia pełne uznanie i zrozumienie.

Juljan Tułoczko.

**Wnioski II-go Zjazdu demokratycznego:**

1) O stosunku do Rosji: Zjazd pozostaje na stanowisku uchwał I-go Zjazdu.

2) Mniejszości narodowe we wszystkich państwach powinny posiadać autonomję kulturalną.

3) Zjazd wita powstającą do nowego życia Ukrainę i wierzy, że narody polski i ukraiński, uzyskując jednocześnie podstawy do niepodległego bytu, zespolą się w dążeniu do oparcia swych stosunków na zasadach słuszności i wzajemności, a zwalczać będą prądy szowinistyczne.

4) Zjazd wyraża nadzieję, że narody litewski i białoruski zbudują byt polityczny na zasadzie samookreślenia narodowego i że wtedy węzły, łączące te narody z Polską, będą bądź dobrowolnie odnowione na zasadach nowożytnych, bądź dadzą trwałą podstawę do zażytych stosunków sąsiedzkich.

5) W sprawie wojskowej przyjęto rezolucję, uznającą tworzenie narodowościowych oddziałów wojskowych.

6) Deputowani Polacy (do konstytuanty) powinni bronić idei republiki federacyjnej.

7) W sprawie warunków zakończenia wojny, Zjazd uchwalił rezolucję, w której jest mowa o tem, że jedynem sprawiedliwym rozwiązaniem sprawy polskiej jest utworzenie niepodległego i zjedzonego Państwa Polskiego z dostępem do morza.

Na członków narady ekonomicznej przy Komisji Likwidacyjnej powołano: J. Barchwica, L. Biszlagiera, J. Berkiewicza, W. Bitnera, prof. Bohdanowicza, generała A. Brynka, K. Brodzkiego, prof. K. Chylińskiego, H. Czeczota, K. Dembowskiego, W. Drzewińskiego, J. Fiedorowicza, St. Gabrula, T. Gerlitza, J. Giejsztora, W. Giejsztora, H. Gliwica, B. Grodzieckiego, M. Gutkowskiego, dr. St. Hofmokla, St. Jabłońskiego, J. Karpowicza, K. Kruszewskiego, W. Leśniewskiego, ks. St. Lubomirskiego, J. Lempickiego, W. Łopattę, St. Małkowieckiego, M. Małachowskiego, F. Mazurkiewicza, A. Meysztowicza, J. Paciorkowskiego, W. Pawłowicza, prof. Polzeniusza, R. Poznanińskiego, E. Przybyszewskiego, J. Rachmana, M. Rączyńskiego,

F. Rasińskiego, W. Rawicza-Szczerbę, J. Rummla, S. Rybałtowskiego, prof. K. Smoleńskiego, P. Sorokę, St. Surzyckiego, J. Śmigielskiego, L. Tołłoczke, E. Tomaszewskiego, E. Trepkę, W. Trojanowskiego, A. Tupalskiego, K. Tyszyńskiego, dr. L. Wasserbergera, A. Wierzchlejskiego, prof. dr. St. Zaleskiego, Br. Załęskiego, W. Sommera, K. Zarembe, J. Żarnowskiego, K. Żórawskiego.

Nr. 29.

Najwyższy organ krajowy ukraińskiej Republiki ludowej składa się z następujących Sekretariatów generalnych: 1) Sekr. gen. spraw wewnętrznych; 2) Sekr. gen. spraw rolnych; 3) S. g. spraw finansowych; 4) S. g. oświaty; 5) S. g. spraw narodowościowych; 6) S. g. spraw polskich; 7) S. g. spraw rosyjskich; 8) S. g. spraw żydowskich; 9) S. g. pracy; 10) S. g. handlu i przemysłu; 11) S. g. spraw wojskowych; 12) S. g. spraw żywnościowych; 13) S. g. spraw sądowych; 14) S. g. poczt i telegrafów; 15) S. g. komunikacji; 16) Kontroler generalny.

Nr. 30.

**Ziemia Kijowska** (lista Nr. 10): 1) Al. Russanowski; 2) Bielawski Bolesław; 3) W. Rogiński; 4) M. Romanowski; 5) St. Federowicz; 6) J. Kraczkiewicz; 7) L. Janowski; 8) J. Wołoszynowski; 9) Dr. M. Pietkiewicz; 10) W. Hamicki; 11) B. Perro.

**Wolyń** (lista Nr. 12): 1) St. Jezierski, wice-prezes P. K. W. i Tow. Przyjaciół Żołnierza; 2) M. Stokowski—radny m. Żytomierza; 3) Al. Dobrowolski — adwokat, członek kraj. ukraińsk. kom. roln.; 4) K. Jasiński; 5) ks. J. Bieniecki; 6) Z. Świdorski — radny m. Żytomierza; 7) Grudzińska Anna—członkini Rady główn. Macierzy wolińskiej; 8) M. Skorupski — lekarz; 9) K. Blejder; 10) B. Rosałowski; 11) F. Januszewski — robotnik fabryczny; 12) K. Jurowski—rzemieślnik z Dubna; 13) Wanda Szczekowska — przewodn. woł. koła kobiet; 14) Garbowski H. — rolnik; 15) J. Koperski.

**Ziemia Czernihowska** (lista Nr. 19): 1) Berezowski; 2) Chmielnicki; 3) Gołębski; 4) Okólski; 5) ks. Żawryd, 6) Kuszkowski, 7) Chełmicki; 8) Zawadzki.

**Gubernia Ekaterynosławska** (lista Nr. 8): 1) Hulanicki H. — ekonomista, współpr. fabr. Rudzki i S-ka; 2) J. Pierzhalski — adwo-

ka; 3) Stan. Piłarski — inżynier; 4) Stan. Łoziński — pracownik kolei W. Wied.; 5) Zachert Hugo.

Nr. 31.

**Mowa Carlotti'ego**, reprezentanta Włoch (wyjątki):

„Dla tej to świętej sprawy wyzwolenia i sprawiedliwości, Włochy zawsze walczyły i dziś walczą jeszcze. Lecz w dobie dzisiejszej, w ścisłej łączności ze szlachetnymi swymi aliantami bronią spraw wszystkich ludów uciśnionych. Jest to zarazem moralne zobowiązanie i posłannictwo cywilizacyjne, które postanowiły spełnić. Zrodzone z zasady narodowościowej i walcząc o tę zasadę, Włochy muszą patrzeć na sprawę polską z sympatją braterską, z sympatją tem gorętszą, że się łączy z niewygasłą pamięcią walecznych synów Polski, poległych na polach bitew w czasie naszych walk o niepodległość. Nie jest to sympatja platoniczna. Te uderzenia młotem, które się rozlegają w Alpach, kuja nietylko naszą przyszłość, lecz także jedność i niepodległość Polski, tej Polski, którą wszyscy aljanci pragną widzieć wolną, nierozdzielną, szczęśliwą, zasiadającą w radzie narodów, w miejscu na którym jej prawa rodowe, historia i cywilizacja.

Ożywiony temi uczuciami, z radością się przyłączam do oświadczenia pana ministra spraw zagranicznych.“

**Mowa Francis'a**, reprezentanta Stanów Zjednoczonych (wyjątki):

„O gdybyż On, Washington i Lafayette mogli uczestniczyć w dzisiejszym dramacie wszechświatowym! Czyż macie wątpliwości po czyjej stronie stanęliby oni, czyjej sprawy broniliby? Ja nie wątpię i nie może być miejsca na wątpliwości. Kościuszko wiele przewidywał i jego słowa były istotnie proroczymi, gdy rzekł: „Krew przelana za wolność nigdy nie ginie daremnie, nawet wówczas, gdy bywa przelana w obcym kraju i dla obcych interesów“.

Prezydent Stanów Zjednoczonych nie nosi tytułu cara, a jednak są tacy, którzy uważają, iż posiada większą władzę, niż monarcha konstytucyjny, ale jego autorytet jest prawie niczem bez oparcia o lud. A doszliśmy do tego bez rozlewu krwi, bez zamieszek i bez konfiskaty. Rosja może uczynić to samo, pomimo swoich 180 milionów ludności, pomimo wolności raptownie zdobytej, pomimo wojny z wrogiem, który stoi u jej wrót, zagrażając jej wolności i jej terytorjum.

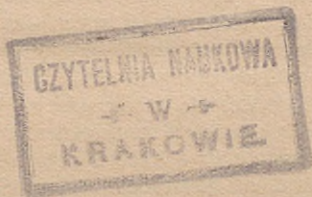
Ameryka dowiodła, iż ludy mogą rządzić same sobą. Obecnie wywołuje nową deklarację niezależności i świadczy, że wszystkie ludy mają do niej prawo.

Jeśli niepodległość ma oznaczać pogardę praw cudzych i próżne ofiary życia ludzkiego, wówczas Ameryka nie jest wolną i takiej niepodległości nie chce.

Nie jest to niepodległością, dla której się trzymał i o którą walczył przez pół wieku Kościuszko. Nie jest to wolność, dla której poświęcają krew i pieniądze: Rosja i Ameryka, Anglia, Francja, Włochy i waleczni ich sprzymierzeńcy.

Wojna ta nie jest walką o przewagę nad ludami, ani o podbóje terytorjów, wojna ta ma umocnić na świecie demokrację. Ameryka nie rozpoczęła wojny dla korzyści handlowych, dla aneksji lub kompensat, dla celów lukratywnych. Rozpoczęła wojnę w interesach ludzkości i dla zachowania wolności amerykańskiej.

Niepodległość Polski jest wielką radością dla wszystkich serc amerykańskich. Poeci amerykańscy opiewali wolność Polski, a mówcy brali ją, jako temat swoich mów, od dnia, kiedy Kościuszko przybył do Ameryki. Nie można godniej uczcić jego pamięci i przypomnieć jego czynów szlachetnych i jego zasług, niż pracując dla tryumfu zasad, dla których żył do końca swych dni".



## T R E Ś Ć:

Słowo wstępne . . . . . str. 1

### „CARAT“.

#### I.

Charakterystyka Wielkiej Emigracji 1915 r. — Drogi tułacz. — Praca ratunkowa. — Polskie i rosyjskie organizacje wygnańcze. — Przeprawy wygnańców na Dnieprze. — Rozporządzenia policyjne w Kremieńczugu. — Szosa żytomierska. — Kijów. — Publiczność warszawska na moskiewskim bruku. — Saratów. — Gub. samarska. — Ewakuacja z Turkiestanu. — Syberja. — Pobyt w Kurhanie. — Sybiryacy. — Jeńcy austriacy na Syberji. — Lekarze. — Objazdy skupień wygnańczych i historia Grzegorza Rasputina. — Lebjażje i domostwo starowierców. — Nędza wygnańcza. — Życie polskie w Kurhanie. . . . . str. 5

#### II.

Stosunki rosyjsko - polskie. — Społeczeństwo polskie a rząd rosyjski. — Prześladowanie Polaków. — „Autonomja“ Polski a ugodowcy polscy. — Okólnik ministerjalny a Koło Polskie. — Memorjał Erazma Piltza. — Poseł Jaroński. — Orgje czarnosecinne. — Kadeci i ich prasa. — Akt 5-go listopada. — Wzrastanie świadomości narodowej na emigracji. . . . . str. 33

#### III.

Likwidacja osadnictwa niemieckiego w Rosji. — Nadużycia urzędników. — „Jugobieżeniec“. — Niszczenie kultury rolnej. — Komisje zakupu koni. — Krótka historia legjonu polskiego we Francji. — Drożyzna. — Orgje spekulacyjne. — Kradzieże i niedbałość rosyjska. — Książki i czasopisma polskie na emigracji. str. 46

IV.

Na południowo-zachodnim froncie. — Polacy kresowi. — Oddziały opatrunkowe. — Brusilowska ofenzywa. — Szlakiem bitew na Wołyniu. — Ranni. — Naloty aeroplanów. — Rosyjskie siostry miłosierdzia. — Zimowe leże. . . . . str. 67

„REWOLUCJA“.

I.

Rewolucja marcowa na froncie.—Zachowanie się żołnierzy.—Kiereński. — Ruch bolszewicki. — Zawierucha na pozycjach. — Żeńskie bataljony śmierci i bataljony szturmowe. — Zjazd demokratyczny w Moskwie. — Upadek Kiereńskiego. — Rewolucja bolszewicka. . . . . str. 81

II.

Hasło polityki ukraińskiej. — Niszczenie polskich placówek kulturalnych. — Daremne interpelacje. — Uniwersał listopadowy. — Zjazd narodów. — Budowanie niepodległości ukraińskiej i przeciwdziałanie temu najpierw Rządu Tymczasowego, a później bolszewików. — Październikowe walki z bolszewikami w Kijowie. — Wpływ Rady Centralnej na ludność ukraińską. — Małe uświadomienie narodowe Ukraińców. — Ukrainizacja szkół. — Bitwa ukraińsko-bolszewicka w Równem. — Zamordowanie milicjantów. — Polski Komitet Wykonawczy na Rusi. — Rozporządzenia P. K. W. i prace jego. — Charakterystyka Polaków kresowych Artura Górskiego. . str. 96

III.

Pierwsze próby zorganizowania Związku Wojskowych Polaków w 25-tym korpusie. — Jednakie poklaski.— Rezolucja Zw.W.P.— Zebrania żołnierskie w szkole polskiej na Ludwikowie. — Niezdecydowanie w sprawie tworzenia armji polskiej. — Jakie zadania spełniły Zw. W. P. — Tworzenie się polskiej siły zbrojnej. — Niechęć Rządu Tymczasowego. — Rewizja w Naczelnym Polskim Komitecie Wojskowym w Petersburgu. — Walki partyjne. — Endecja a polska siła zbrojna. — Nieznajomość prawdziwego stanu rzeczy w Polsce była jedną z przyczyn rozproszkowania się na emigracji. — Stanowisko

K. N. P. W. — Zwołanie wiecu w sprawie armji polskiej przez N. D. —  
Zatarg bielgrodzki. — Zamach generała Kornilowa a pułki polskie. —  
Praca Zw. W. P. w czasie rewolucji bolszewickiej. — Zajścia  
w Mińsku. — Rozporządzenia Krylenki. — Stosunek koalicji do pol-  
skiej siły zbrojnej. — Legjon oficerski. — Ruch oświatowy w kor-  
pusie polskim. . . . . str. 113

IV.

Charakterystyka Wielkiej Emigracji w okresie rewolucyjnym. —  
Wyjątki z raptularza wygnańca. — Najważniejsze daty z życia emi-  
gracji. — Obchody w stuletnią rocznicę skonu Tadeusza Kościuszki. —  
Obchód kijowski. — Obchody na prowincji. — Obchód w Bychowie. —  
Wielkie polityczne znaczenie obchodu Petersburskiego. — Mowy  
Carlotti'ego, Francis'a i Tereszczenki. — Obchody na froncie. str. 130

V.

Scena polska na emigracji. — Teatry polskie w Moskwie. —  
Teatry polskie w Kijowie. — Teatr polski. — Teatr „Studjo“. — Teatr  
„Nowości“. — Repertuar i aktorzy. — Aktorzy polscy na scenie rosyj-  
skiej. — Wpływ tułactwa na talent aktora. — Odczyty i stowarzy-  
szenia polskie. — Prelegenci kijowscy. — Salon d'art w Kijowie. —  
„Muzeum Polskie“. — Czasopisma. — Skarbiec druków polskich. —  
Książki, beletrystyka i poezja. . . . . str. 144

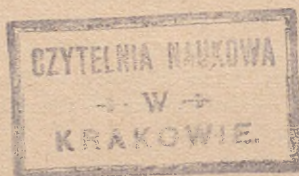
VI.

Bujny rozwój pracy kulturalno-oświatowej. — Ofiarność emi-  
gracyjna. — Otwarcie Polskiego Kolegium Uniwersyteckiego w Kijo-  
wie. — Uroczystość. — Skład profesorski. — Towarzystwo popie-  
rania polskiej szkoły średniej w Kijowie. — Szkoły średnie na pro-  
wincji. — Polska szkoła sztuk pięknych w Kijowie. — Polska Macierz  
Szkolna na Rusi. — Nieoficjalne ministerstwo oświaty na emigracji. —  
Wydział Oświatowy i jego zadania. — Szkoły elementarne na fron-  
cie. — Teren. — Stosunki. — Szkoły-ogniska Wszechrosyjskiego  
Związku Ziemstw. — Pierwsza szkoła polska. — Szkoły polskie  
a ewakuacja. — Statystyka. — Sposób urządzania. — Personel nau-  
czycielski. — Normy odżywiania dzieci. — Internaty. — Nauka. —  
Pomoce szkolne. — Ustrój. — Stosunek włościan do szkół. — Ze-  
brania włościańskie i żołnierskie. — Zabezpieczenie szkół na  
przyszłość. . . . . str. 157

VII.

Nostalgja. — W oczekiwaniu wkroczenia wojsk państw centralnych. — Warunki pracy oświatowej. — Podróż do Kijowa. — Przygody na automobilu. — Jak wyglądały dworce kolejowe. — Kto jeździł kolejami? — Stan pociągów i oddzielnych wagonów. — Psychologiczny podkład zaburzeń żołnierskich. — Powrót z Kijowa. — Gwałty. — Przygnębienie moralne. — Porzucanie frontu przez armję. — Histerja „Osoboj Armji“, przejawiająca się manją ustawicznego strzelania. — Ginące konie. — Wygląd pozycji. — Starania o pozwolenie na przejazd do kraju. — Zatarg na pozycji z komitetem ukraińsko-bolszewickim. — Ucieczka. — Przejście przez front. — Powrót. — Zakończenie . . . . . str. 178

Przypisy . . . . . str. 197



## WYDAWNICTWA KASY PRZEZORNOŚCI I POMOCY WARSZAWSKICH POMOCNIKÓW KSIĘGARSKICH

Baczyński St. Miecz i Korona. Myśl o duszy polskiej . . . . .	Mk. 2.50
Choiński-Jeske T. Demon Odrodzenia. Powieść historyczna z czasów włoskiego Renesansu. 2 tomy . . . . .	13.60
— Ludzie Renesansu. Sylwetki . . . . .	4.50
— Przyjacielki, przyjaciele żony i różnego rodzaju typy niewieście . . . . .	7.60
Daniłowski G. Epilog . . . . .	5.40
— Fragmenty . . . . .	4.50
— Lili. Powieść . . . . .	4.20
Gąsiorowski W. (Sclavus). Babilon . . . . .	6.60
— Rok 1809. Powieść historyczna z epoki napoleońskiej, w opracowaniu dla młodzieży. Z 6 rysunkami St. Batowskiego. Karton . . . . .	6.60
— Szwoleżerowie gwardji. Powieść historyczna, w opracowaniu dla młodzieży. Z 6 rysunkami J. B. Rüdiger. Karton . . . . .	6.—
Gomulicki W. Na rozłogach białoruskich. Powieść . . . . .	3.60
Gruszecki A. Kandydat. Powieść . . . . .	4.50
— Przebudzenie. Powieść współczesna . . . . .	5.40
— U źródła wiedzy. Powieść . . . . .	5.40
Iwanowska M. (Theresita). U źródeł. Powieść . . . . .	4.50
Jastrzębska N. Kłamstwo. Powieść . . . . .	4.80
Jezerski E. Jan Henryk Dąbrowski, twórca legjonów. Z 8-ma ilustr. — Tadeusz Kościuszko. Opis żywota i czynów Naczelnika 390 str. druku, z liczn. ilustracjami. Mk. 6.20, w oprawie Mk. 7.60, w oprawie płóciennej . . . . .	2.60
Konar A. Jesień. Powieść. Wydanie drugie . . . . .	8.80
— Młodość panny Mani. Powieść . . . . .	4.80
Kotarbiński Józef. Pogrobowiec romantyzmu. (O Stanisławie Wyspiańskim) . . . . .	6.—
„Krwawe dni kwietniowe 1794 roku w Warszawie“. Z portretem Jana Kilińskiego . . . . .	4.50
Młynarski F. Dr. Zasady filozofji społecznej . . . . .	1.50
Noyszewski-Płołun St. Powstańcy. Powieść . . . . .	5.—
Oikiewicz Al. Rozdźwięki . . . . .	5.40
Rabska Z. Miniatura . . . . .	5.40
Radliński Ign. Mężczyzna a Kobieła. W przeszłości przeddziejowej. W prawodawstwie pierwotnem. — Na początku ery naszej. — W bliższej przyszłości . . . . .	6.—
Rapacki W. Król Husytów. Powieść . . . . .	3.60
Romocki L. Mazowsze. Powieść . . . . .	6.—
Rzewuski J. Co będzie z pannami po wojnie? . . . . .	4.—
Szamota A. Czerwony śnieg. Opowieść wojenna . . . . .	4.—
— Orły. Powieść. Wydanie II . . . . .	3.—
— Popielisko. Powieść współczesna . . . . .	4.—
— W płomieniu życia. Powieść . . . . .	3.50
Szczepny A. Baśnie włosenne. Z 5 barwnemi ilustr. według obrazów Z. Plewińskiej. W ozdobnej karton. okładce . . . . .	8.—
Szelązek E. W. O miłości, o wolności i jesieni życia. Poezji serja III. Z przedmową A. Górskiego. Wydanie wytworne . . . . .	5.—
Tetmajer K. Gra fał. Powieść fantastyczna. Wyd. nowe . . . . .	6.—
Tokarzewski Sz. Zbieg. Wspomnienia z Sybiru . . . . .	3.60
Walewska C. Błąd. Powieść . . . . .	5.40
— Flirt. Małżeństwo. Opinja . . . . .	4.80
Wielowieyska E. Złota podkowa. Powieść . . . . .	5.40
Zabiełło-Topór Wł. Uroki. Powieść psychologiczna . . . . .	5.50
Zaleska J. M. Pamiętnik. (Męczeństwo, mistycyzm i ofiara polskiego dziecka). Z ilustracjami. Opracowała C. Walewska. W oprawie . . . . .	6.40

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH.





77429/  
4